JANECKI: ODWRÓT TUSKA. TO ZAMKNIĘTY ROZDZIAŁ

GÓRNY: ZGROZA I WSTYD, CZYLI CO SIĘ DZIEJE W KOŚCIOŁACH KATOLICKICH NA ZACHODZIE

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 30 (295) 2018
23–29 lipca
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

JACEK KURSKI MÓWI NAM, SKĄD SIĘ BIERZE TEN WŚCIEKŁY ATAK NA TVP

ROZBILIŚMY SYSTEM KŁAMSTWA

W WYWIADZIE TAKŻE O TYM, JAK POPRZEDNICY CHCIELI ZNISZCZYĆ TELEWIZJĘ PUBLICZNĄ, DLACZEGO ZMIENIĄ SIĘ „WIADOMOŚCI" I TVP INFO ORAZ KTO W POLSCE NAPRAWDĘ MANIPULUJE

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
30
9 772544 269809

JUŻ 30 LIPCA W TYGODNIKU SIECI
I W KAŻDY OSTATNI PONIEDZIAŁEK MIESIĄCA PRZEZ CAŁY ROK

Bohaterowie Niepodległej

Marszałek Józef Piłsudski • Ignacy Jan Paderewski • Ignacy Daszyński • gen. Józef Dowbor-Muśnicki • Ignacy Mościcki • gen. Józef Haller • Walery Sławek • inż. Eugeniusz Kwiatkowski • gen. Kazimierz Sosnkowski • Wojciech Kossak • Ks. Adam Sapieha • Jan Kiepura • Władysław Grabski • Janusz Kusociński • Wincenty Witos • Roman Dmowski • Wojciech Korfanty

SERIA DODATKÓW O NIEZWYKŁYCH LUDZIACH, KTÓRYM POLSKA ZAWDZIĘCZA NIEPODLEGŁOŚĆ

„Bohaterowie Niepodległej" to opowieść o bohaterach wielkich i znanych oraz tych, którzy nie pojawiają się w podręcznikach, a warto ich przywrócić naszej pamięci.

TOMASZ ŁYSIAK
pisarz, dziennikarz, publicysta

niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

MECENAS DODATKU

PZU

PARTNERZY DODATKU

ALIOR BANK

Bank Pekao

LOTOS

PWPW POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

eprasa.pl db0df14551

Religia III RP

W złożonych przed komisją ds. Amber Gold zeznaniach Jacka Rostowskiego najciekawsze nie były te momenty, w których eksminister finansów doszlusowywał do sporego już grona ówczesnych oficjeli, którzy dziś zapewniają, że wtedy nic nie wiedzieli i niczego z sobą nie kojarzyli. I w ogóle, by użyć metafory zastosowanej niegdyś przez satyryka kpiącego z zachowania decydentów przesłuchiwanych przez komisję badającą aferę Rywina, zaręczających, że nigdy, przenigdy nie rozmawiali ze swoimi zastępcami na tematy służbowe. Mnie bardziej zainteresowało coś innego.

A mianowicie moment, w którym Rostowski pytany o ocenę ówczesnych działań państwowych urzędów powiedział, iż choć teraz dostrzega zaniedbania, to nie uważa, że gdyby ich nie było, udałoby się Amber Gold ukrócić. Bo „gdyby urzędy działały prawidłowo, to on [Marcin P.], by dostosował swoje przestępcze działania".

Innymi słowy – nic nie można było zrobić. Przestępstwom i tak nie da rady zapobiec. Wszystkich krępuje niewidzialna sieć. Wszystkich, tylko nie przestępców. Po co się więc trudzić?

I to jest ideologia charakterystyczna dla III RP. Wynikająca z indolencji i wygodnictwa, ale bywająca też doskonałą zasłoną dla kręcenia własnych lodów.

To ostatnie to oczywiście nie o Rostowskim. Na jego temat zaś tylko krótko: nie zetknąłem się dotąd z taką manifestacją imposybilizmu, traktowanego niemal jak religia.

Piotr Skwieciński

Nie stracić wsi

Trzy dni upłynęły, zanim rząd odniósł się na poważnie do ogólnopolskiego protestu rolników i sadowników. Choć od tygodni alarmowali oni w sprawie skandalicznie niskich cen skupu owoców, niepokrywających nawet kosztów produkcji, premier rozkładał ręce. Za jabłka, maliny czy wiśnie skupy płaciły po kilkadziesiąt groszy, by potem sprzedać je z potężną marżą. Zmonopolizowane przez kapitał zagraniczny skupy i przetwórnie paraliżowały polskich rolników przez lata. Trudno się więc dziwić tym dramatycznym protestom.

Początkowo rząd odniósł się do sprawy z dużym dystansem, tłumacząc, że to wina poprzedników. Szef rządu nie wyszedł do uczestników protestu, a „Wiadomości" przemilczały temat. Oburzenie społeczne jednak wzbudziło refleksję. Po kilku dniach Mateusz Morawiecki wspólnie z ministrem Janem Ardanowskim przedstawili rządowy #PlanDlaWsi. Zadeklarowali, że „rolnictwo ma stać się lokomotywą polskiej gospodarki". Wyznaczyli trzy główne kierunki: ochrona, wsparcie i rozwój, opisując ich szczegółowe rozwiązania.

Ważny zwrot akcji. Dowodzi, że politycy PiS potrafią korygować błędy. Wzmocnienie polskiego rolnictwa, zagwarantowanie bezpieczeństwa żywnościowego i działania repolonizacyjne były przecież ich mocnymi obietnicami wyborczymi. W porę zrozumieli, że jeśli nie rozwiąże się problemów polskiej wsi, stracą jej głos. Oby „mądrość etapu" działała zawsze na korzyść obywateli i naszego wspólnego interesu narodowego.

Marzena Nykiel

Fot. Julita Szewczyk

42/0118/F, 44/0118/F, 62/0118/F, 28/0218/F, 58/0118/F

eprasa.pl db0df14551

SIECI spis treści

33 *Trzaskowski – człowiek z innej rzeczywistości* *Konrad Kołodziejski*

44 Epidemia słodka tylko z nazwy *Dorota Łosiewicz*

60 Burzliwa eskapada Trumpa *Jan Rokita*

NA POCZĄTEK

6 **NIEOFICJALNY PRZEGLĄD TYGODNIA** Sygnalista

8 **POJEDYNEK W SŁOŃCU (PERU)** Krzysztof Feusette

10 **LATO Z ŻARTEM (2)** Jan Pietrzak

11 **ZŁOWIESZCZY UROK ŚWIĘTA PIŁKI** Bronisław Wildstein

14 **ŚWIATOWE ŻYCIE** redaguje Piotr Skwieciński

16 **OGNIEM NA WPROST** Andrzej Rafał Potocki

17 **MATEMATYCZNA PRECYZJA** Marta Kaczyńska

18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY** Dorota Łosiewicz

19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU** Dominik Zdort

20 **FELIETONY** Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **Z JACKIEM KURSKIM** rozmawia Michał Karnowski

KRAJ

30 **ODWRÓT TUSKA** Stanisław Janecki

33 **TRZASKOWSKI – CZŁOWIEK Z INNEJ RZECZYWISTOŚCI** Konrad Kołodziejski

36 **DO CZEGO SŁUŻĄ KOŚCIOŁY** Grzegorz Górny

39 **Z JANEM OŁDAKOWSKIM** rozmawia Marcin Wikło

44 **EPIDEMIA SŁODKA TYLKO Z NAZWY** Dorota Łosiewicz

SIECI KULTURY

47 **MAMMA MIA. ZNÓW TU SĄ** Jolanta Gajda-Zadworna

50 **SERIALE NA LATO** Łukasz Adamski

53 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM** Piotr Zaremba

54 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY** Wojciech Stanisławski

56 **POLECA I ODRADZA** Łukasz Adamski

HISTORIA

58 **W SKARPETKACH NA WOLNOŚĆ** Grzegorz Majchrzak

ŚWIAT

60 **BURZLIWA ESKAPADA TRUMPA** Jan Rokita

63 **„WIELKI SZACHISTA" WYGRAŁ PARTIĘ** Piotr Skwieciński

66 **POLITYCZNY SPÓR O APOLITYCZNY SĄD** Aleksandra Rybińska

OPINIE

70 **CO ZROBIĆ Z „INNYMI"?** Bronisław Wildstein

SPORT

78 **PATRIOTYCZNE UNIESIENIE** Goran Andrijanić

81 **JAK UPADAŁY MITY** Cezary Kowalski

NATURA DLA LUDZI

84 **POSZUKIWANY ŻYWY LUB MARTWY** Przemysław Barszcz

KUCHNIA

86 **MOJE SMAKI: TOMASZ JAKUBIAK** Jolanta Gajda-Zadworna

87 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM** Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

88 **KONIEC TARYFY ULGOWEJ** Piotr Skwieciński

89 **DOOKOŁA EUROPY** Krystyna Grzybowska

90 **GERSDORF W KARLSRUHE** Wojciech Reszczyński

91 **FELIETONY** Witold Gadowski, Lech Makowiecki

92 **ROZWIĄZANIE** Aleksander Nalaskowski

93 **MALINY PO PIERWSZE** Wiktor Świetlik

94 **HUMANAE VITAE – ODRZUCONE PROROCTWO** Jan Pospieszalski

95 **FELIETONY** Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

96 **REMINISCENCJE SOPOCKIE** Ryszard Makowski

97 **O PORANKU, U WERANDY...** Leszek Długosz

98 **„ZASZYTE" W TEMACIE MIGRACJI** Andrzej Zybertowicz

2/0718/F

eprasa.pl db0df14551

Szybki dostęp do lekarza

bez skierowania i kolejki

Wybierz prąd z pakietem medycznym

Zapewnij sobie i swojej rodzinie wsparcie medyczne najwyższej jakości. Zyskaj szybki dostęp do wykwalifikowanych lekarzy (do 24h u lekarza podstawowej opieki oraz do 5 dni roboczych u specjalisty), badań laboratoryjnych, USG i RTG.

Zamów już dziś na energa.pl/nazdrowie

Energa

W ramach Oferty „Energia na zdrowie Premium Rodzinna", obowiązującej od dnia 10 lipca 2018 do dnia 31 stycznia 2019 r., Klienci, którzy są konsumentami, są przyłączeni do sieci dystrybucyjnych Operatorów Systemów Dystrybucyjnych - Enea Operator Sp. z o.o., ENERGA OPERATOR S.A., PGE Dystrybucja S.A, innogy Stoen Operator Sp. z o.o., Tauron Dystrybucja S.A. (zwanych dalej OSD), korzystają z jednostrefowych grup taryfowych lub dwustrefowych grup taryfowych u swojego OSD i nie korzystają z taryfy antysmogowej (grupa taryfowa G12as u dystrybutora), zawrą Umowę kompleksową ze Sprzedawcą i nie korzystają z liczników przedpłatowych zostaną objęci Pakietem medycznym od dnia wskazanego w umowie, nie wcześniej niż po skutecznym przeprowadzeniu procesu zmiany sprzedawcy. Oferta obowiązuje przez okres 24 miesięcy. Zakres usług medycznych oraz świadczeń wykonywanych przez placówki medyczne jest zróżnicowany w zależności od wybranego Pakietu medycznego. Oferta nie obejmuje opłat za dystrybucję prądu. Szczegóły znajdują się u przedstawicieli ENERGA – OBRÓT SA.

eprasa.pl db0df14551

Przegląd Sygn

Pani Gersdorf wróciła z urlopu, bo – jak twierdzi – już w siedmiu jeziorach popływała i dość. Ale prawda jest inna. Centralny Ośrodek Kierujący Establishmentu III RP, czyli Czerska, nakazał pilny powrót, bo zrobiło się niebezpiecznie, gdy na pierwszy plan wysunął się biograficzny kłamca i dość prostacki w języku sędzia Jerzy Iwulski. Po kraju poszedł ponadpartyjny krzyk rozpaczy: „A więc to tacy ludzie tam się okopali? To ich mamy bronić jako symboli niezależnego sądownictwa?". W thrillerze o reformie sądownictwa byłaby to jedna z piękniejszych scen.

★ ★ ★

„Gdyby Jarosław Kaczyński zdecydował się kandydować na prezydenta, to stanąłbym do takiego pojedynku" – ogłosił ***Donald Tusk***. Czy to tania próba sprowokowania prezesa PiS, czy pierwsza wymówka, by jednak nie wracać i się nie bić, czy też wymyślony na kolanie „fein" greps bez głębszej treści, nie wiadomo. Jedno warto zauważyć: Tusk jest w nastroju dość frywolnym. Zawsze bawił się znacznie lepiej niż jego nadęci epigoni.

★ ★ ★

Tusk ujawnił także, że prosił w Brukseli premiera Mateusza Morawieckiego o spotkanie w sprawie noweli ustawy o IPN. „Nie zdecydował się na rozmowę wówczas, a miałem pomysł, żeby dużo szybciej wyjść z tego zakrętu" – relacjonuje były premier. W słowach „dużo szybciej wyjść z tego zakrętu" jest wszystko. Taka była przecież odpowiedź Tuska na każdą presję, czy ze Wschodu, czy z Zachodu, czy z Południa.

★ ★ ★

Epigoni Tuska też bawią się coraz lepiej. ***Joanna Schmidt***, przyboczna Ryszarda Petru, wwiozła na teren Sejmu w bagażniku swojego samochodu przedstawicieli Obywateli RP: Pawła Kasprzaka i Wojciecha Kinasiewicza. Wygląda na to, że gdy przestajesz wierzyć w swój własny sukces wyborczy, zaczyna się prawdziwy fun. To samo przeżywają uczniowie z ostatnich ławek, którzy już wiedzą, że nie zdadzą do kolejnej klasy.

★ ★ ★

Nawet tonąca Nowoczesna wciąż wiele wnosi do naszego życia publicznego. ***Krzysztof Mieszkowski*** ogłosił, że wie, dlaczego tak słabo wypadliśmy na mundialu. „Być może polska drużyna była tak słaba, bo zabrakło nam piłkarzy pochodzących z Afryki czy z Azji" – przekonywał z sejmowej mównicy. Ale tego też już próbowaliśmy. W 2002 r. na boiskach Korei Płd. i Japonii również nie wyszliśmy z grupy, choć w naszym ataku grał Emmanuel Olisadebe.

★ ★ ★

Onet postanowił zdemaskować prezydent Chorwacji Kolindę Grabar-Kitarović, zyskującą globalną sławę w związku z sukcesami chorwackich piłkarzy. „Swój nacjonalizm wyraźnie zaznaczyła w debacie na temat migracji. Ramię w ramię z politykami Prawa i Sprawiedliwości oraz Viktorem Orbánem podgrzewała islamofobiczne nastroje, multiplikowała mity na temat uciekinierów oraz podsycała strach. Twierdziła, że do Europy nie przyjeżdżają uchodźcy, a tzw. migranci ekonomiczni, których trzon stanowią dorośli mężczyźni". W sumie: „Jej poglądy nie są już tak sympatyczne". Można powiedzieć: wręcz przeciwnie.

★ ★ ★

Ostrzeliwany z każdej strony i bez żadnego pardonu zarząd Polskiej Fundacji Narodowej w końcu upadł. To się nie mogło skończyć inaczej, skoro nawet duża część prawicy włączyła się do stadnej nagonki. I tak oto upupili Macieja Świrskiego – człowieka, który zrobił dla dobrego imienia Polski i dla zmiany władzy więcej niż stu kwękaczy razem wziętych. Kwękacze tak już mają: nie lu-

eprasa.pl db0df14551

bią, delikatnie mówiąc, tych, co mniej gadają, a więcej robią.

★ ★ ★

Portal Polonia Christiana sprawdził u źródła, co naprawdę ***Szewach Weiss*** powiedział izraelskiemu radiu Galej Zahal. I okazało się, że padły takie oto słowa: „Rząd Polski na uchodźstwie, a w szczególności polskie podziemie, a w szczególności Armia Krajowa, były takie przypadki, że byli szmalcownikami lub sami mordowali Żydów". Czyli jednak Weiss mówił o rządzie RP na uchodźstwie. W tak trudnym dla Polski czasie czekaliśmy jednak na inne słowa.

★ ★ ★

Według sondażu Kantar Public PiS sporo traci. Wciąż prowadzi z poparciem na 34 proc., ale to o 7 punktów mniej niż w poprzednim badaniu. Platforma może się pochwalić poparciem na poziomie 23 proc., co daje wzrost o 3 punkty. Czy to tylko wahnięcie, czy może tąpnięcie? Czy to cena za wycofanie się z ustawy o IPN, czy może wynik niepokojów na wsi? Za wcześnie na ocenę. Jedno jest pewne: warto jasno mówić, dokąd idziemy. Bez tego najlepsze programy socjalne niewiele pomogą.

★ ★ ★

Na przykład w sprawie rolnictwa. Jeśli rolnik dostaje za kilogram owoców kilkadziesiąt groszy, a my płacimy w sklepach kilkanaście złotych, to naprawdę coś jest nie tak. I żadne „ale" tu niczego nie tłumaczą. Te i inne patologie same się nie zlikwidują. Polskę trzeba sprzątać, trzeba ją przebudowywać, i to od fundamentów. A zrobić to może tylko państwo polskie. Owszem, nie wszystko na raz, ale też nie wszystko później.

★ ★ ★

Choć akurat w sprawie Solarisa rząd nie zawinił. Naprawdę chciał kupić tego polskiego do niedawna producenta autobusów, naprawdę miał mocną ofertę. Ale, jak nam donoszą dobrze poinformowani, sprzedający zerwał na ostatniej prostej negocjacje, wybierając hiszpańskiego partnera. „W naszym odbiorze zdecydował czynnik polityczny: byle nie dać pisowcom sukcesu" – mówi osoba znająca kulisy. Cóż, prawdziwy finał tej transakcji poznamy za mniej więcej dekadę.

★ ★ ★

Skoro już o pieniądzach mowa. Grupa TVN miała w 2017 r. 1,81 mld zł przychodów i 466,22 mln zł zysku netto. Grupie RMF z 267,4 mln zł wpływów wyszedł zysk w wysokości 133,3 mln zł. Agora ogłosiła, że wyda prawie miliard na inwestycje. Tak się żyje mediom opozycyjnym w strasznych czasach pisowskiego reżimu. Nie zazdrościmy, ale pamiętajmy o tych liczbach, gdy znowu ogłoszą, że zakonnik z Torunia lub jakaś prawicowa firma z obrotami rocznymi rzędu 30 mln budują „imperium".

★ ★ ★

Ciekawostka z Węgier. Przed ostatnimi wyborami węgierska lewica bardzo liczyła na głosy miejscowych Romów. Ale Cyganie swój rozum mają i masowo zagłosowali na Fidesz Viktora Orbána. Dlaczego? Przekonał ich prosty argument: jeśli wygra lewica, ściągnie dziesiątki tysięcy imigrantów z krajów muzułmańskich i to do nich skieruje cały socjal. Gdyby wszyscy wyborcy tak dobrze rozumieli swój interes, lewica nie miałaby w Europie żadnych szans.

★ ★ ★

Na razie jednak lewica wzmacnia swoje wpływy w Kościele. Głosy konserwatywne są, często brutalnie, wyciszane, czynniki lewicowe zyskują pełną swobodę działania. Jak słyszymy, postępuje też wewnętrzna przebudowa pewnego katolickiego tygodnika, który długo cieszył się spokojem i pozycją lidera sprzedaży. Każdy ma oczywiście prawo układać swoją własność, ale warto przestrzec, że prawdziwym celem lewicy kościelnej sprzymierzonej z Czerską nie jest żadne „wygnanie PiS z Kościoła", lecz wygnanie wiernych z Kościoła. Tak to się skończy, bo tak to zrobiono we Francji, w Niemczech, Irlandii czy Belgii.

eprasa.pl db0df14551

Pojedynek w Słońcu (Peru)

KRZYSZTOF FEUSETTE

Nie mówię „tak", nie mówię „nie", nie mówię, że w ogóle coś mówię. Kto ma wiedzieć, ten wie, a kto nie wie, ten nie ma.

Jeśli komuś się wydaje, że ja będę te rozgotowane brukselki do końca życia konsumował, to jest w błędzie. Raz, że od tego angielskiego to już mnie głowa boli, dwa, że za chwilę może nie być po co się pakować i do czego. Koncepcja jest prosta: wracam i wszystko wywracam. Grzesiu to niech już sobie kasę na nowe zęby zbiera, tak mu przylutuję za to, co nawyrabiał. Będzie skamlał jak ten pies, co piłką w pysk oberwał.

Ale to potem. Najpierw trzeba dobrze zorganizować prezydenckie. Ja z Dudą startować nie będę, bo ja nie jestem Rysiek i mnie akurat kompromitacja nie jest do niczego potrzebna. Ja muszę się bić z Kaczyńskim, jeśli on nie startuje. Trzeba go wyzwać. A najlepiej na pojedynek. Wtedy będzie wiadomo, że Duda jest jakby w jego zastępstwie, więc mu się elektorat negatywny poszerzy i trochę się tych biedaków z centrum podbierze. Miśka weźmiemy do sztabu i Romka. Już oni będą wiedzieli, co u Olejnikowej mówić.

Romuś to się w ogóle bardzo rozwinął, już mu ta głowa tak na boki nie lata i pani redaktor widać, że go lubi. Może nawet miętę do niego czuje? Albo od niego? Nie wiem. Ale wiem, że tak już jest: są ludzie, którzy lubią konie, i są tacy, co lubią Romana. Jak on teraz pięknie próbował tłumaczyć to moje Kaczyńskiego wyzwanie – że ja to niby Novak Djoković, a Kaczyński – Rafael Nadal. I że Djoković, jak chce kogoś na pojedynek wyzwać, to nie Janowicza. Nie wiem, co Janowicz na to porównanie, ale na miejscu Romusia profilaktycznie pod backhand bym panu Jerzemu przez jakiś czas nie podchodził. Zresztą skąd on taką wiedzę o sporcie posiadł, to tylko on sam będzie wiedział. Fakty są takie, że tenis od boksu trochę się różni i nikt się na żadne pojedynki tam nie wyzywa. Ja bym zresztą Romusia bardziej w polo widział. Ktoś powie: nie wejdzie nawet przez bagażnik. A ja mu powiem: nie o markę samochodu mi chodzi, tylko o sport taki. Na koniach jeżdżą i kijami w piłkę walą.

Niestety w Brukseli o dobrego konia trudniej niż o stado osłów. Junckera ciągle trzeba pilnować, żeby komuś w zupie nie usiadł, a jak cię trzy razy nie klepnie, to uważa, że dzień stracony. Rozmach ma przy tym taki, że mi wczoraj prawie palec do oka wsadził. „Rwa kulszowa" – dobre. Raczej „wyrwa koszulowa", bo raz, że spustoszenie moralne, a dwa, że jak kamer nie ma, to on się wyrywa. A potem mówi, że ma skurcze. I wiecznie tylko: „podaj płaszcz", „podaj szkło", „wyrzuć butelki". Co ja jestem, chłopiec na posłanki? Przepraszam – na posyłki? Potem ludzie mówią, że stanowisko jest zbędne. Jak ma nie być zbędne, skoro teraz krakersy wszyscy już sami sobie rozstawiają, talerzyki stoją, zanim przyjdę, a na szatniarza to trzeba trochę więcej po angielsku nawijać niż „drodzy przyjaciele, sytuacja jest trudna".

Zresztą i tak zaraz wyjeżdżam. Trochę wiatru jeszcze człowiek porobi, Jeana-Claude'a parę razy do Timmermansa odniesie i „Bek tu Połlend", że tak powiem. A tam już KOD-Kapela, występy aktorów i dzieci z kwiatami. Co z tego, że resortowe? Nawet lepiej, żeby Czerska z Wiertniczą sprzyjały sprawie. Inna sprawa, że i tak muszą, bo innego konia do postawienia na razie dla nich nie ma. No, chyba że Komorowski, ale to bardziej jakby kabareton sponsorowali.

Martwię się trochę o tego Trzaskowskiego, że taki jest do „wujka Bronka" podobny. Taki ufny w siebie samego. A już jak z tym Geremkiem wyjechał, że to jego guru, to myślałem, że się z Grasiem posikamy. Żal chłopaka, że musi za Hankę oczami świecić, no ale widziały gały, za co w sztabie forsę brały. Mnie to by się bardziej Biedroń marzył w stolicy. Rafałek nie musiałby w końcu tej ławeczki dla aktywu targać. Niestety na chwilę obecną to ja nie mam czasu, żeby komuś politycznego teflonu użyczać, bo ja sam muszę być teraz czysty jak patelnia Cezara. Dlatego Kaczyńskiego trzeba sprowokować, żeby coś o Dudzie wspomniał. Wtedy Duda się gotuje, a ja wjeżdżam do kraju na pełnym luzie z pozycji rozjemcy pisowskich goryli.

Tylko kim ja wtedy mam zostać? Premierem byłem, prezydentem mi się nie uśmiecha, bo od pilnowania żyrandola to można zakonnicę przejechać. Jak mnie się podoba, że ta Olejnikowa mnie nie zapytała o to, dlaczego jak Kaczyński wcześniej startował, to ja nie chciałem. Musiałbym chyba wilcze oczy zrobić. Na szczęście są jeszcze uczciwi dziennikarze, którzy znają rękę, co ich karmi, i którzy na tę rękę ręki nigdy nie podniosą, bo ręka by im uschła.

Dobra, wróćmy do meritum: wyzwałem Kaczyńskiego i co dalej? Strzelamy do siebie czy walczymy na szpady? Karate czy podbijanie piłeczki? Malowanie kominów czy konkurs wiedzy o kotach? Nie, to ostatnie odpada. To może – kto szybciej paluszki słone do kubeczków rozłoży? Albo powie: „Ja, ja, naturliś, frał Merkel"? Śliski temat, na szczęście myśmy zawsze byli za nieprzyjmowaniem uchodźców, że o swoich wysiłkach na rzecz walki z przymusową relokacją już nawet nie wspomnę. No, ale co ja mogłem? Nie będę się wcinał, bo nie od tego jestem. Polski mi Franz pilnuje, a jak nie wie, co mówić, to mu Róża „Wyborczą" przetłumaczy. Świetna kobieta, też od zawsze była przeciwna imigrantom. A jak mówiła, że musimy ich przyjmować, to kogo ostatecznie w pole wyprowadziła? No przecież, że tych imigrantów.

11/0718/F

eprasa.pl db0df14551

POD PATRONATEM „NIEDZIELI"

KSIĄŻKA DLA CIEBIE

30 zł + KOSZT WYSYŁKI

Reporterskie śledztwo w sprawie duchowego serca Polski. Czy modlitwa przed obliczem Matki Bożej Jasnogórskiej ma rzeczywiście wyjątkową moc? Czy to właśnie przed tym obrazem zapadały najważniejsze decyzje dla historii Polski?

CUDA DZIEJĄ SIĘ PO CICHU

O JASNOGÓRSKICH CUDACH I ŁASKACH

Od ponad 600 lat na Jasną Górę przybywają pielgrzymi po pomoc, nadzieję i otuchę. W trudnych momentach przed Cudownym Obrazem Matki Bożej klękali królowie i dowódcy.

Jasna Góra – maryjna twierdza, strażniczka polskiej niepodległości, której nie pokonały ani potop szwedzki, ani nienawiść rosyjskich namiestników, ani niemiecka eskadra bombowców.

Książka „Cuda dzieją się po cichu. O jasnogórskich cudach i łaskach" jest efektem wnikliwych badań nad nigdy nieopublikowanymi jasnogórskimi dokumentami oraz rozmów ze strażnikiem cudów – kustoszem głównego Archiwum Zakonu na Jasnej Górze o. Melchiorem Królikiem OSPPE. Od ponad 40 lat spisuje on świadectwa ludzi, którzy doznali cudów bądź doświadczyli łask za przyczyną Matki Bożej Częstochowskiej. Książka zawiera również osobiste, nieoczekiwane przeżycia autorki, których doznała w wyniku spotkań z częstochowską Madonną.

Anita Czupryn w 300-lecie koronacji Cudownego Obrazu Matki Bożej postanowiła odwiedzić jasnogórskie sanktuarium i sprawdzić, w czym tkwi sekret tego wyjątkowego dla Polaków miejsca.

Anita Czupryn, „Cuda dzieją się po cichu. O jasnogórskich cudach i łaskach". Wydawnictwo FRONDA PL Sp. z o.o.

ZAMÓWIENIA:
Redakcja Tygodnika Katolickiego „Niedziela"
ul. 3 Maja 12, 42-200 Częstochowa
telefonicznie: **34 365 19 17, 34 369 43 00, 34 369 43 52**
koszty wysyłki pokrywa zamawiający
www.ksiegarnia.niedziela.pl pocztą elektroniczną: **kolportaz@niedziela.pl**

eprasa.pl db0df14551

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Lato z żartem (2)

Za nami epokowe wydarzenie – spotkanie prezydentów Rosji i USA, Putina z Trumpem. Warto więc przypomnieć spotkanie Reagana z Gorbaczowem w Reykjavíku. Otóż na wstępie, jak odnotowali dziennikarze, prezydent Reagan opowiedział Gorbaczowowi żart przysłany mu z Moskwy przez wywiad. A był to czas, kiedy Gorbaczow próbował walczyć z rosyjskim pijaństwem, ograniczając sprzedaż alkoholu. W kolejce do sklepu alkoholowego stoi dwóch podchmielonych kolegów i narzeka na jej długość. W końcu jeden mówi: „Ja tu już nie wytrzymuję. Pójdę na Kreml i zabiję tego Miszę...". Po godzinie wraca. Kumpel pyta: „I co, zrobiłeś to?". „Nie, bo tam jeszcze dłuższa kolejka".

Jan Pietrzak

Inna sytuacja – konferencja prasowa, podczas której pojawia się określenie „imperium zła". Z sali pada pytanie: „Jak pan prezydent wyobraża sobie koniec zimnej wojny?". Reagan mówi: „To proste, my wygrywamy, oni przegrywają".

W odpowiedzi na zarzut, że drzemał podczas jakiegoś spotkania, prezydent USA odpowiedział: „Wydałem polecenie, by budzono mnie zawsze, gdy zagrożone jest bezpieczeństwo państwa, nawet gdy jestem akurat na posiedzeniu gabinetu". Kiedy kpiono z niego, że jest leniwy, powiedział: „Ciężka praca jeszcze nikomu nie zaszkodziła, ale po co ryzykować?". W trakcie kampanii wyborczej: „Recesja jest wtedy, gdy twój sąsiad traci pracę. Depresja, gdy ty tracisz pracę. Uzdrowienie, gdy Jimmy Carter traci pracę".

Jeszcze parę bon motów: „Zauważyłem, że ci, którzy najmocniej krzyczą za aborcją, zdążyli się już urodzić". „Państwo jest jak niemowlak. Z jednej strony ciągły apetyt, z drugiej – brak odpowiedzialności za swoje czyny".

„Politykę uważa się za drugi najstarszy zawód świata. Doszedłem do wniosku, że jest bardzo podobny do pierwszego".

Prawdziwe oburzenie w poprawnym politycznie świecie wywołał ryzykowny żarcik podczas próby mikrofonu. To znany w show-biznesie zwyczaj, że wygaduje się wtedy różne dyrdymały. Ronald Reagan w 1984 r., sprawdzając mikrofon w radiu, puścił taki tekst: „Rodacy! Amerykanie! Z radością komunikuję wam, że dziś podpisałem ustawę o delegalizacji Rosji po wsze czasy. Za pięć minut zaczynamy bombardowanie". Ech, żartowniś...

Być gotowym do akcji

Z aktorem Phillippe'em Tłokińskim rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Które nazwisko mocniej podniosło panu ciśnienie: Pasikowski proponujący główną rolę czy Nowak-Jeziorański, w którego ma się pan wcielić w powstającym właśnie filmie „Kurier"?

Phillippe Tłokiński: Szanuję jednego i drugiego. Z powodu obu byłem onieśmielony. Gdy przyszła propozycja roli, najpierw czułem niedowierzanie, potem lekki strach: „Czy udźwignę?", ale szybko powiedziałem sobie: „Idziemy do przodu".

W kameralnej „Nocy Walpurgi", świetnie przyjętej dwa lata temu, pokazał pan aktorski potencjał. Jak przygotowywał się pan do obecnej produkcji?

Przez dwa miesiące miałem intensywne treningi fizyczne, by być gotowym na sceny akcji. Poza tym poznawałem swojego bohatera. Zafascynowały mnie wartości, którym był wierny. Czuję odpowiedzialność, jaka wiąże się z tą postacią.

Reżyser i producenci podkreślają: to nie film biograficzny, ale inspirowana życiem tytułowego kuriera szpiegowsko-sensacyjna opowieść, trochę w stylu bondowskim. Jak pan to widzi?

Dla mnie kluczowa w filmie jest misja, jakiej podjął się Jeziorański. Zwykły człowiek, który staje się bohaterem. Jego główną cechą jest odwaga. I poświęcenie konieczne, by dojść do celu.

Co jeszcze zbuduje tę postać?

Scenariusz niesie w sobie wiele scen bardzo dynamicznych. Widzimy w nich człowieka czynu. Z drugiej strony pojawiają się dwie piękne kobiety. I bohater nie tylko pokonuje przeciwników, lecz także umie oczarować.

Czy dzięki tej roli zostanie pan aktorskim królem strzelców, jak tata na boisku przed laty?

Oby. [śmiech]

Fot. Rafał Wielgus, MPW

eprasa.pl db0df14551

BRONISŁAW WILDSTEIN

Złowieszczy urok święta piłki

Minął tydzień od mundialu, który stał się wielkim wizerunkowym triumfem Putina. Czas więc zastanowić się nad tym ponurym fenomenem.

Rosję na gospodarza mundialu 2018 wybrano w grudniu 2010 r. O państwie tym wiadomo było już prawie wszystko. Putin do władzy doszedł po serii zamachów na domy mieszkalne w Bujnaksku, Moskwie i Wołgodońsku, w których zginęło ok. 300 Rosjan, o co oskarżeni zostali Czeczeni. Dane wskazują, że była to prowokacja służb specjalnych, które miały wykreować Putina na zbawcę Rosji. Okazała się skuteczna. Nowy prezydent dokonał niezwykle brutalnej pacyfikacji Czeczenii, która kosztowała życie kilkadziesiąt tysięcy jej mieszkańców, a kraj oddany został we władanie zależnym od Moskwy bandytom. To zresztą praktyka działania Putina. Podobnie nadzorowane jest, bezpośrednio kontrolowane przez Moskwę, oderwane od Mołdawii Naddniestrze, a na Kaukazie quasi-państewka Abchazji czy Osetii Południowej.

Gangsterskie metody stanowią regułę w samej Rosji, gdzie mordowani są niepokorni dziennikarze, prawnicy, biznesmeni czy politycy. Wolność słowa została zdławiona, a korupcja wpisana jest w funkcjonowanie państwa. Sam Putin dorobił się na niej gigantycznego, choć nieoficjalnego, majątku. A bandyckie działania eksportowane są na cały świat, gdzie ścigani są i zabijani przeciwnicy reżimu. Niektóre morderstwa, jak Aleksandra Litwinienki, trudno było ukryć, innych, jak Borysa Bieriezowskiego, opinia światowa wolała nie zauważać.

W 2008 r. Rosja zaatakowała Gruzję, co jednak wywołało szok. Agresja na uznane powszechnie państwo wydawała się czymś niemożliwym. Wszystko to nie przeszkodziło doszczętnie skorumpowanej organizacji, jaką jest FIFA, w wyborze Rosji na gospodarza mundialu. Od tego czasu zdarzyło się jednak coś więcej. Rosja zaatakowała Ukrainę, odebrała jej Krym i prowadzi przeciw niej stałą militarną agresję.

Zabijaniem Czeczenów, których Moskwa wepchnęła w ramiona fundamentalistów, Zachód się nie przejmował. Gruzja była mała i daleka, co powodowało, że nie była brana pod uwagę. Ukraina to duży kraj. W 1994 r. za rezygnację z broni atomowej otrzymała od Rosji, USA i Wielkiej Brytanii gwarancję suwerenności i integralności swoich granic. Kiedy w 2014 r. Rosjanie zestrzelili nad Ukrainą malezyjski samolot wiozący głównie Holendrów, pojawiły się głosy, aby zbojkotować mundial. Zagłuszone zostały chórem wołania, aby „nie mieszać polityki do sportu". Bo zabijanie ludzi to brzydka polityka, którą nie powinniśmy zaprzątać sobie głowy, w przeciwieństwie do pięknego sportu, na którym mordercy robią doskonałe interesy. Naturalnie, nie tylko oni.

Kiedy w marcu tego roku na terenie Anglii Rosjanie otruli Siergieja Skripala i jego córkę, wydawało się, że cierpliwość Londynu, a w konsekwencji Zachodu, wyczerpie się. To był już któryś z rzędu zamach ze strony Moskwy na mieszkańca Wielkiej Brytanii. Bojkot mundialu ze strony Zachodu byłby w sumie najtańszą i najbardziej dotkliwą nauczką dla Rosji i można mieć pewność, że przyniósłby efekty. Nie doszło do niego najprawdopodobniej z powodu obaw polityków przed reakcją pozbawionych oczekiwanej zabawy społeczeństw Zachodu.

Trudno znaleźć wymowniejszą miarę degrengolady. Najważniejsza okazuje się bierna rozrywka: wgapianie się w ekrany i fiksacja na tym, kto komu strzeli gola. Nie chcę zajmować się przy tej okazji zjawiskiem kibicowania, chociaż związane z nim nieadekwatne emocje prowokują do postrzegania go jako działania zastępczego: życie wypierane jest przez substytut, a kwestionowane, zbiorowe tożsamości uciekają w zastępcze i trywialne formy. W tym wypadku jednak kontrast między realnym zagrożeniem, jakie niesie Rosja Putina, i groteskową w tym kontekście ekstazą „piłkarskiego święta" jest czymś szczególnym.

Identyczne namiętności przeżywali kibice olimpiady w Berlinie w 1936 r. A Hitler w tamtym czasie nie miał za sobą tego, co Putin dziś. Weźmy jednak w nawias skalę zagrożenia i zastanówmy się nad fenomenem zabawy z krwawym bandytą. Sportowe igrzyska odbywają się w trakcie agresji, którą ich gospodarz prowadzi na sąsiednie państwo, a każdego dnia w trakcie piłkarskiego karnawału zabija kolejnych jego obywateli. Nasze uczestnictwo w futbolowych igrzyskach usprawiedliwia go i ułatwia mu zadanie.

Ale kto by się tym przejmował. Chodzi przecież o urok kopanego sportu, a jego wartość wylicza się poprzez liczbę przeżywających te same emocje. Lubiący efekty pisarz powiedział niedawno, że piłka nożna jest ważniejsza od życia. Właśnie.

Fot. Andrzej Wiktor

Damski bokser

Niech państwa nie zmylą te kule u boku Marka Chmaja. Jeden z dyżurnych polskich konstytucjonalistów nie wyglądał na kontuzjowanego i epatował ofensywną formą w czasie przesłuchania swojego klienta Jana Vincenta Rostowskiego. Obaj często przekraczali granice faulu, zwłaszcza na szefowej komisji Małgorzacie Wassermann.

W czasie sejmowego śledztwa ws. Amber Gold widzieliśmy już wiele obliczy buty, amnezji czy piętrowych kłamstw, ale duet Chmaj–Rostowski w pewnych kategoriach nie miał sobie równych. Były minister finansów wszedł na niespotykany, nawet dla byłej władzy, poziom bezczelności. Zamiast brytyjskiego dżentelmena zobaczyliśmy dumnego ze swoich chamskich popisów damskiego boksera, z sekundującym mu w tandetnym rozbawieniu profesorem prawa. Ich strategia stała się jasna od pierwszych minut: grać na zwłokę przy każdej odpowiedzi, prowokować, rżnąć głupa, obrażać i robić z przesłuchania najtańszy polityczny spektakl.

Było to tak odpychające, że mogło zyskać uznanie wyłącznie wśród najtwardszych Obywateli RP, w tym czasie akurat zajętych próbą szturmowania barierek przed Sejmem, podróżowaniem w bagażnikach aut eksposłów Nowoczesnej lub bazgroleniem sprejem po parlamentarnych budynkach – czyli chuliganerką na podobnym poziomie.

Osobną sprawą są bzdury, które Rostowski wygadywał do mikrofonu. Chciał, byśmy uwierzyli, że minister finansów do maja 2012 r. (czyli przez trzy lata!) nie wiedział o istnieniu podatnika o nazwie Amber Gold (jednej z najmocniej reklamujących się spółek w sektorze finansowym). Zarzekał się, że bardziej od klientów Amber Gold (18 tys. ludzi i 800 mln zł ich oszczędności) troszczył się o los pasażerów OLT, których upadek mógłby utrudnić Polakom powroty z wakacji. Przekonywał, że interwencja służb skarbowych, by wyegzekwować sprawozdawczo-podatkowe powinności przedsiębiorcy, mogłaby tylko… wydłużyć jego przestępczą działalność. Takiego mieliśmy wicepremiera!

Przy okazji opadła maska prof. Chmaja jako rzekomo niezależnego prawnika, w którego obiektywne opinie tak chętnie wsłuchują się media III RP przy każdej kwestii dotyczącej zmian w prawie przeprowadzanych przez ekipę rządzącą. Już wiadomo, dlaczego Chmaj tak zażarcie walczy z PiS. Dla PO jest po prostu człowiekiem do wynajęcia.

MP

epresa.pl db0df1455

Fot. PAP/Rafał Guz

epr[illegible]4551

Włochy

Proces o wolność słowa

W Turynie rozpoczął się proces Silvany De Mari – pisarki, której powieści fantasy wydawane są na całym świecie. Autorka para się nie tylko literaturą, lecz jest także lekarzem trzech specjalizacji, w tym psychoterapeutą. I właśnie tej dziedziny dotyczy sprawa, która zaprowadziła ją na ławę oskarżonych.

De Mari powiedziała bowiem, że orientacja homoseksualna jest odwracalna, a jej praktykowanie wiąże się z poważnym zagrożeniem dla zdrowia. Z tego powodu została pozwana przez środowiska LGBT. Lider lobby gejowskiego w Turynie Alessandro Battaglia oświadczył, że obraziła rzesze homoseksualistów.

Adwokat pisarki prof. Mauro Ronco uważa, że stawką procesu jest wolność słowa we Włoszech. Po raz pierwszy bowiem przed sądem stanął lekarz oskarżony o ujawnienie danych naukowych oraz wyrażenie własnej opinii medycznej. Autorka, mówiąc o zdrowotnych aspektach stosunków jednopłciowych, powołała się bowiem na bogatą dokumentację medyczną. Wynika z niej, że stosunki analne niosą z sobą o wiele większe ryzyko różnych chorób niż stosunki waginalne. Tego rodzaju statystyki nie są jednak zazwyczaj upubliczniane z powodu poprawności politycznej. De Mari przerwała więc zmowę milczenia.

Pisarka nie uważa też, by swym twierdzeniem o odwracalności homoseksualizmu kogokolwiek obrażała. Na świecie istnieje wiele ośrodków terapeutycznych, które specjalizują się w doprowadzeniu osób o skłonnościach homoseksualnych do osiągnięcia trwałej dyspozycji do zawarcia stałego związku heteroseksualnego. Zgłasza się do nich wiele osób, które nie czują się szczęśliwe ze swym homoerotyzmem i proszą o ratunek. Dlaczego miano by im odmawiać prawa do pomocy?

W tej sprawie jak w soczewce skupia się niekonsekwencja ideologii gender. Główna teoretyczka tego ruchu Judith Butler utrzymuje, że nikt nie rodzi się mężczyzną ani kobietą, a płeć to nie stan, lecz płynny proces. Można więc dowolnie zmieniać swą płeć, gdyż wszystko pozostaje kwestią wolnego wyboru, a decydująca jest świadomość.

A jednak okazuje się, że nie wszystko jest płynne. Dowiadujemy się bowiem, że orientacji homoseksualnej nie da się zmienić, a ten, kto twierdzi inaczej, zasługuje na karę. Jeśli tak, to równie dobrze można by skazywać aktywistów gejowskich za mówienie, że heteroseksualizm jest odwracalny.

Grzegorz Górny

Wielka Brytania

Co to jest antysemityzm?

Nie od dziś wiadomo, że zachodnia lewica ma poważny problem z Izraelem. Z jednej strony dostrzega nacjonalistyczny charakter izraelskiej polityki, co budzi jej ideologiczny sprzeciw, ale jednocześnie próbuje stać w awangardzie walki z antysemityzmem, co z kolei poważnie utrudnia jej wyrażanie krytycznych opinii na temat Izraela.

Tej sytuacji nie ułatwia też wyznawana przez lewicę ideologia wielokulturowości, która zakłada m.in. wsparcie dla muzułmańskiej wrażliwości. A to coraz trudniej pogodzić ze zwalczaniem postaw antyżydowskich. Lewica stawiana jest tu przed wyborem, którego nie chce dokonać. To znaczy gdyby mogła, zapewne dokonałaby go, ale nie może się przecież narażać na zarzut antysemityzmu.

Próbę rozwiązania tego węzła gordyjskiego podjęła nowa sekretarz generalna brytyjskiej Partii Pracy Jennie Formby. Otóż komitet wykonawczy partii przygotował tzw. kodeks zachowania wobec antysemityzmu, w którym – mówiąc krótko – zdecydowano się oddzielić antysemityzm od krytyki Izraela. Uznano, że taka krytyka nie jest przejawem antysemityzmu, o ile nie towarzyszą jej „antysemickie intencje".

Nowy kodeks wywołał ogromne wzburzenie żydowskich członków partii, którzy zarzucili kierownictwu laburzystów niebezpieczne rozwadnianie pojęcia antysemityzmu. Jak stwierdzili, istnieje już tzw. robocza definicja antysemityzmu przyjęta przez IHRA (Międzynarodowy Sojusz na rzecz Pamięci o Holokauście), która mówi, że oskarżanie Państwa Izrael o działania rasistowskie jest przejawem antysemityzmu. Tak samo jak oskarżanie współobywateli żydowskiego pochodzenia o to, że są bardziej lojalni wobec Izraela niż własnego kraju.

Formby broni się, twierdząc, że z definicji IHRA nie wynika zakaz krytyki Izraela, jeśli wynika ona z innych niż antysemickie pobudek. Nie przekonuje to żydowskich członków partii. W ich opinii pobudki nie mają znaczenia. Argumentują, że odtąd każdy działacz laburzystowski będzie mógł bezkarnie atakować Izrael, zasłaniając się np. swoimi antyrasistowskimi poglądami. Tymczasem nikt nie będzie mówił żydowskiej społeczności, na czym polega antysemityzm – oburzają się.

Laburzyści stali się tym samym zakładnikami własnej ideologii. Zarzut antysemityzmu, którym zachodnia lewica, walcząc z przeciwnikami, szermowała na lewo i prawo, w końcu uderzył rykoszetem w nią samą. Bo lewica już wie, że nie da się jednocześnie wspierać Żydów i muzułmanów. Ale nie wie jeszcze, jak z tej pułapki wybrnąć.

Konrad Kołodziejski

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl db0df14551

Izrael

Putin i Tora

Yitzhak Josef to naczelny rabin żyjących w Izraelu Żydów sefardyjskich, czyli tych, których przodkowie zostali wygnani ze średniowiecznej Hiszpanii. Jest duchownym radykalnie konserwatywnym, a przy tym szowinistycznym. Jego poglądy na temat przeznaczenia nie-Żydów (stworzeni, by służyć narodowi wybranemu) były niejednokrotnie potępiane przez żydowskie autorytety, w tym Ligę przeciw Zniesławieniu.

Kilka lat temu Yitzhak Josef spotkał się w Moskwie z Władimirem Putinem. Opisał je później tak: „Myślałem, że będziemy mieli krótkie, kilkuminutowe spotkanie, z kilkoma zdjęciami, ale byłem zaskoczony. Siedział ze mną przez godzinę i kwadrans! Skąd on wziął na to czas?! Mówił przez cały czas, on nie zna hebrajskiego, a ja nie znam rosyjskiego, ale mieliśmy naszego ambasadora, który tłumaczył. Wyjaśniał, czym jest kultura grecka, kultura egipska i kultura rzymska. A potem nagle zaskoczył mnie i zapytał: »Rabbi, powiedz mi... wszystkie inne kultury zniknęły. Kto dziś pamięta kulturę grecką? Kto dziś wie, czym jest kultura rzymska lub egipska? Nikt już nie wie. A wy, Żydzi, pozostajecie! Czy możesz mi wyjaśnić, w jaki sposób wy przetrwaliście, podczas gdy wszystkie inne kultury zostały wymazane ze świata?«. Zacząłem mówić, ale on mi przerwał i powiedział: »Nie odpowiadaj mi, ja ci to wyjaśnię«. Co mi powiedział? Pamiętajcie – relacjonował rabin swoim słuchaczom – że Putin nie jest Żydem ani kimś, kto powrócił do judaizmu, jest nieżydowskim prezydentem połowy świata – Rosji. I co on mi powiedział?! Otóż powiedział: »Trwacie przy waszych rabinach i waszej Torze, wasi rabini nauczają Tory. Dlatego przetrwaliście i trwacie«".

Tyle Yitzhak Josef.

To bardzo charakterystyczny epizod. Nawet jeśli podkolorowany, pokazuje, jak bardzo Rosja, mimo całego bagażu rosyjskiego antysemityzmu, dba o zachowanie dobrych relacji z Żydami. Często zdarza nam się wyrazić zdziwienie tym, że izraelska narracja historyczna jest jedynym na świecie sojusznikiem narracji rosyjskiej. Traktujemy to jako albo dowód izraelskiej naiwności, albo po prostu izraelskich lub żydowskich interesów. Nie dostrzegamy, jak bardzo druga, rosyjska strona stara się o podtrzymanie tego sojuszu.

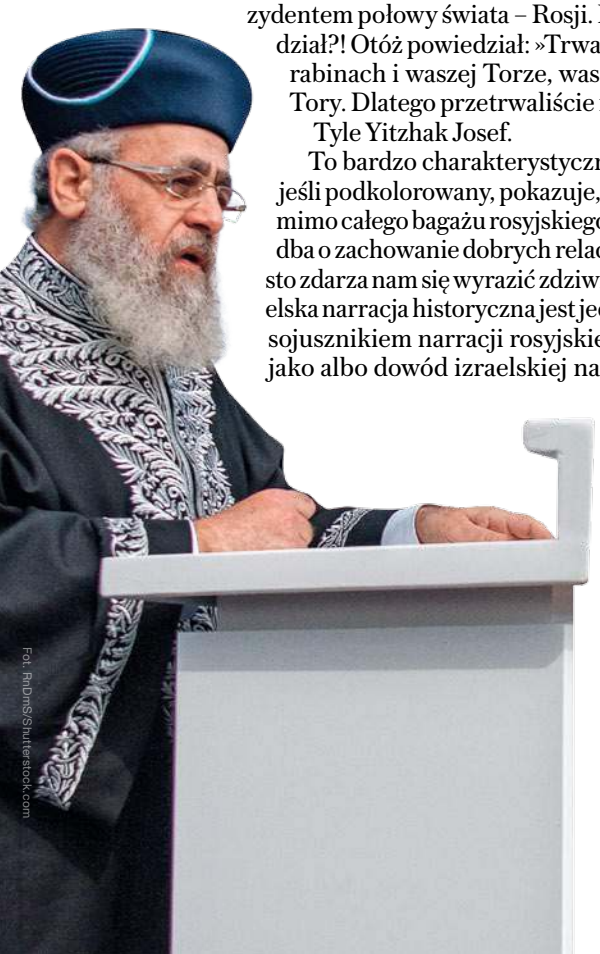

Fot. RinDinS/Shutterstock.com

Piotr Skwieciński

Francja

Nowy Front, stare problemy

Francuski Front Narodowy przeszedł do historii. Od początku czerwca partia Marine Le Pen ma nową nazwę – Zgromadzenie Narodowe.

Zmiana nazwy oznacza także zmianę strategii. Od czasu wyborów prezydenckich nad Sekwaną trwał spór w ugrupowaniu Le Pen między tzw. suwerenistami uważającymi, że celem partii powinna być „walka z tyranią Brukseli", a tzw. tożsamościowcami utrzymującymi, że Francja powinna być przede wszystkim biała i katolicka, bo muzułmańska byłaby równie suwerenna, tyle „że nie byłaby to już Francja".

Frakcję tożsamościowców reprezentowała m.in. siostrzenica szefowej FN Marion Maréchal-Le Pen. Spór został rozstrzygnięty na niekorzyść młodej Le Pen, a więc opuściła partię, a następnie pozbyła się nawet rodzinnego nazwiska.

Dziedzictwo rodu zdaje się ciążyć także jej ciotce, gdyż zmieniając nazwę partii, zerwała ona ostatecznie z tym, co stworzył cztery dekady temu jej ojciec, Jean-Marie Le Pen. Jak podkreśla Marine Le Pen, było to konieczne: „Nie możemy być ciągle partią protestu, tylko musimy stać się partią zdolną do rządzenia". To oznacza zdobycie politycznego centrum. Le Pen ma nadzieję, że uda jej się zawrzeć sojusze z innymi ugrupowaniami na europejskiej prawicy, choćby z włoską Ligą Północną Matteo Salviniego, by wspólnie z nimi zdobyć w 2019 r. Parlament Europejski. Słowo „zgromadzenie" zamiast „frontu" ma więc symbolizować nowe otwarcie i „rezygnację z radykalizmu".

To zwieńczenie drogi, którą Le Pen obrała w 2011 r., przejmując stery FN. Jedyne, co pozostało, to logo partii – trójkolorowy płomień – oraz kłopoty finansowe, które trapią ugrupowanie od lat. Tym razem są jednak poważniejsze niż zwykle. Francuski sąd zdecydował bowiem o zablokowaniu wypłaty 2 mln euro budżetowej dotacji dla partii Le Pen. To wynik wyroku sądu europejskiego, który nakazał europosłom Zgromadzenia zwrócić pieniądze otrzymane z europarlamentu na zatrudnienie asystentów. Według PE asystenci ci pracowali nie w Brukseli dla europosłów, ale we Francji, dla partii. A ponieważ Zgromadzenie Narodowe jest zadłużone, francuski sąd postanowił zabezpieczyć część budżetowej dotacji dla partii, by zapewnić środki na spłatę jej zobowiązań wobec PE. Szefowa ZN mówi o „sędziowskim zamachu stanu". Jej zdaniem bowiem „karę zasądza się dopiero po uprawomocnieniu się wyroku, a dotąd obowiązuje zasada domniemania niewinności". Według niej francuskie sądy „zdominowane przez lewicę" chcą zniszczyć ugrupowanie. Bez dotacji ZN do sierpnia de facto zbankrutuje.

Aleksandra Rybińska

eprasa.pl db0df14551

OGNIEM NA WPROST

Towarzysz Włodzimierz

Nie będzie PiS wiecznie w Polsce. Po prostu nie będzie. Trzeba im to mówić. Trzeba mówić ich rodzinom, żeby wracali do domów w tej chwili i żeby ich żony, mężowie mówili: »Przestać się wygłupiać, przestać łamać prawo, przestać się kur...ić po prostu«" – powiedział ostatnio Włodzimierz Czarzasty. Wypowiedź ta sama prosi się o krótki komentarz w tym samym tonie. Towarzysz Czarzasty wie, co mówi. Szczególnie w kwestii „kur... ienia się po prostu". W latach 80. został wiceprzewodniczącym Zrzeszenia Studentów Polskich (tzw. Zsypu, komunistycznej organizacji młodzieży uczelnianej), by w roku 1983 zapisać się do PZPR. W III RP znalazł się w ścisłej czołówce GTW, czyli grupy trzymającej władzę (afera Rywina). Oczywiście można się było jeszcze gorzej „sku...ć", wstępując w stanie wojennym jako ochotnik w szeregi Służby Bezpieczeństwa czy ZOMO, ale przecież nie każdy lubi osobiście walić pałą walczących o wolność po głowie. Niektórzy woleli nimi kierować. Dlatego – cytując Czarzastego: „Trzeba im to mówić. Trzeba mówić ich rodzinom, żeby wracali do domów w tej chwili i żeby ich żony, mężowie mówili: »Przestać się wygłupiać«". Pan Włodzimierz już sku...ł się wystarczająco, żeby to wytykać innym.

Gender w więzieniu. Transseksualista z Wielkiej Brytanii został skazany za kilka pospolitych przestępstw. Zdarza się nawet transom. Dlatego nie w tym problem. Otóż skazany usiłował przekonać sąd, że jest kobietą, a operacji pozbycia się do końca męskości dokona po odsiedzeniu kary. Sąd, co nie dziwi, uwierzył mu, osadzając w żeńskim więzieniu New Hall w Wakefield, West Yorkshire. I się zaczęło. Najpierw udał, że zaprzyjaźnia się z „kumpelą spod celi", by potem usiłować ją zgwałcić. Nie wyszło. Kumpela poradziła sobie z napastnikiem i zameldowała wychowawcy. Kolejną osadzoną molestował werbalnie i ta też doniosła. Dwie następne całował w szyję, a potem usiłował wziąć przemocą. Znowu nie poszło, jak chciał, i nie dość, że koleżanki spuściły mu tęgie lanie, to na koniec wylądował na oddziale męskim. Tam z kolei towarzysze niedoli wzięli go za tego, za kogo się podawał przed sądem, czyli za kobietę. A do odsiadki jeszcze prawie cały wyrok. Jak pech, to pech.

Dane niemieckiej policji wskazują, że z 23 tys. nakazów repatriacyjnych wydanych dla nielegalnie przebywających w Niemczech imigrantów udało się zrealizować jedynie połowę. Reszta zeszła do podziemia i wszelki słuch po nich zaginął. Mamy do czynienia z ponad 200-procentowym wzrostem tego zjawiska w stosunku do roku poprzedniego. W unikaniu deportacji prym wiodą Nigeryjczycy, przybysze z Somalii i Syrii. Trafiając do podziemia, robią wszystko, by pozostać w Europie. Głównie zasilają tzw. drugi obieg ekonomiczny: żebractwo, kradzieże oraz handel narkotykami. Potencjalni deportowani mają duże szanse uniknięcia przymusowej wywózki. Wspierają ich lokalne organizacje, np. Pro Asyl, która oficjalnie ogłasza daty lotów deportacyjnych. Choć Niemcy i Francja wręcz duszą się od napływu tzw. uchodźców, to właśnie te dwa kraje przyjęły ostatnio po 50 osób z 450 koczujących na dwóch statkach u wybrzeży Sycylii. Apel do kanclerz Merkel i prezydenta Macrona: weźcie jeszcze tych pozostałych 350, co wam za różnica? Gdzie się podział wasz humanitaryzm?

Z inicjatywy prezydenckiego BBN Marynarka Wojenna RP szykuje się do zakupu wycofanych ze służby w Australii fregat Adelaide. Są co prawda lepsze od będących na wyposażeniu okrętów typu OHP, ale gorsze od Miecznika oraz Czapli planowanych w strategicznych programach rozwoju Polskiej Marynarki Wojennej. Z pozoru wszyscy są zadowoleni. Władze, bo zakupią nowocześniejsze fregaty, MON, ponieważ zaoszczędzi kupę pieniędzy na przerwaniu wspomnianych projektów, i setki osób związanych z wojskiem, które odwiedzą sobie antypody celem zakupu australijskiego złomu. Cieszy się także Polska Marynarka Wojenna. Teraz w statystykach wykaże się kolejnymi fregatami. Będzie mogła stwarzać pozory gotowości do działania w ramach NATO. BBN twierdzi, że realizuje tzw. Strategiczną Koncepcję Bezpieczeństwa Morskiego, zawartą w opracowaniach oficerów reformatorów. Tylko autorzy mieli na myśli rozpoczęcie dyskusji o reformie Marynarki i wcale nie zamierzali rezygnować z programów „Miecznik" i „Czapla", co de facto robi BBN przy współudziale MON. Wygląda na to, że prawdziwa modernizacja morskich sił zbrojnych przeminęła z wiatrem, a właściwie z bryzą.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl db0df14551

Matematyczna precyzja

Marta Kaczyńska

Bijąca rekordy popularności na całym świecie platforma internetowa zajmująca się dostarczaniem serialowo-filmowej rozrywki zmieniła sposób korzystania z telewizji przez najmłodsze pokolenie, doprowadzając do zminimalizowania zainteresowania tradycyjnym przekazem niemal do zera. Pokolenie dzisiejszych trzydziestoparolatków, a przede wszystkim młodszych widzów, generalnie nie korzysta już z TV, czerpiąc informacje o bieżących wydarzeniach i poszukując rozrywki w komputerach, tabletach i telefonach. Tradycja oczekiwania na wieczorne serwisy informacyjne wymiera, bo o każdym mniej i bardziej istotnym zdarzeniu dowiadujemy się niemal natychmiast z ekranu jednego z naszych smart-urządzeń. Nie czekamy już jak niegdyś tydzień na kolejny odcinek ulubionego serialu, tylko co najwyżej na kolejny sezon składający się z kilkunastu odcinków, które możemy obejrzeć w dogodnym dla nas terminie. Kończąc daną serię, płynnie przechodzimy do zbliżonego tematycznie filmu, który podsuwa nam specjalnie do tego celu stworzony algorytm. Matematyczny schemat umożliwił nieustanne analizowanie ogromnej ilości danych dotyczących preferencji klientów w zakresie oglądanych treści i wspiera platformy filmowe w podejmowaniu decyzji o tym, jakiego typu produkcje najbardziej opłaca się zaoferować stale przyrastającej rzeszy widzów.

Przemysł telewizyjny na Zachodzie przeszedł podobną rewolucję pod koniec lat 70. i na początku lat 80. W Polsce zmiany nastąpiły w latach 90., kiedy coraz większą popularność zaczęła zyskiwać telewizja kablowa. Kablówka zapewniła lepszą jakość obrazu, a rozwój sieci przyniósł znacznie większą różnorodność programów. Konsumenci uznali, że warto zapłacić za telewizję, która wcześniej podlegała wyłącznie publicznej opłacie abonamentowej. Stacje telewizyjne zaczęły zarabiać nie tylko na reklamach, lecz także czerpać zyski od wszystkich klientów tzw. kablówek, którzy uiszczają comiesięczne opłaty. Telewizja pozostawała jednak w znacznej mierze żywym medium, które nadawało swoje programy w czasie rzeczywistym. Brak możliwości ich ponownego odtworzenia lub obejrzenia w innym terminie powodował, że część z nich była unikatowa, tak jak wspominany ostatnio przy okazji festiwalu „Dwa teatry" Teatr Telewizji Polskiej, którego aktorzy przed wielu laty grywali na żywo z tremą zapewne proporcjonalną do wielkości publiczności, która gromadziła się przed ekranami telewizorów.

Wybór programów telewizyjnych w kablówkach był ogromny, ale o terminach ich emisji decydowały stacje TV, a nie widzowie. Byliśmy znacznie bardziej ograniczeni w zakresie dokonywania wyboru tego, co chcemy obejrzeć, ale być może zintegrowani i paradoksalnie bardziej niezależni. Praktykowane od kilku lat adresowanie podsuwanych nam przez algorytm programów, dostosowanych do naszych specyficznych cech, powoduje, że przekaz, który do nas dociera, jest coraz bardziej zindywidualizowany. Za sprawą automatycznie podsyłanych nam propozycji do obejrzenia jako widownia stajemy się coraz bardziej przewidywalni, bezwolni i znacznie bardziej podatni na wywieranie wpływu niż przed wirtualną rewolucją. Czytając o rozwoju internetowych platform, można się jednak dowiedzieć, że algorytmy, które nimi zawiadują, czasami zawodzą. Przykładem są seriale, którym komputerowe wyliczenia wcale nie wróżyły popularności, a w rzeczywistości odniosły sukces, stając się elementem kanonu współczesnej kultury, albo programy, które według precyzyjnych rachunków powinny odnieść sukces, a okazały się klapą.

Istnieje więc nadzieja, że pomyłki automatów nie są wyjątkami potwierdzającymi regułę i nie zatracimy całkiem swej natury, pozostaniemy mniej stereotypowi, a w konsekwencji bardziej samodzielni w zgłębianiu swoich zainteresowań, niż wskazywać mogłyby na to algorytmy.

REKLAMA

RADIO Warszawa 106,2 FM

106,2

www.radiowarszawa.com.pl

43/0618/F

eprasa.pl db0df14551

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Dla dobra złodziei

Tego jeszcze nie było. Zarządca nieruchomości bardziej dba o złodziei niż lokatorów. W Wielkiej Brytanii mieszkańcom szeregowca w Strood (Kent) urzędnicy kazali usunąć ogrodowy dmuchany basen, bo – według nich – stwarza on niebezpieczeństwo m.in. dla włamywaczy. O sprawie informuje portal Londynek.net. Maria Young i kilku sąsiadów z tego samego bloku zrzucili się na ogrodowy basen za 64 funty. Spółdzielnia jednak nakazała mieszkańcom usunąć zbiornik, bo – jak argumentowała – włamywacze mogą w nocy go nie zauważyć i się w nim utopić. Tylko czekać, aż urzędnicy zaczną apelować do mieszkańców, by zostawiali otwarte drzwi do mieszkań. Przecież ich zamykanie może utrudniać złodziejom życie.

43

– tyle nowych placówek powstanie dzięki dofinansowaniu z Programu Wieloletniego Senior+ na lata 2015–2020, edycja 2018. To ponad 1,1 tys. nowych miejsc dziennego pobytu dla osób starszych.

969 tys.

– tylu bezrobotnych było w Polsce w czerwcu. Mniej niż milion bezrobotnych to absolutny rekord polskiego rynku pracy.

1 643

– o tyle hektarów powiększyła się powierzchnia Polski w roku 2017 – poinformował Główny Urząd Statystyczny.

Problemy wyższych sfer

Wsparcie fanów może być (bez)cenne. Dzięki nim celebrytka i biznesswoman Kylie Jenner ma szanse już niedługo zostać najmłodszą miliarderką w historii. Imperium, które zbudowała, już teraz warte jest 900 mln dol. Brakujące 100 mln pomogą zebrać fani, którzy zorganizowali zbiórkę. Wszystko po to, by ich idolka jak najszybciej została miliarderką. O sprawie pisze Wprost.pl. Jenner, która w przyszłym miesiącu skończy 21 lat, ma szanse pobić rekord Marka Zuckerberga, który dorobił się miliardowego majątku w wieku 23 lat. „Nie chcę żyć na świecie, gdzie Kylie Jenner nie ma miliarda dolarów" – napisał organizator zbiórki. No, a my musimy żyć w świecie pełnym wariatów. Nie ma rady.

Na łosia

Przemytnicy z Ukrainy znaleźli nowy sposób na nielegalne przekraczanie granicy z Polską. Służby graniczne informują, że przestępcy zostawiają ślady przypominające tropy zostawiane przez łosie" – informuje rp.pl. Przemytnicy stworzyli specjalne stemple, które mają naśladować odciski kopyt łosia. Przymocowują je sobie do obuwia i tak maszerują. Na przyrządy używane przez przemytników natrafili ukraińscy pogranicznicy podczas jednego z patroli. Urządzenia były zamaskowane i ukryte w trawie. Może i przemyt „na łosia" to był niezły pomysł, ale żeby swoje kopyta zostawić w trawie? Niezłe łosie z tych przemytników!

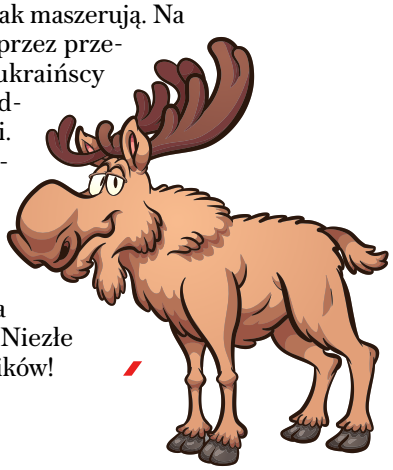

eprasa.pl db0df14551

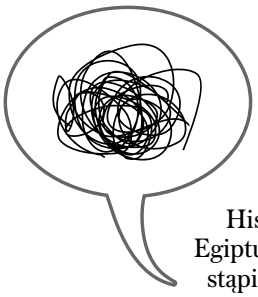

Czas na zmianę

Aż dziewięciu trenerów straciło po mundialu pracę. Byli to selekcjonerzy drużyn Islandii, Panamy, Hiszpanii, Argentyny, Japonii, Kostaryki, Egiptu, Australii i Polski. Trenera Nawałkę zastąpi Jerzy Brzęczek. Zbigniewowi Bońkowi w tej mało śmiesznej sytuacji wypada pogratulować poczucia humoru. Pewnie będzie z satysfakcją obserwował, jak koledzy z zagranicy próbują wymówić nazwisko naszego nowego selekcjonera. Poziom trudności zbliżony do Grzegorza Brzęczyszczykiewicza.

Na komisję VAT-owską to dopiero czekam z wielką antycypacją **– powiedział podczas przesłuchania przed komisją Amber Gold były minister finansów Jan Vincent Rostowski. Od chwili, gdy były minister oświadczył, że „zamieszka w Bydgoszczu", wiadomo, iż język polski nie jest jego najmocniejszą stroną**

Mądrość

Zwycięstwo Francuzów na mundialu odbiło się czkawką... Francuzom. W wielu francuskich miastach radość ze zdobycia tytułu piłkarskich mistrzów świata wymknęła się spod kontroli. Na słynnej Champs Élysées w Paryżu plądrowano sklepy i walczono z policją, do zamieszek doszło też m.in. w Lyonie i Marsylii. I co na to pani Janda? Wciąż uważa, że zwycięstwo jest dla mądrych?

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x4)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Uczyć się szacunku

Dominik Zdort

Czasem można mieć wrażenie, że komentatorzy kolarstwa muszą być niesłychanymi erudytami. Znają – co oczywiste – nie tylko składy ekip oraz nazwiska wszystkich kilkuset zawodników biorących udział w najważniejszych wyścigach i pamiętają ich wyniki z poprzednich lat, lecz także jak z rękawa sypią informacjami na temat historii i architektury mijanych przez kolarzy miejscowości.

To oczywiście tylko złudzenie laika. Sprawozdawcy rzeczywiście muszą zdobyć przed każdym etapem ogromną wiedzę, bo o czymś przez te kilka godzin (czasem bardzo monotonnych) trzeba opowiadać. Dlatego – jak mówił kultowy już komentator Tomasz Jaroński – przed każdym etapem uważnie sprawdzają trasę wyścigu, wynotowują sobie atrakcje turystyczne, ważne szczegóły, nazwiska, daty. Korzystają z książki wyścigu oraz innych materiałów przygotowywanych przez organizatorów dla ekip kolarskich i dziennikarzy. No i – współcześnie – mogą w każdej chwili sięgnąć do internetu.

Proszę więc sobie wyobrazić: otóż w najbliższej edycji Tour de Pologne w materiałach dla żurnalistów znajdą się informacje, w której z mijanych miejscowości spotkał się z wyborcami premier Mateusz Morawiecki, a gdzie udzielił wywiadu prezydent Andrzej Duda... Oburzające, prawda? Szczyt wszystkiego, rządowa propaganda wciska się już nawet do kolarstwa! To może rzeczywiście byłoby oburzające, a na pewno wywołałoby wielką falę hejtu, gdyby rzeczywiście było prawdą. Oczywiście tak się nie stanie. Choć byłoby skąd brać przykłady, bo podczas Tour de France komentatorzy informowali, że w jednym z miasteczek, przez które przejeżdżał peleton, w szkole podstawowej udzielił kiedyś wywiadu prezydent Emmanuel Macron.

Nie sądzę, aby Francuzów podanie takiej informacji oburzało. Francja pewnie wielu rzeczy mogłaby się nauczyć od Polski (tak jak kiedyś nauczyła się korzystać z widelca ;-)), ale współcześni Polacy od współczesnych Francuzów na pewno powinni się nauczyć jednego: szacunku dla rządzących.

To prawda, w Polsce proces czynienia z rządzących wrogów publicznych nr 1 trwa już od lat. Ale poziom pogardy do władzy, z jakim mamy do czynienia ze strony obecnej opozycji, przekracza wszelkie granice kultury, nie tylko politycznej, lecz i osobistej.

Ci, którzy dziś rzucają nienawistnymi słowami, powinni pamiętać, że one są jak bumerang. Wrócą i ze zdwojoną mocą uderzą w tego, kto ich pierwszy użył.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl db0df14551

RZECZY POSPOLITE

Dwanaście Kroków dla Brukseli

Tomasz Łysiak

Mam pewne podejrzenia, że Juncker, nawalony jak messerschmitt, nie był tak naprawdę nawalony. Przeciwnie, chwiał się w jakiejś tajnej europejskiej misji. Musi być jakieś wyjaśnienie. Rwa kulszowa, świąd łydki, strzykanie w kolanie, lumbago. Bo przecież nie mógł się upić ktoś na tak eksponowanym stanowisku, reprezentujący Unię jako taką i jej wartości! No w to nie uwierzę!

Krążą plotki, że jednak było pite. Że nie pierwszy raz. Owszem i ja pamiętam relację na żywo z Rzymu, gdy do zaimprowizowanego studia telewizyjnego w Muzeum Kapitolińskim wpadł nagle podpity Juncker. Dosiadł się do dziennikarzy i zaczął „udzielać wywiadu", a oni byli mocno skonfundowani. A więc wszystko wskazuje na alkoholizm! A to już nie przelewki. Trzeba się leczyć. Proponowałbym jak najszybciej rozpocząć pracę na podstawie słynnych Dwunastu Kroków AA. Tam są ważne wskazówki, które po zastosowaniu wyszłyby na dobre nie tylko Junckerowi, lecz i całej elicie brukselskiej!

O, gdyby tak Bruksela w całości przeszła proces przemiany duchowej! Przyznała się do bezsilności w wielu kwestiach i tego, że nie jest w stanie zarządzać sprawami wspólnoty! (Krok Pierwszy). Gdyby postanowiła powierzyć wszystkie sprawy Europejczyków opiece Boga! (Krok Trzeci). Gdyby tak dokonała porządnej analizy przyczyn wielu porażek i potem wyznała naturę, istotę swoich błędów Bogu, sobie i wszystkim Europejczykom (Kroki Czwarty i Piąty). Gdyby potem ukorzyła się przed Bogiem, prosiła o Jego kierownictwo i wsparcie; gdyby zadośćuczyniła za błędy i z miejsca przyznawała się do tych popełnianych na bieżąco; gdyby odkryła siłę modlitwy i powierzała się woli Bożej i gdyby wreszcie była zawsze wierna zasadom, wartościom oraz przekazywała Posłanie Prawdy i Miłości (jak to wynika z zapisu kolejnych Kroków) – być może doznałaby łaski zdrowego funkcjonowania. Ale niestety, jak to często bywa, zanim te piękne rzeczy by się stały, musiałaby UE, jak alkoholik, dotknąć dna. Oby otrzeźwiała jak najprędzej!

Moralność alfonsa

Piotr Cywiński

Kto dziś pamięta Szpota Szpotańskiego? Swego czasu ów satyryk tak zalazł za skórę komuszym władzom, że sam towarzysz I sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka nazwał go „człowiekiem o moralności alfonsa". A to z powodu tego, że Szpot drwił niemiłosiernie z PRL. W kwestii formalnej – jego ksywka nawiązywała fonetycznie do niemieckiego „Spott", czyli – jak mawia gimbaza – totalnej szydery.

Co ma wspólnego Szpot z Robertem Biedroniem, widzianym już przez niektórych w roli głowy państwa polskiego? Słupski prezydent również się udziela, co prawda prozą, ale też śmiesznie, i też ma coś wspólnego z Niemcami. Ostatnio w dzienniku „Die Welt" naopowiadał (co rozpowszechniły rozgłośnia Deutsche Welle oraz różne polskojęzyczne media w naszym kraju), jak to PiS odwraca się od wartości liberalnej oraz tolerancyjnej Europy. Fuj! Ale uspokoił niemieckich zatroskanych sytuacją w naszym kraju, że Jarosław Kaczyński „nie jest wszechwładny" i jego partia nie będzie rządzić w następnej kadencji. Pochwalił natomiast takich „wygrywających" w Europie jak kanclerz Niemiec i prezydent Francji... Takie medialne, Biedroniowe buziaczki dla Angeli Merkel i Emmanuela Macrona. Przy okazji polski rozmówca „Die Welt" nie omieszkał zapewnić, że uzależnienie budżetu UE od praworządności uważa za sensowne.

Nie kosztuje nic, a może się przydać, gdyby nagle zmieniły się Biedroniowe plany. „Na razie pozostaję w Słupsku" – rzucił, ale zgłosił gotowość do zaangażowania się w jakiś „postępowy i proeuropejski" projekt. W Niemczech wiedzą, że angażować się potrafi już od czasu zadymy polskich gejów podczas wizyty prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Berlinie oraz ich antypisowskiego protestu przed ambasadą RP z transparentem: „Nie wysyłajcie nas do gazu!". Biedroń wie, na kim może się oprzeć, i dziś też się angażuje, czego dowodem jest wywiad dla „Die Welt" – trawestując ekspremiera Donalda Tuska: ot, taki przejaw nienormalności polskości.

„Straszny miał dzień towarzysz Szmaciak. Ach, wprost odchodził od rozumu, kiedy uciekać musiał w gaciach ścigany wyzwiskami tłumu. Zewsząd sypały się kamienie, boleśnie bijąc go w siedzenie..." – pisał Szpotański w słynnym rozrachunku z komuchami. Sam nie wiem, dlaczego mi się to skojarzyło z Biedroniem. Ten przed nikim w gaciach uciekać nie musi, nikt go nie ściga, a nawet gdyby, co sam wyznał w jednym z programów telewizyjnych, cytuję: „W moim przypadku boląca pupa to znaczy, że było dobrze". Jak u Szpota śmieszne... aż do łez!

eprasa.pl db0df14551

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN), LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, EWA WESOŁOWSKA, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
NAKŁAD: 103 300 EGZ.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, ALEXANDROS MICHAILIDIS/SHUTTERSTOCK.COM, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl db0df14551

Naród odzyskał telewizję publiczną

Siła nienawistnej kampanii, z którą spotyka się odrodzona TVP, jest dowodem na to, że projekt budowy medium narodowej tożsamości się powiódł. Co więcej, autorzy tych działań już zrozumieli, że to jest na dłużej

Michał Karnowski rozmawia z Jackiem Kurskim, prezesem Telewizji Polskiej

Przed naszą rozmową przejrzałem wycinki prasowe i przeglądy mediów dotyczących TVP w ostatnich dwóch latach. Uderzyło mnie, jak duża jest temperatura sporów wokół kierowanej przez pana instytucji, jak to jest istotne. Jakby nie chodziło o bardzo dużą, ale przecież jedną z kilku, grupę medialną, ale o jakiś bardzo ważny ośrodek państwowy. Jak pan to tłumaczy?

Jacek Kurski: To pewnie zależy od perspektywy wypowiadającego. Ci, dla których przez całe dekady nie było oferty, którzy mieli poczucie, że ich głos nie wybrzmiewa, uznają to za komplement. Ja widzę w tej gorącej dyskusji wokół TVP także sygnał, że to, co robimy, jest ważne dla Polaków. Kolejne potwierdzenie, że rozbiliśmy system kłamstwa III RP.

Mocne słowa.

Prawdziwe. Doceniam ogromny wysiłek mediów niezależnych, które pierwsze przebijały ten mur, jednym z nich jest tygodnik czy portal, który pan reprezentuje. Ale to dzięki zmianie w TVP po 2015 r. miliony Polaków po raz pierwszy w ogóle usłyszało o pewnych sprawach, dowiedziało się, jak w praktyce wyglądała złodziejska prywatyzacja i reprywatyzacja, jaki jest prawdziwy stan sądownictwa, jak wiele wątpliwości budzi tragedia w Smoleńsku. Ta wiedza uczyniła różnicę, która nie pozwoliła obalić werdyktu wyborczego, a ku temu zmierzały przecież te wszystkie pucze, prowokacje czy wywoływane psychozy.

I to pan zrobił tę różnicę?

Wszyscy, którzy podjęli to wyzwanie. Telewizja publiczna w latach poprzednich była jednym z organów wielkiego chóru III RP. I nagle wybiła się na niepodległość. Użyję wielkich słów, ale w mojej ocenie tutaj właściwych: naród, w znaczeniu większościowej wspólnoty politycznej, odzyskał telewizję publiczną.

Co to konkretnie znaczy?

Po pierwsze, TVP wyłamała się z frontu obrony III RP, sformułowała przekaz zgodny z odczuciami, z wrażliwością tej części narodu, która przez trzy dekady była zepchnięta na margines. Po drugie, stało się to w momencie, gdy władzę przejął obóz patriotyczny Jarosława Kaczyńskiego. Połączenie obu tych czynników dało wielką zmianę, spowodowało, że wielu ludzi poczuło, iż odzyskało swój kraj, res publicę.

TVP nie pierwszy raz zarządzana jest przez ludzi szeroko pojętej prawicy.

Zawsze to było na krótko (za Olszewskiego okamgnienie, za AWS w ogóle, za pierwszego PiS skrajnie nieefektywnie), za to zawsze przy mocnej kontestacji zewnętrznej i wewnętrznej. Nad każdą realną próbą zmiany w Polsce zawsze unosiła się atmosfera medialnego linczu, również w latach 2005–2007, gdy nie

eprasa.pl db0df14551

Zdjęcia: Andrzej Wiktor

wszystkie możliwości mówienia prawdy, zwiększenia pluralizmu, były z różnych przyczyn wykorzystane. Gdy telewizja publiczna wręcz przyłożyła rękę do upadku obozu, który ją rzekomo kontrolował, by przypomnieć choćby dopuszczenie bojówek opozycji do decydującej debaty wyborczej w 2007 r., której przebieg wypaczył i zmienił wynik wyborów ze spodziewanego remisu albo minimalnej wygranej na wysoką przegraną. Gdyby wtedy był remis, prezydent Kaczyński dysponowałby skutecznym wetem i nie dałoby się rozhuśtać do takich rozmiarów przemysłu pogardy, a w konsekwencji do narodowej tragedii.

Mówi pan o tragedii smoleńskiej?

Tak. Na szczęście wyciągnięto wnioski i po 2015 r. TVP nie dała się już wykorzystać jako narzędzie do walki z dobrą zmianą, nie pozwoliła, by tak szeroko obecny w innych mediach hejt wobec wyniku wyborów z roku 2015 zagościł i tutaj. Czy dziś, gdy jestem prezesem TVP, możliwy jest lincz na urzędującym premierze w studiu TVP, jak wtedy, w 2007 r.? Wszyscy doskonale wiedzą, że po prostu nie. A czy możliwa jest uczciwa debata? Tak, jest możliwa. I to jest ta różnica. To już dużo, ale to byłoby za mało, by mówić o sukcesie. Ważniejsze jest to, że telewizja publiczna zaproponowała też ofertę pozytywną – propolski przekaz kulturowy, tożsamościowe produkcje filmowe, sięgnięcie w sposób atrakcyjny do narodowej historii, wielkie transmisje sportowe, integrujące wydarzenia rozrywkowe. Stworzyła atrakcyjną, alternatywną ofertę wobec tego, czym była III RP, i nie pogubiła się przy tym, odzyskała sterowalność. Stała się ważnym elementem nowego ładu demokratycznego w Polsce. Dlatego budzi taką wściekłość – że jest, że żyje, że rośnie. Że przekroczyła „point of no return". Że ta zmiana nie jest krótkotrwałym, odwracalnym incydentem jak tamte.

Zaraz, zaraz, z opisów kłopotów TVP można by złożyć książkę. Od braku stabilnego finansowania, przez przestarzałą w wielu obszarach technologię, po ostre zarzuty upolitycznienia.

Każdy ma problemy, ważne, by były zdiagnozowane, a środki naprawcze podejmowane zdecydowanie. Technologię zmieniamy, większość kanałów nadajemy już w HD, w tym TVP Info. Powstaje nowe studio „Wiadomości" TVP i TVP Info, zaczynamy budowę nowego gmachu dla pionu informacji przy ul. Woronicza. A co do finansowania, to już niestety nie zależy ode mnie.

> Wyraźnie zapowiedziałem współpracownikom i pracownikom, że żadnych wypowiedzi czy to wulgarnych, czy antysemickich nie będę tolerował. Niektórzy dostali jasne ostrzeżenia, że jeszcze jeden późnonocny wpis o obskuranckiej treści, a się pożegnamy

A upolitycznienie? Słyszy pan te zarzuty, te słowa o „zhańbieniu zawodu dziennikarza, podeptaniu misji publicznej"?

Słyszę te epitety, wyzwiska, kłamstwa i to oczywiście nie jest nic miłego. Są całe portale, które zajmują się wyłącznie produkowaniem takich wyzwisk, generowaniem fałszywych informacji na temat TVP, które próbują także zastraszać naszych dziennikarzy i publicystów. Ale ziarno prawdy w tych zarzutach zdarza się niezwykle rzadko. Można tylko powtórzyć sformułowanie przypisywane Napoleonowi: „Wielkość człowieka poznaje się po liczbie jego wrogów".

Reymont tak to ujął w jednej z powieści: „Siłę człowieka mierzy się ilością jego nieprzyjaciół".

Siła nienawistnej kampanii, z którą spotyka się odrodzona TVP, jest dowodem na to, że projekt budowy medium narodowej tożsamości się powiódł. Co więcej, autorzy tych działań już zrozumieli, że to jest na dłużej. Poprzednie obecności ludzi o wrażliwości konserwatywnej na tych antenach się zdarzały, ale zawsze były incydentalne, krótkotrwałe. Co więcej, co wykazałem na konferencji prasowej w ubiegłym tygodniu, spotyka się to z uznaniem widzów. Telewizja Polska, na bardzo trudnym rynku, rośnie w siłę, zyskuje odbiorców. Po raz pierwszy od 16 lat, porównując pierwsze półrocze 2017 r. z pierwszym półroczem 2018 r., wzrosła bezwzględna oglądalność TVP1 i TVP2.

Ze słów Juliusza Brauna, pana poprzednika, wynika, że jest dokładnie odwrotnie: TVP nigdy nie była tak słaba. Stwierdził, że pan „kłamie, licząc na to, że nikt nie sięgnie do danych źródłowych". Dowodzi, że to on w 2014 r. zatrzymał spadki widowni, a z objęciem przez pana sterów TVP nastąpił ponowny spadek.

Pan Juliusz Braun jest ostatnią osobą, która ma moralne prawo komentować obecne działania Telewizji Polskiej i moją walkę o odbudowę tej instytucji. To tak, jakby niedoszły grabarz recenzował stan pacjenta, którego rodzinie chce wepchnąć drogą trumnę. Braun był po Robercie Kwiatkowskim najdłużej urzędującym prezesem TVP, kierował nią w latach 2011–2015, czyli cztery i pół roku. W takim okresie można już odcisnąć piętno i można być poważnie rozliczanym z dorobku. No to spójrzmy na ten dorobek: telewizja od początku XXI w. traciła średnio po ok. 2 proc. udziałów w rynku na głównych antenach, co wynikało z fragmentaryzacji widowni, z powstawania nowych telewizji, poszerzania każdego roku oferty nadawców (tak

eprasa.pl db0df14551

też było w pierwszym okresie mojej prezesury, kiedy działałem w warunkach struktury i ramówki odziedziczonej po poprzednikach)...

A za prezesa Brauna?

Za rządów jego ekipy spadek udziałów TVP następował średnio po prawie 5 proc. rocznie, a dla TVP1 i TVP2 były to spadki na poziomie powyżej 10 proc. rocznie. Rok 2013 był rekordowy. Udział w widowni TVP1 spadł wtedy o 16 proc., a TVP2 o 19 proc, przy spadku całej TVP o prawie 14 proc. W sumie w całym tym okresie pan prezes Braun zgubił 17 proc. widzów telewizji publicznej! A ja właśnie odzyskałem prawie 1 proc.! Po raz pierwszy od 16 lat. To są dane, które dopełniają obrazu katastrofy w innych obszarach. To właśnie za Brauna TVP zgodziła się na dyktat i monopol badań oglądalności jednej prywatnej firmy Nielsen Audience Measurement, zrezygnowano z alternatywnych badań ówczesnego OBOP. To właśnie wtedy zaprzepaszczono szanse na zbudowanie własnej platformy cyfrowej, choć poprzedni prezesi wydali na przygotowania grube miliony złotych. To pan Braun straszliwie zaniedbał TVP technologicznie.

W jakim sensie? Wszystko działało.

Nie działało. Kiedy konkurencja pełną parą przechodziła na standard wysokiej jakości obrazu HD, on jak gdyby nigdy nic nadawał w standardzie SD. I to nawet w odniesieniu do sztandarowych produkcji, takich jak „Jeden z dziesięciu", „Jaka to melodia", „Postaw na milion". Nawet w przypadku „Pytania na śniadanie", programu lifestyle'owego, w którym kolor, fason, atrakcyjność obrazu są niezmiernie ważne. Tuż przed odejściem zdążył jeszcze kupić 17 archaicznych kamer SD! Różnica między Braunem a mną jest taka jak między SD a 4K. Idąc dalej: za tamtej kadencji tak osłabiono ośrodki regionalne, że ledwie funkcjonowały. Miały za dużo pieniędzy, żeby umrzeć, i za mało, żeby żyć. Rozpuszczono archiwalny dorobek Telewizji Polskiej, jej ogromny skarb, który do dzisiaj, wskutek pozawieranych wtedy umów, hula po stacjach komercyjnych, a my w wielu przypadkach nie możemy go pokazywać. Mając takie zasoby archiwalne, w momencie

eprasa.pl db0df14551

objęcia przeze mnie prezesury, TVP była na czwartym miejscu serwisów VOD w Polsce. Teraz jest na pierwszym lub drugim.

Poda pan Juliusza Brauna do sądu? Twierdzi, że nie przeprosi za zarzut kłamstwa.

Jeśli Braun nie przestanie kłamać o mnie, ja zacznę mówić całą prawdę o nim. Jestem zwolennikiem, by nie odpuszczać takich sytuacji. Biorąc to wszystko pod uwagę, naprawdę dziwię się, że pan Braun tak odważnie się wypowiada na temat telewizji. Bo za jego kadencji telewizję zapuszczono straszliwie, doprowadzono do skandalicznych zaniedbań, kasowano produkcje wewnętrzne, wywalono 411 przedstawicieli zawodów twórczych do zewnętrznej firmy Leasing Team. Jakby byli workiem kartofli, a nie cennym zasobem twórczym, który utracono w zasadzie bezpowrotnie. Utracono też prawa do meczów narodowej reprezentacji w piłce nożnej i wielu innych wydarzeń sportowych. Gdy Braun miał w TVP mundial, to tracił na nim dziesiątki milionów złotych. Ja jestem pierwszym prezesem, który na mundialu zarobił. Gdy Braun praktycznie zlikwidował Teatr Telewizji, ja stworzyłem warunki, mój zarząd stworzył warunki, do jego realnej odbudowy itd. Braun to naprawdę niedoszły grabarz telewizji publicznej i gdy słyszę, jak mnie recenzuje, to muszę powtórzyć to, co mówią pamiętający go ludzie telewizji: „Niech już zamilknie, bo wstyd".

Co miało być na końcu tej platformerskiej operacji osłabiania mediów publicznych, bo przecież podobnie działo się w innych spółkach. Przecież Donald Tusk świadomie wzywał Polaków, by nie płacili abonamentu. Chodziło o prywatyzację?

Tak. W finale miały być ekonomiczny upadek mediów publicznych i rozparcelowanie masy upadłościowej pomiędzy największych oligarchów medialnych, którzy opowiedzieli się po stronie poprzedniej władzy. Pewnie jakaś szczątkowa forma by pozostała, ale już bez znaczenia. Główne zasoby miały być wyprzedane lub zaorane. Stąd te wymienione wcześniej działania.

Ale przecież TVP była wtedy proplatformerska. Dlaczego i taka przeszkadzała?

To był element szerszego procesu zwijania państwa polskiego, wycofywania państwa z odpowiedzialności za sferę publiczną: znikały posterunki policji, placówki pocztowe, stacje i linie kolejowe, garnizony wojskowe, bezpłatne studia na drugim kierunku, to miały zniknąć i media publiczne. Jeszcze chwilę, a ktoś by zapytał: po co nam TVP, mamy przecież ARD?

> Pan Juliusz Braun jest ostatnią osobą, która ma moralne prawo komentować obecne działania Telewizji Polskiej i moją walkę o odbudowę tej instytucji. To tak, jakby niedoszły grabarz recenzował stan pacjenta, którego rodzinie chce wepchnąć drogą trumnę

Zatrzymajmy się jeszcze na chwilę nad badaniami Nielsen Audience Measurement. Tutaj często pada złośliwy, ale w jakiejś mierze sensowny argument, że z jednej strony twierdzi pan, iż są to badania niereprezentatywne, nieoddające widowni ilościowo ani jakościowo, a z drugiej, kiedy pokazuje dobre wyniki TVP, chwali się pan nimi. To jak to jest?

Podpieram się, gdyż niestety jest to wciąż jeszcze obowiązująca na rynku reklamy telewizyjnej waluta, chociaż jej główną zaletą jest upowszechnienie, a nie dokładność pomiaru oglądalności. Robię to jednak zawsze z komentarzem, że sukces jest tak duży, iż nawet Nielsen musiał go odnotować. Generalnie jednak te wyniki są niereprezentatywne. Uważam, że to, co się działo w czasie mundialu, przekroczyło już barierę absurdu, jeśli chodzi o oglądalność realną, a niewykazywaną przez Nielsena. Proszę sobie wyobrazić, że były takie dni, że Nielsen wykazywał, iż TVP 1, transmitująca dwa pasjonujące, pełne emocji mecze, m.in. Brazylii, z golami padającymi w doliczonym czasie gry – a pomiędzy nimi atrakcyjny primetime z „Teleexpressem", programami „Jaka to melodia", „Jeden z dziesięciu" i „Wiadomościami" – miała przegrać z jedną z komercyjnych stacji, która nadaje głównie powtórki średniej jakości seriali. To są po prostu bzdury. Wygląda, jakby ktoś gdzieś uznał, że cokolwiek by się w rzeczywistości działo, ci, którzy mają zarobić, muszą zarobić. Oczywiście większość dni było tak dobrych, iż nawet w Nielsenie TVP wygrywała, ale nie zmienia to faktu, że zdarzały się wyniki skrajnie niewiarygodne. Nielsen nie rozumie kultury współczesnego telewidza.

Co ma pan na myśli? Dlaczego nie rozumie?

Gdy panelista Nielsena wychodzi oglądać mecz do kolegi, to mimo że ogląda mecz, jest wykazywany jako ten, który go nie ogląda. Gdy pięciu kolegów przyjdzie do panelisty Nielsena, to mimo że mecz ogląda sześciu, Nielsen wykaże, iż najwyżej dwóch. Nielsen nie wykaże ani jednego z 700 tys. ludzi, którzy oglądali mecze w strefach kibica. Nielsen nie wykaże ani jednego z milionów Polaków, którzy oglądali mecze w pubach czy u znajomych. Nielsen nie wykaże ani jednego widza, który obejrzał Telewizję Polską na smartfonie czy w komputerze, na VOD, na dworcu czy w hotelu. Nie wykaże w głównym raporcie (tylko zaszyje gdzieś w kieszonce) tych, którzy oglądali seriale TVP z przesunięciem czasowym, nagrane na dekoderach. Krótko mówiąc, z definicji pomija plus minus 1/3 widowni TVP. I nie ma na to spo-

eprasa.pl db0df14551

sobu. I taki cyrk decyduje o rozdysponowaniu 5 mld zł rynku reklam! Nie zgadzam się na to.

Co to właściwie jest model oglądalności rzeczywistej (MOR), którym TVP posługuje się jako alternatywnym mechanizmem opisywania widowni?

MOR od badań Nielsena różni się tak, jak dane napływające po wyborach z obliczeń komisji wyborczych różnią się od sondaży przed wyborami. To jest mechanizm oparty na sygnałach zwrotnych, które w czasie rzeczywistym wysyłają dekodery. W tej chwili mamy dostęp do danych ze 180 tys. takich urządzeń. Mimo że są one rozmieszczone głównie w miastach, to i tak wykazują wyniki TVP dużo wyższe niż Nielsen. Chcemy rozwijać nasz model, staramy się o dostęp do danych z 1,5 mln takich abonentów.

Na końcu chodzi o pieniądze?

O gigantyczne pieniądze. I mam na to dowód z ostatnich dni. Otóż telewizja publiczna po raz pierwszy zarobiła na takiej imprezie jak mundial. Wpływy wyniosły 77 mln zł, koszty zakupu licencji, transmisji, organizacji przekazu to 67 mln zł. Zysk – 10 mln zł. Jak to zrobiliśmy, skoro cztery lata temu na takim samym mundialu, za prezesa Brauna, wpływy wyniosły 36 – 38 mln zł? Złamaliśmy skutecznie dyktat Nielsena, bo zobowiązałem Biuro Reklamy do ustalenia cen na prognozach opartych na naszym badaniu MOR. I reklamodawcy to przyjęli, przyznali nam rację. Ale to oczywiście nie koniec boju. Już widzę, że Nielsen, zdając sobie sprawę, iż w kwietniu kończy się wiążąca oba podmioty umowa, brutalnie próbuje nas osłabić, wykazując bardzo niskie wyniki nawet sztandarowych, zawsze świetnie do tej pory oglądanych, pozycji.

Nie przedłuży pan tej umowy?

O tym zdecyduje przetarg, w którym warunki tym razem dokładnie opiszą wymóg odzwierciedlenia w panelu badawczym geograficznego i socjologicznego przekroju Polski oraz zapewnią realne prawo telewizji do bieżącej kontroli sposobu rekrutacji panelistów i jakości wykonywanego badania.

To teraz tak nie jest?

No właśnie nie jest. Ten panel udaje ogólnopolski, w rzeczywistości jest bardziej skoncentrowany na wielkich miastach i na ich obrzeżach. Dlatego właśnie Nielsen nie chce mi pokazać kodów, a jako audytora sugeruje międzynarodową firmę, która byłaby koordynowana przez wprost wskazaną organizację, nawet bez audytu zachwalającą jego pomiar! Tymczasem my wyślemy niezależnego polskiego audytora, by zbadał, jak to naprawdę wygląda. Zażądamy tego zdecydowanie, pojadę tam osobiście z kamerą. Sprawa jest poważna. Wedle szacunków TVP utracone korzyści z tytułu niewykazanej oglądalności mogą sięgać nawet 2 mld 400 mln zł w ciągu ponad sześciu lat obowiązywania umowy.

> Czy dziś, gdy jestem prezesem TVP, możliwy jest lincz na urzędującym premierze w studiu TVP, jak w 2007 r.? Wszyscy doskonale wiedzą, że po prostu nie. A czy możliwa jest uczciwa debata? Tak, jest możliwa. I to jest ta różnica

Ta walka nie toczy się jednak tylko o pieniądze. Politycy opozycji mają chyba poczucie, że gdyby nie TVP, szłoby im dużo lepiej. W jakiej mierze to, co nadaje TVP, przekłada się na postawy polityczne Polaków?

Przede wszystkim politycy wiedzą, i często to prywatnie przyznają, że siła oddziaływania telewizji jest dużo większa, niż wynikałoby tylko z danych oglądalności. Polityk, także opozycji, po pojawieniu się w studiu telewizji publicznej zawsze dostaje silny odzew. W przypadku stacji komercyjnych różnie z tym bywa. A czy to, co robimy, przekłada się na sondaże? Na pewno w tym wymiarze, że tworzymy pluralizm, dajemy ludziom realny wybór, pokazujemy prawdę. Nie prowadzimy agitacji za jakąkolwiek partią polityczną, choć uważam, że telewizja publiczna musi pokazywać racje władzy, obozu, który wygrał, z zapewnieniem oczywiście pakietu obecności opozycji.

I ten pakiet jest? Krytycy wskazują np. na listę obecności w programie „Gość Wiadomości", w którym przytłaczającą przewagę mają politycy Zjednoczonej Prawicy, ministrowie.

„Gość Wiadomości" to specyficzny program, z bardzo krótkim okienkiem po głównym wydaniu „Wiadomości". Nie da się tam przeprowadzić sporu, dyskusji, zresztą, nie taki był cel tego programu. Ideą było, i to był mój autorski pomysł, by w tym wejściu rozwinąć propozycje, tematy, które zaprezentowano wcześniej w jednym z materiałów. A z natury rzeczy to obóz rządzący wychodzi z inicjatywami ważnymi społecznie, przeprowadza reformy, zmiany, reaguje na kryzysy. Gościem ma być bohater dnia. Dziś, gdy przeprowadzamy ten wywiad, gościem wiadomości był minister rolnictwa Jan Ardanowski, który przedstawiał pakiet działań rządu w zakresie walki ze skutkami suszy. Jaki sens miałaby bijatyka polityczna w tym miejscu, gdy rolnicy przez kilka minut chcą poznać konkretne, ważne dla nich informacje? Dlatego Ardanowski był sam, ale nie jako Prawo i Sprawiedliwość, tylko jako minister rolnictwa. Dlatego nie należy tego liczyć partyjnie. Natomiast jeśli coś ważnego dzieje się po stronie opozycji, to oczywiście też taki ktoś powinien być zaproszony. Kiedy pani Katarzyna Lubnauer obaliła Ryszarda Petru, to wiem, że redakcji bardzo zależało na jej obecności

eprasa.pl db0df14551

w „Gościu...", została zaproszona. Wybrała jednak konkurencję. Szkoda, jej strata.

Zdarza się jednak i w obozie dobrej zmiany usłyszeć, że przekaz TVP jest zbyt prosty, nawet jednemu posłowi się wymknęło, że może on razić osoby inteligentne. Te sygnały do pana docierają? Wyciąga pan wnioski?

Oczywiście, że docierają. Ale nie działamy w próżni, warunki gry wyznaczają stacje komercyjne, zwłaszcza rozgrzany politycznie do czerwoności TVN. To pan przecież opisał, że czasami robi sobie eksperyment polegający na oglądaniu wyłącznie tej stacji i po kilku godzinach łapie się pan na tym, jak potrafi ona nakręcić pana emocje. W przestrzeni stacji komercyjnych jest tak wiele agresji wobec dobrej zmiany, tak dużo manipulacji, że chcąc pozostać wierną swojej misji, TVP musi reagować, odkłamywać, pokazywać prawdę.

> Celem PO–PSL było zniszczenie telewizji publicznej. Jeszcze chwilę, a ktoś by zapytał: po co nam TVP, mamy przecież ARD?

Nie ma pola na poluzowanie, bo tamci strzelają z karabinów maszynowych?

Można tak to nazwać. TVP jest najczęściej reaktywna. Czy pokazywanie, jakie grupy przebierają się w szatki obrońców sądownictwa, to działanie propagandowe, jak się nam próbuje przypisać, czy służba prawdzie? W mojej ocenie to służba prawdzie. Czy pompowanie skali tych manifestacji, robienie z kilkusetosobowych grupek niemal milionowych manifestacji, to walka o demokrację, a pokazanie skali zgromadzenia na tle całego placu to manipulacja? I tak dalej, i tym podobnie.

Tu zgoda, przerysowywanie skali protestów jest manipulacją. Ale na przykład tzw. paskami to jednak stacje komercyjne delikatniej grają.

To prawda, że poprzednie kierownictwo Telewizyjnej Agencji Informacyjnej miało w tym kierunku nadmierne ciągoty, ale to się zmieniło. Czasem każdemu może się zdarzyć błąd, przesada. Wtedy stanowczo reaguję. Na pewno jest tego zdecydowanie mniej. Cieszy mnie, że twórca tzw. generatora pasków w internecie uznał nasze argumenty prawne i zaniechał tych naruszających prawa TVP działań.

Wygląda na to, że wycofują się też z różnych akcji „bojkotowych" co bardziej politycznie zaangażowani artyści. Daniel Olbrychski mówił na przykład, że „Urban stanu wojennego

eprasa.pl db0df14551

był demokratą w stosunku do tego, co się dzieje w TVP", a teraz ma się pojawić w serialu TVP. Miłosierny pan jest, co oczywiście cieszy.

To, że przychodzą aktorzy nawet krytyczni wobec dobrej zmiany, bardzo mnie cieszy.

Jest zaproszenie dla innych, by poszli śladem Olbrychskiego?

Nie jestem na „nie" wobec nikogo, kto nie przekroczył granicy barbarzyństwa. A tę granicę wyznaczają w mojej opinii wulgarne bluźnierstwa religijne, żarty z Chrystusa czy Maryi, obrażanie śp. Lecha Kaczyńskiego, który nie może się bronić, czy kpiny z katastrofy smoleńskiej.

Proaborcyjną piosenkę wychwalającą radykalny feminizm jednak pan na festiwalu w Opolu puścił.

Proaborcyjny był teledysk, piosenka miała wydźwięk neutralny. Uważam, że to była próba zerwania festiwalu. Chciano zmusić mnie do wycofania piosenki, która była przez radę artystyczną zakwalifikowana, co doprowadziłoby do trudnego do kontrolowania kryzysu. Do tej sytuacji nie powinno w ogóle dojść, dlatego ukarałem pracownika, którego jedyną rolą i zadaniem w radzie artystycznej było właśnie niedopuszczenie do takiej sytuacji. I który zlekceważył tę odpowiedzialność, nie przychodząc nawet na posiedzenie rady.

Zdarzyły się też, zwłaszcza w internecie, wulgarne wypowiedzi pracowników i współpracowników TVP. Czy tu jednak jakiś standard nie powinien obowiązywać?

To już się nie powtórzy. Wyraźnie zapowiedziałem współpracownikom i pracownikom, którzy nie zawsze rozumieją, że nie ma prywatnych tweetów u osób publicznych, i zapowiadam po raz kolejny, że żadnych wypowiedzi czy to wulgarnych, czy antysemickich nie będę tolerował. Autorzy tych wypowiedzi, które się pojawiły, dostali jasne ostrzeżenia, że jeszcze jeden późnonocny wpis o obskuranckiej treści, a się pożegnamy.

I trafią na czarną listę?

Wiem, do czego pan nawiązuje, ale to bzdura. Nie ma żadnej czarnej listy, nikogo z debaty nie wykluczamy.

> Rzadko się zdarza, by w wieku 50 lat znaleźć miłość swojego życia i pracę, która – choć niezwykle ciężka – daje poczucie satysfakcji i spełnienia ważnej misji. Mogę tylko Bogu za to wszystko dziękować

Witold Gadowski twierdzi, że jest zakaz zapraszania go do TVP.

Pierwsze słyszę. Jest kilka sfrustrowanych osób, które dostały olbrzymi kredyt zaufania od Telewizji Polskiej, godziwy budżet, miejsce w ramówce, pełną możliwość realizacji własnych pomysłów, i które, mimo anielskiej cierpliwości TVP, po prostu nie udźwignęły ciężaru wyzwania, przynosząc marny produkt o katastrofalnej oglądalności. Za swoje niepowodzenie obwiniają nie siebie, ale telewizję, nieustannie ją atakując. Na szczęście większość twórców i dziennikarzy, którzy po latach wrócili do TVP, dobrze wykorzystała swoją szansę.

A pani Ewa Bugała zniknęła na zawsze?

Każdy ma prawo do drugiej szansy, pani Bugała wróciła do TVP, choć już nie do dziennikarstwa politycznego. Jak poinformowała mnie Dyrekcja TAI, w ciągu kilku tygodni zadebiutuje z programem lifestyle'owym.

Patrząc na to z drugiej strony: czy TVP nie powinna skuteczniej, dynamiczniej bronić swoich ludzi, potwornie dziś znieważanych, wyzywanych przez publiczne często osoby?

Zgoda, powinniśmy reagować bardziej zdecydowanie.

Na koniec ciekaw jestem pana opinii w dyskusji o przyszłości klasycznej, linearnej telewizji w ogóle. Czy wobec konkurencji serwisów streamingowych, filmów na żądanie, całych bibliotek filmowych i VOD to przetrwa?

Na pewno zostanie to, co nadawane jest na żywo. Emocje, rywalizacja, przekazywanie tego, co się właśnie dzieje – to muszą być nasze drogowskazy. Ludzie muszą mieć poczucie, że dzięki telewizji są świadkami historii, że uczestniczą na żywo w wyjątkowym wydarzeniu. A zatem, przekładając na konkret, z jednej strony wielkie wydarzenia sportowe, koncerty, festiwale, premiery Teatru Telewizji, z drugiej – wysokiej jakości, zarówno technicznie, jak i dziennikarsko, informacja i publicystyka. Idziemy w tym kierunku, jestem przekonany, że wkrótce widzowie dostrzegą dalszy postęp. Chciałbym, by znakiem rozpoznawczym mojej prezesury był zwrot w kierunku opowiedzenia prawdy o Polsce i naszej historii, jak choćby film „Wołyń", który telewizja już za mojej kadencji wsparła na etapie postprodukcji wkładem koproducenckim, a pokazała w rocznicę rzezi wołyńskiej, przy doskonałej zresztą oglądalności, jako symbol odbudowy polskiego kanonu kulturowo-tożsamościowego.

Nie sięgam nigdy w życie prywatne, ale już pan sam mówił o tym publicznie, więc zapytam o pański ślub. Będzie huczny?

Nie, skromny, pokorny. Rzadko się zdarza, by w wieku 50 lat znaleźć miłość swojego życia i pracę, która –choć niezwykle ciężka – daje poczucie satysfakcji i spełnienia ważnej misji. Mogę tylko Bogu za to wszystko dziękować.

eprasa.pl db0df14551

Ten rozdział polskiej polityki, który nazywa się Donald Tusk, wydaje się właśnie definitywnie zamykać

Odwrót Tuska

Fot. Shutterstock

STANISŁAW JANECKI

Nie traćcie ducha. Donald Tusk was nie zostawił. On na pewno podejmie decyzję w sprawie powrotu do polskiej polityki, ale w grudniu 2019 r., pięć miesięcy przed wyborami prezydenckimi – tak Grzegorz Schetyna próbował „podkręcić" wyjątkowo pasywne stanowisko przewodniczącego Rady Europejskiej.

13 lipca 2018 r. w wywiadzie dla TVN24 Donald Tusk prawie w każdej ważnej dla opozycji sprawie był albo niezdecydowany, albo niejednoznaczny i pełen wątpliwości, albo całkiem pasywny. Zupełnie inaczej niż jeszcze rok wcześniej (21 lipca 2017 r.) w tej samej stacji. Wtedy jego buńczuczne zapowiedzi interpretowano jako pewność powrotu, a nawet gotowość do rezygnacji z unijnej funkcji na kilka miesięcy przed upływem kadencji, by poprowadzić opozycję do zwycięstwa w wyborach parlamentarnych w 2019 r. (w październiku lub listopadzie).

Grzegorz Schetyna osobiście Donalda Tuska nie cierpi, ale przecież nie może własnym wyborcom odbierać nadziei, która też działa na jego korzyść. Skoro sam Schetyna nie daje wyborcom opozycji nadziei na sukces i odsunięcie PiS od władzy, musi mieć Tuska w odwodzie, choćby był to zabieg czysto marketingowy. Nadzieja na

eprasa.pl db0df14551

powrót Donalda Tuska do polskiej polityki wciąż jest bowiem przez zwolenników opozycji postrzegana jako atut. Ale 13 lipca 2018 r. były premier wylał na nich kubeł zimnej wody.

WIELKIE ROZCZAROWANIE

Od objęcia stanowiska przewodniczącego Rady Europejskiej (1 grudnia 2014 r.) Donald Tusk nie był tak powściągliwy i sceptyczny jak 13 lipca 2018 r. A obecny czas to przecież szczyt histerii wokół rządów Prawa i Sprawiedliwości, przeprowadzanych przez niego reform oraz krajowych i międzynarodowych reakcji na nie. Na tej histerii oraz na międzynarodowej nagonce, inspirowanej i podtrzymywanej przez opozycję w Polsce, przez jej media, autorytety i ekspertów, opiera się strategia opozycji na cztery kampanie wyborcze w latach 2018–2020. Dotychczas Donald Tusk pomagał opozycji rozniecać histerię – nie tylko swoimi wypowiedziami i tweetami, lecz także oficjalnymi wizytami w Polsce i wygłaszanymi przy tej okazji ostrymi opiniami.

Tak było 17 grudnia 2016 r. (w związku z wizytą we Wrocławiu jako europejskiej stolicy kultury), a także 19 kwietnia 2017 r. i 3 sierpnia 2017 r. (w związku z przesłuchaniem w prokuraturze) oraz 23 kwietnia 2018 r. (w związku z występowaniem w roli świadka w Sądzie Okręgowym w Warszawie).

Po 1 grudnia 2014 r. Donald Tusk nie przestał być uczestnikiem politycznych gier w Polsce, a nawet był jednym z najaktywniejszych w tych rozgrywkach zawodnikiem. I bardzo mocno akcentował, że wróci i dzięki temu przesądzi o odsunięciu PiS od władzy. De facto był więc cały czas nieformalnym liderem opozycji. Na niego jako kandydata na prezydenta w 2020 r. orientowała się niemal cała opozycja.

Ale 13 lipca 2018 r. Donald Tusk otwarcie nawet opozycji nie wsparł. „Widzę, jak bardzo się starają koleżanki i koledzy z opozycji. [...] I robią, co mogą" – powiedział. Wystąpił więc zaledwie w roli obserwatora. Nóż w plecy przewodniczący Rady Europejskiej wbił opozycji w najważniejszych dla niej obecnie sprawach: możliwości sfałszowania wyników wyborów, sankcji na Polskę i powiązania praworządności z budżetem UE, możliwości oddziaływania instytucji europejskich na politykę rządu PiS, statusu prof. Małgorzaty Gersdorf, a wreszcie startu w wyborach prezydenckich. „Ja bym tego oskarżenia [o sfałszowanie wyborów ze względu na kontrolę nad sądami, w tym Sądem Najwyższym] a priori, przed wydarzeniami nie wysuwał. [...] Nawet przy całym moim krytycyzmie, ja bym tak daleko nie szedł" – odpowiedział Tusk na pytanie, czy zagrożona jest w Polsce rzecz dla demokracji fundamentalna, czyli wolne wybory. A przecież opozycja z tego czyni największą zbrodnię obecnej władzy.

W kwestii sankcji wobec Polski Donald Tusk stwierdził: „[Uzależnienie wypłaty środków unijnych od przestrzegania praworządności] uważam za bardzo ryzykowny krok w niewłaściwym kierunku. [...] Dla Europy byłoby niedobrze, gdyby mieszać te dwa porządki". I dodał, że to ewentualnie sprawa przyszłości, ale grozi ona przywróceniem podziału na starą i nową Europę, co dla wszystkich byłoby szkodliwe.

O instytucjach Unii Europejskiej jako najcięższej, a wręcz atomowej, broni przeciwko rządom PiS Donald Tusk powiedział: „To może dziwnie zabrzmieć, ale sprawą pierwszorzędną nie jest to, jak zareagują instytucje europejskie. Bo jeśli nie ma dobrej woli po obu stronach, to instytucje europejskie nie będą mogły wpływać tak jednoznacznie na to, co dzieje się w danym kraju członkowskim". Przewodniczący Rady Europejskiej przyznał tym samym, że nawet gdyby unijne instytucje chciały wpływać na to, co się w Polsce dzieje, mają niewielkie możliwości. Atomową broń opozycji zmienił więc w kapiszon. A przy okazji przyznał, że rządzący z PiS mają specjalne i wyjątkowo dobre relacje z prezydentem USA, z czego on sam korzysta, gdyż jest postrzegany przez Donalda Trumpa jako polski polityk. Tym samym Tusk potwierdził mocną pozycję rządzących z PiS na arenie międzynarodowej, czyli uderzył w jeden z najważniejszych argumentów opozycji – o całkowitej izolacji i marginalizacji Polski pod obecnymi rządami.

REJTERADA PRZED ANDRZEJEM DUDĄ

Zupełnym zaskoczeniem dla opozycji musiały być słowa Donalda Tuska o ewentualnym kandydowaniu w wyborach prezydenckich w 2020 r.: „Za wcześnie na spekulacje. Znam te niektóre opinie i życzenia, ale jedno mogę powiedzieć dzisiaj – gdyby Jarosław Kaczyński zdecydował się kandydować, to nie wahałbym się ani chwili i stanąłbym do takiego pojedynku". „Rozumiem, że rzuca pan rękawicę w wyborach prezydenckich prezesowi Kaczyńskiemu?" – dopytywał prowadzący rozmowę w TVN24 Grzegorz Kajdanowicz. „Powiedzmy, że jest to takie badawcze pytanie o nastrój pana prezesa" – odparł Donald Tusk. Pochwalił się, że „ma dobre doświadczenia w starciach z Jarosławem Kaczyńskim", ale przecież prezes PiS nie zamierza kandydować. Grzegorz Schetyna tłumaczył to w taki sposób: „[Donald Tusk] nie powiedział, że nie będzie kandydował przeciwko czy razem z prezydentem Dudą. Powiedział tylko, że jeżeli byłoby potwierdzenie ze strony Jarosława Kaczyńskiego, to jest otwarty. To było dosyć sprytne".

W rzeczywistości to nie było wcale sprytne. Wyborcy opozycji uznali, że rzucenie rękawicy Jarosławowi Kaczyńskiemu, który nie zamierza kandydować, i ucieczka od konfrontacji z Andrzejem Dudą były oznakami strachu przed przegraną, a w związku z tym rezygnacją z kandydowania. Dlatego Schetyna natychmiast wysłał uspokajający komunikat, że Tusk się nie wycofał, tylko odłożył ostateczną decyzję do grudnia 2019 r. Lider PO trafnie więc zauważył, że słowa Tuska zostaną odczytane jako rejterada, a nie deklaracja stanięcia na czele opozycji i odwojowania przez nią przynajmniej urzędu prezydenta. Jej ostatnia nadzieja praktycznie zniknęła.

A jaka może być inna deska ratunku? Była I prezes Sądu Najwyższego? Status prof. Małgorzaty Gersdorf ma dla opozycji fundamentalne znaczenie, gdyż nie tylko przekierowuje uwagę na sprawę konstytucji (jej łamania), lecz również jest dla opozycji ostatnią linią obrony. Ale Donald Tusk odciął się od wciągania Małgorzaty Gersdorf w polityczne gry: „Nie musi udawać, że zastępuje opozycję, że jest na froncie walki politycznej przeciwko rządowi PiS-u". A na pytanie wprost, czy jest ona I prezes Sądu Najwyższego, Donald Tusk

eprasa.pl db0df14551

odpowiedział rozważaniami o konstytucji w USA, innych krajach oraz w Polsce. „To nie jest tak, żeby przywódcy [innych państw] analizowali, jaka jest konkretna sytuacja pani prezes Małgorzaty Gersdorf" – stwierdził. I dodał, że najważniejsza jest „rola osoby wiernej konstytucji". Dlatego Donald Tusk podziwia „jej konsekwencję trwania w konstytucyjnym ładzie".

Opozycja nie uzyskała wsparcia, skoro przewodniczący Rady Europejskiej nie dał się wciągnąć w jednoznaczne stwierdzenie, że Małgorzata Gersdorf wciąż jest I prezes Sądu Najwyższego. Tusk powiedział tylko, że Małgorzata Gersdorf stara się wypełniać „rolę prezesa Sądu Najwyższego".

OD DEMIURGA DO EMERYTA

Jeszcze 21 lipca 2017 r. (w TVN24) Donald Tusk postrzegał siebie jako stojącego w centrum, a właściwie na szczycie, polskiej polityki. Dlatego z dumą mówił: „Słyszałem wiele komentarzy, że jestem jednym z powodów, dla których PiS chce mieć nadzór nad sądami i prokuraturą". Były premier byłby tak ważny i groźny, że organy ścigania oraz wymiar sprawiedliwości miałyby być zreformowane tylko po to, by go dopaść. Ale od tego czasu nikt go nie dopadał, gdyż nawet występowanie w sądzie (raz) i przesłuchanie w prokuraturze (raz) były tak normalne i banalne, że w najmniejszym stopniu nie stały się podstawą budowania martyrologii Donalda Tuska – jako jedynej i wyjątkowej ofiary rządów PiS. Tusk jest wręcz postrzegany przez opinię publiczną jako nietykalna „święta krowa", a nie męczennik. Wielu zwolenników PiS czyni z tego zarzut wobec obecnej władzy. Ale ktoś taki nie ma „papierów" na bycie liderem opozycji.

Właściwie tylko w jednej sprawie Donald Tusk wsparł opozycję, czyli wtedy, gdy powtórzył jej strategię delegalizacji i delegitymizacji obecnej władzy jako kleptokracji. „Władza, która podporządkuje sobie w całości sąd, prokuraturę, policję, a także niezależne media, jest władzą, która bardzo szybko przekształci demokrację w kleptokrację. Czyli w rządy złodziei" – mówił Tusk. Na takie stygmatyzowanie władzy liczy opozycja, opierając swoją strategię na wytykaniu ludziom związanym z PiS premii, nagród i wysokich zarobków w spółkach skarbu państwa. Tyle tylko, że tu nic nie jest złodziejstwem, nawet gdyby bardzo się starać tak to zakwalifikować.

Donald Tusk odcina opozycji tlen, nie dając jej oczekiwanego wsparcia w najważniejszych dla niej sprawach. I poniekąd wynika to z realizmu. Tusk wie, również po przykładach Lecha Wałęsy i Aleksandra Kwaśniewskiego, że nie da się wrócić do krajowej polityki w takiej roli i z takim poparciem jak w momencie odchodzenia w połowie 2014 r. Od tego czasu zmieniła się nie tylko polska polityka, lecz i sama Polska. Donald Tusk stanowi obecnie tak negatywny kontrast dla premierów Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego, że nie ma czego szukać na szczytach polskiej polityki. Tym bardziej jako osoba odpowiedzialna za zaniechania państwa w konfrontacji z przestępcami. Krótka wyliczanka: afera Amber Gold, reprywatyzacyjna, VAT-owska, trójmiejska, ale też wielkie dziury w celnej ochronie granic, ogromny wypływ kapitału z Polski, użycie syna jako parasola ochronnego dla przestępców. A mamy jeszcze przed sobą przesłuchania Tuska w komisji ds. Amber Gold oraz w komisji ds. wyłudzeń VAT, które byłemu premierowi chwały nie przyniosą.

Osiągnięcia rządów PiS nawet dla wyborców opozycji są szokujące (pozytywnie) w porównaniu z rządami Tuska, co bardzo obniża ocenę samego byłego premiera. Z Tuskiem jest także utożsamiana nijaka, a wręcz zawstydzająca, prezydentura Bronisława Komorowskiego, więc i on sam traci na zestawieniu z następcą, czyli Andrzejem Dudą. Tusk dostrzega też słabość opozycji i jej przywództwa, dlatego boi się ryzyka. Tym bardziej że PO jest już całkiem kontrolowana przez niechętnego mu Grzegorza Schetynę, który deklarować może wiele, ale faktycznie zrobi dużo, by Tuskowi zaszkodzić, a nie mu pomóc. Nie pomoże także Tuskowi jego główna przez lata promotorka Angela Merkel, gdyż ma kłopoty w swoim kraju, a jej pozycja w UE również mocno osłabła.

> Donald Tusk odcina opozycji tlen, nie dając jej oczekiwanego wsparcia w najważniejszych dla niej sprawach. Zapewne uznał, iż bezpieczniej dla niego będzie pozostać na jakiejś „fusze" w UE albo tylko na wysokiej emeryturze, niż wracać do polskiej polityki

W 2020 r. Tusk startowałby z bardzo niskiego poziomu, tym bardziej że jego stanowisko raczej zostanie zlikwidowane, co będzie interpretowane jako skutek fatalnego sprawowania przez niego funkcji przewodniczącego Rady Europejskiej. Tusk okazał się dużo gorszy od swego poprzednika Hermana Van Rompuya.

Do wyborów prezydenckich w Polsce są jeszcze prawie dwa lata, ale w tym czasie pozycja Tuska w UE będzie słabła, a w Polsce będzie się kojarzył coraz bardziej negatywnie, co byłoby oczywiście zdyskontowane w kampanii wyborczej. Mając pozorne poparcie Grzegorza Schetyny i PO, Tusk musiałby sam dźwigać ciężar kampanii, a do ciężkiej pracy nie jest on przyzwyczajony. Gdyby przegrał, to przede wszystkim PO nie zostawiłaby na nim suchej nitki. Wydaje się więc racjonalne, że Donald Tusk uznał, iż bezpieczniej dla niego będzie pozostać na jakiejś „fusze" w UE albo tylko na wysokiej emeryturze z wypełnianiem od czasu do czasu jakiejś specjalnej misji, niż wracać do polskiej polityki, i to w roli jej ostatniej nadziei. Tak bardzo Donald Tusk nie zaryzykuje.

To, co mówi w lipcu 2018 r., oznacza, że definitywnie żegna się z polską polityką, choć oczywiście otwarcie tego nie ogłosi, aby całkowicie nie „zdołować" wyborców opozycji. Ale ten rozdział polskiej polityki, który nazywa się Donald Tusk, wydaje się właśnie definitywnie zamykać.

eprasa.pl db0df14551

Trzaskowski – człowiek z innej rzeczywistości

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl db0df14551

Rafał Trzaskowski pozostaje niewiarygodny dla wielu zwykłych warszawiaków. Jest natomiast bezkonkurencyjnym kandydatem dla zamożniejszych lemingów. Tak jak oni ogląda miasto zza szyb samochodu, a jego mieszkańców zza bezpiecznego ogrodzenia

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Zaskakująca jest, a nawet – być może – samobójcza taktyka, jaką przyjął kandydat PO na prezydenta Warszawy Rafał Trzaskowski. Otóż stara się on świecić światłem odbitym od znacznie bardziej od niego energicznego i pomysłowego Patryka Jakiego, będącego jego rywalem z ramienia Zjednoczonej Prawicy. Cokolwiek zatem zrobi lub powie Patryk Jaki, musi to być natychmiast powielone i odwrócone o 180 stopni przez Rafała Trzaskowskiego. Przy czym kandydat Platformy – niczym niegdyś Bronisław Komorowski – nie potrafi się ustrzec licznych gaf ani pomyłek.

Gdy Jaki przychylnie wypowiadał się o zaplanowanej przez rząd budowie Centralnego Portu Komunikacyjnego pod Warszawą, Trzaskowski natychmiast oznajmił, że kolejne lotnisko jest Warszawie niepotrzebne, bo przecież wkrótce będzie nowy port lotniczy w... Berlinie. A kiedy Jaki zaproponował tani bilet miesięczny dla rodziny, Trzaskowski próbował przelicytować go... bezpłatną komunikacją dla posłów. Żeby było jeszcze zabawniej, okazało się, że kandydat PO na prezydenta Warszawy nie ma bladego pojęcia o tym, że parlamentarzyści od zawsze podróżują bezpłatnie, co oznacza, że sam będąc posłem, nigdy z komunikacji miejskiej nie korzystał.

ŚLADAMI PANI JOLANTY

Można oczywiście zakładać, że Trzaskowski po prostu ma pecha i ciągle musi się mierzyć z problemami, o których dotąd nigdy nie słyszał. Jeśli tak, to piątek 13 lipca był dla niego bardzo pechowy. Tego dnia opublikował bowiem na Facebooku swoje wspomnienie o zmarłym tragicznie 10 lat wcześniej Bronisławie Geremku. „Bronisław Geremek uczył mnie Cywilizacji europejskiej w Kolegium Europejskim w Natolinie, po francusku" – pisze Trzaskowski. „Był poważny, zadumany i srogi. Dostałem najwyższą notę na roku, bo mój ówczesny francuski nie pozwolił na oratorskie popisy i zmusił do wypowiedzi chłodnej, precyzyjnej i oszczędnej. Profesor lubił konkret. Pamiętam, że referowałem credo Edgara Morina z »Penser l'Europe«. Czułem się, jakbym zdawał egzamin życia u biblijnego patriarchy z obrazów Rembrandta. Książkę zrozumiałem 10 lat później. A kiedy w 2015 r. wręczałem Edgarowi Morinowi nagrodę na szczycie ministrów europejskich Trójkąta Weimarskiego w Paryżu, miałem nieodparte wrażenie, że z obrazów zawieszonych na ścianie pałacu przy Quai d'Orsay spogląda na mnie lekko rozbawiony profesor. A jednak warto było czytać Morina" – podsumował.

Ten wpis natychmiast wywołał salwy śmiechu na prawicy oraz zażenowanie wśród części zwolenników Trzaskowskiego. „Rafał Trzaskowski zniechęcił do siebie jakieś sto tysięcy warszawiaków. I pokazał przy okazji, jak bardzo nie rozumie, co się dzieje" – załamał ręce komentator portalu naTemat.pl. „Wyłącz internet i weź się do roboty" – zaapelował do kandydata Platformy.

Trudno ocenić, ilu wyborców stracił Trzaskowski, chwaląc się swoją francuszczyzną i intelektem, który pozwolił mu po 10 latach przemyśleń pojąć myśli francuskiego filozofa. Niewykluczone bowiem, że część jego zwolenników nie dostrzegła w tym wpisie intelektualnych kompleksów kandydata PO, lecz jego światowość. Kiedyś światowy był Stan Tymiński, potem była Jolanta Kwaśniewska, a dziś jest Rafał Trzaskowski. Wielu potencjalnych wyborców Trzaskowskiego to przecież ludzie bogaci w sensie finansowym, ale od strony kulturowej bardzo ubodzy. Oni naprawdę uważają Daniela Olbrychskiego za intelektualistę, a Leszka Balcerowicza za znawcę ekonomii i głęboko przeżywają estetycznie wycieczkę do podparyskiego Disneylandu lub na stadion FC Barcelona.

NIESTAŁY W UCZUCIACH

Pewne jest za to, że Trzaskowski próbuje – na zasadzie kontrastu – uwypuklić swoje cechy jako „intelektualisty", które mają wyróżniać go na tle „prostego" i „przaśnego" Patryka Jakiego. Nie zauważa przy tym, że tego rodzaju przechwałki kompromitują go właśnie jako inteligenta, któremu nie wypada się chwalić „osiągnięciami", które w tym środowisku wydają się co najmniej oczywiste (jeśli bowiem szczególnym osiągnięciem jest najwyższa nota na roku czy znajomość języka obcego, to oznacza to jedynie tyle, że do tej pory w jego otoczeniu nikomu się to nie przytrafiło).

To jasne, że Trzaskowski nie jest człowiekiem z awansu – choć jego wypowiedzi mogłyby budzić takie podejrzenia – on sam wielokrotnie wcześniej podkreślał wysoki status społeczny swojej rodziny. Przy czym tu również nie ustrzegł się śmieszności. Jak zauważył dziennikarz Konrad Piasecki, kandydat Platformy po rozpoczęciu starań o fotel prezydenta Warszawy dokonał zmian w swojej notce biograficznej zamieszczonej w internecie. Do niedawna mogliśmy się z niej dowiedzieć, że Rafał Trzaskowski czuje się rodzinnie związany z Krakowem (kandydował bowiem na posła z Krakowa). Jak pisał: „Mój ojciec – krakowski jazzman, dziadek – przedwojenny krakowski sędzia apelacyjny i pradziadek – podpora galicyjskiego szkolnictwa, wszyscy byli krakowianami, nawet przyrodni brat też krakus". Potem jednak, gdy ruszył do boju o Warszawę, jego notka uległa całkowitej przebudowie. Teraz Trzaskowski pisze: „Urodziłem się na Powiślu z matki warsza-

eprasa.pl db0df14551

> Słynna niebieska ławeczka, na której kandydat PO przyjmuje petentów (tak właśnie to wygląda), jest kolejnym dowodem jego niechęci do rozmowy ze zwykłymi ludźmi

wianki i ojca z Krakowa. Rodzina ze strony matki od pokoleń związana jest z Warszawą. Wuj, brat matki, Andrzej Arens, poległ w pierwszej godzinie Powstania Warszawskiego". Obie wersje są oczywiście prawdziwe, ale zasadnicza zmiana akcentów nie świadczy bynajmniej o szczególnie pryncypialnym podejściu kandydata PO do własnej biografii. A jeśli w tej kwestii nie jest on pryncypialny (raz najbardziej kocha Kraków, a raz Warszawę), to oczywiście musi się pojawić wątpliwość, czy jest pryncypialny w czymkolwiek, o czym mówi.

SPRAGNIONY KONCERTÓW

Dziś Rafał Trzaskowski stale podkreśla swoją „warszawskość", co ma go odróżnić do przybyłego z Opola Patryka Jakiego. Gdy Jaki został ogłoszony kandydatem Zjednoczonej Prawicy, Trzaskowski odpowiedział drwiąco: „Witamy w Warszawie, panie Patryku". Z pewnością ta drwina nie przysporzy mu głosów wśród tych mieszkańców stolicy, którzy – podobnie jak Jaki – w ostatnich latach osiedlili się w stolicy.

Jednocześnie Rafał Trzaskowski co chwilę udowadnia, że sam fakt urodzenia w Warszawie nie oznacza jeszcze znajomości problemów miasta. Jego pierwszym postulatem po wyznaczeniu go przez Platformę było bowiem zbudowanie hali koncertowej. Wynika z tego, że brak dobrego nagłośnienia jest dla kandydata PO jednym z najbardziej kluczowych wyzwań stojących przed stolicą.

Z drugiej strony Warszawa to miasto specyficzne. Przez wiele lat przyciągało i nadal przyciąga egoistów, którzy dostrzegają wyłącznie własne potrzeby i im bardziej awansują na zawodowej oraz finansowej drabinie kariery, tym bardziej gardzą otaczającym pospólstwem. Całkiem rozsądny tekst napisał na ten temat Grzegorz Sroczyński, który przyczyn porażki liberalnych środowisk w wyborach 2015 r. szuka m.in. w odgradzaniu się (często fizycznym – na zamkniętych osiedlach) od realnych problemów ludzi. Rafał Trzaskowski i jego „hale widowiskowe" to idealny wręcz przykład tego zjawiska.

Owo fizyczne odgradzanie się od ludzi i dzielenie ich na lepszych i gorszych ujawnia się w całkowitej nieznajomości realnych problemów stolicy, czego dowodem jest choćby to, że przez całe 12 lat Trzaskowskiemu nie przeszkadzała grabież Warszawy przeprowadzana pod szyldem tzw. reprywatyzacji. Słynna niebieska ławeczka, na której kandydat PO przyjmuje petentów (tak właśnie to wygląda), jest kolejnym dowodem jego niechęci do rozmowy ze zwykłymi ludźmi.

Fot. Andrzej Skwarczyński

Zdjęcia przedstawiające rozpartego na ławce Trzaskowskiego w otoczeniu stojących obok starszych pań na pewno wiele mówią o jego stosunku do otoczenia. Inna rzecz, że mieszkańcy Warszawy wcale nie garną się do pięciominutowej audiencji na ławce. W rezultacie Trzaskowski coraz częściej musi się ratować – co pokazali internauci – reżyserowanymi rozmowami przed kamerami z działaczami młodzieżówki PO. Niewiele pomaga mu ustawianie przez tragarzy ławki w najbardziej ruchliwych punktach stolicy. Zresztą Trzaskowski i tutaj nie potrafi się ustrzec kompromitujących go jako warszawiaka pomyłek. Niedawno zapraszał na spotkanie pod Universamem Grochów, nie wiedząc najwyraźniej, że ten niegdyś główny sklep na Grochowie już dawno został zburzony, a na jego miejscu wyrosła wielka galeria handlowa.

Smętne audiencje u Trzaskowskiego są przeciwieństwem pełnych sal podczas spotkań Patryka Jakiego z warszawiakami. Nic dziwnego, że zazdrośni antypisowcy coraz częściej próbują zakłócać te spotkania, organizując w ich trakcie żenujące burdy i przepychanki.

FITNESS DLA EMERYTÓW

Rafał Trzaskowski pozostaje niewiarygodny dla wielu zwykłych warszawiaków. I chyba nie chce się przełamać, aby to zmienić. Jest natomiast bezkonkurencyjnym kandydatem dla zamożniejszych lemingów. Tak jak oni ogląda miasto zza szyb samochodu, a jego mieszkańców zza bezpiecznego ogrodzenia. To do nich kieruje pomysły budowy hali koncertowej. Może do tego dorzucić jeszcze program budowy salonów fitness dla emerytów albo sieci schronisk, do których przepracowani single będą mogli podrzucać na cały dzień swoje koty. Będzie w tym całkiem szczery i wiarygodny. Ludzi urwanych z choinki w Warszawie nie brakuje. Na pewno chętnie zagłosują za takim programem.

eprasa.pl db0df14551

Do czego służą kościoły

Coraz częściej w świątyniach katolickich na Zachodzie dzieją się rzeczy, które niedawno byłyby nie do pomyślenia

GRZEGORZ GÓRNY

Włoski portal La Nuova Bussola Quotidiana prowadzi od jakiegoś czasu kampanię pod nazwą „Ratujmy kościoły". Jest to reakcja na coraz częstsze przypadki wykorzystywania świątyń katolickich do imprez, które nie mają wiele wspólnego z rzeczywistym przeznaczeniem tych obiektów. Jako dowód internauci przesyłają do redakcji fotografie, na których można zobaczyć, jak bardzo zmienia się dziś poczucie sacrum wśród duchownych. Bo trzeba przyznać, że zdecydowana większość pokazywanych tam przypadków to przedsięwzięcia podejmowane za zgodą, a nawet z inicjatywy samych księży, niekiedy i biskupów.

Redaktorzy portalu starają się zwrócić uwagę, że kościoły są miejscami przeznaczonymi do modlitwy i sprawowania sakramentów, a zwłaszcza najważniejszego z nich – Eucharystii. Nie powinny być więc nadużywane do innych celów. Ich apele spotykają się jednak we Włoszech z coraz większym niezrozumieniem nie tylko świeckich, lecz także duchownych.

ŚWIŃSTWO W KATEDRZE

W 2011 r. w katedrze w Hildesheim bp Norbert Trelle przygotował ucztę dla robotników, którzy skończyli właśnie prace renowacyjne w świątyni. Na środku kościoła ustawiono rożen, na którym skwierczał wielki prosiak, a zapach pieczonej wieprzowiny rozchodził się po całym budynku. Obok znajdowały się skrzynki, a w nich 140 l piwa marki Kölsch. Śmiechom i dowcipom nie było końca. Następnego dnia na stronie internetowej diecezji ukazała się relacja z wesołej imprezy ilustrowana fotografiami i opatrzona figlarnym tytułem: „Kölsch zamiast kielicha, kartofle zamiast komunii!".

Wybuchł skandal. Po protestach mieszkańców miasta materiał o poczęstunku dla rzemieślników zniknął ze stron kurii. Wśród oburzonych wyodrębnić można było dwie grupy (nie licząc garstki wegetarian i przeciwników przemysłowego uboju trzody chlewnej). Część katolików poczuła się zgorszona faktem, że miejsce kultu zostało – ich zdaniem – zbezczeszczone. Znacznie liczniejsi byli jednak ci, którzy nie mogli wybaczyć biskupowi, że zamówił dla robotników 140 l kölscha zamiast piwa z lokalnego browaru Einbecker oddalonego od Hildesheim o 40 km.

Dla wszystkich było oczywiste, że Norbert Trelle swe zamiłowanie do kölscha wyniósł z Kolonii, gdzie wcześniej przez 13 lat pełnił funkcję biskupa pomocniczego. Do redakcji miejscowego dziennika „Hildesheimer Allgemeine Zeitung" przychodziły gniewne e-maile od czytelników. Jeden z nich zwracał się do ordynariusza diecezji w ostrych słowach: „Jeśli lubisz kölscha, to wracaj do Kolonii i oddaj swój urząd, ponieważ ani dla zorganizowanego przez ciebie »świństwa«, ani dla piwa, którego nikt nie zna w Hildesheim, nie ma tutaj miejsca".

Fot. PA Wire/PA Images/EAST NEWS

KARDYNAŁ JAK KELNER

Dziś zapewne wystawna biesiada w kościele nie wywołałaby takiego oburzenia jak w czasach pontyfikatu Benedykta XVI. Nowy rozdział w tej historii otworzył bowiem jego następca, który 1 października 2017 r. wziął udział w wielkiej uczcie dla uchodźców, biednych i bezdomnych w bazylice św. Petroniusza w Bolonii. Wnętrze gmachu upodobniło się do ogromnej stołówki. W świątyni ustawiono długie stoły, za którymi zasiadło 1,4 tys. osób. Wśród nich Franciszek i abp Matteo Zuppi – miejscowy ordynariusz. Tytuł w dzienniku „La Stampa" donosił: „Lazanie i sznycel, czyli obiad papieża z »ostatnimi« w majestatycznej San Petronio w Bolonii".

eprasa.pl db0df14551

W niektórych mediach konserwatywnych odezwały się głosy krytyki pod adresem organizatorów przedsięwzięcia. Pisano, że inicjatywa nakarmienia głodnych jest bardzo cenna, ale można to było zrobić w wielu innych pomieszczeniach przykościelnych, których przecież nie brakuje. Zamiana bazyliki w jadalnię powoduje, że kościół przestaje być odbierany w świadomości wiernych jako uprzywilejowane miejsce spotkania z Bogiem, a staje się czymś w rodzaju lokalu użyteczności publicznej.

Krytykom odpowiedział redaktor naczelny „Vatican Insider" Andrea Tornielli, nazywając ich zawodowymi hejterami i samozwańczymi katolikami. Włoski watykanista odrzucił oskarżenia o profanację świętego miejsca. Nadmienił, że faryzeusze również obwiniali Jezusa, iż jada wspólnie z grzesznikami i celnikami. Przypomniał, że sakrament Eucharystii został ustanowiony przez Chrystusa podczas wieczerzy przy jadalnym stole, a we wspólnotach wczesnochrześcijańskich przy tym samym stole najpierw odprawiano msze, a później spożywano razem posiłki. Także papieże w minionych wiekach urządzali uczty dla biednych w miejscach modlitwy i nikogo to nie gorszyło.

Od tamtej pory zwyczaj organizowania obiadów i kolacji w kościołach zaczął się rozpowszechniać na Półwyspie Apenińskim. Podchwycili go też hierarchowie, np. bp Francesco Lambiasi z Rimini czy kard. Crescenzio Sepe, który w czerwonym fartuchu kucharskim krzątał się po katedrze w Neapolu, serwując bezdomnym pizzę z mozzarellą.

W ostatni dzień 2017 r. w kościele w Marcellise niedaleko Werony tamtejszy proboszcz zorganizował zabawę sylwestrową, na której przebrany za klauna fikał koziołki. Gdy portal La Nuova Bussola Quotidiana opublikował nagranie z tej imprezy i wytknął księdzu niestosowność takiego zachowania, w lokalnych mediach i w internecie rozpoczęła się kampania solidarności z duchownym i obrony przed niesprawiedliwą napaścią.

TRADYCJONALISTYCZNA DONKISZOTERIA

Według najbardziej wpływowych dziś watykanistów redaktorzy wspomnianego portalu przypominają błędnych rycerzy, donkiszotów walczących z wiatrakami i nierozumiejących, że świat wokół nich dawno się zmienił i nie ma powrotu do skostniałych form epoki konstantyńskiej czy potrydenckiej. Nie przeszli oni „duszpasterskiego nawrócenia", dlatego nie są w stanie zrozumieć „nowego paradygmatu" w Kościele.

A niecodziennych imprez w świątyniach katolickich na Zachodzie jest coraz więcej. Jesienią 2017 r. diecezja

eprasa.pl db0df14551

Hasselt w Belgii wydała zezwolenie na zorganizowanie w kościele parafialnym św. Jana Chrzciciela w Kuttekoven wystawy flamandzkiego artysty Toma Hercka. Stworzył on na środku świątyni nietypową „instalację". Przybił mianowicie do krzyża półtonowe ciało martwej krowy, a następnie spryskał ją silikonem. Jak sam stwierdził, chciał w ten sposób zwrócić uwagę na marnotrawstwo, które dotyczy zarówno wyrzucanego jedzenia, jak i przestrzeni architektonicznej (w czasach, gdy brakuje tylu mieszkań, tak wiele kościołów stoi niewykorzystanych).

Przeciw bluźnierczej wystawie zaprotestowała garstka belgijskich katolików. Ekspozycję potępiła co prawda miejscowa kuria, ale nie zrobiła nic, by ją zakończyć. Nie chciano przed czasem zrywać umowy z artystą. Sprawę wzięli jednak w swoje ręce „nieznani sprawcy" – włamali się nocą do kościoła, przewrócili „dzieło sztuki" i oblali je kwasem azotowym. Mainstreamowe media belgijskie nazwały to aktem wandalizmu, Tom Herck zaś oświadczył, że nie obwinia za ten czyn chrześcijan, ponieważ ekstremiści zdarzają się w każdej religii.

Część tego typu przypadków wynika z naiwności i beztroski duchownych, którzy w dobrej wierze wypożyczają kościoły na imprezy kulturalne. Tak było w zeszłym roku w Roccasecca we Włoszech, gdzie proboszcz miejscowej parafii św. Tomasza przekazał swój kościół organizatorom festiwalu fotograficznego. Jakież było jego zdumienie, gdy w absydzie i na ścianach świątyni zamiast XV-wiecznych fresków zobaczył olbrzymie wielkoformatowe zdjęcia największego ludobójcy w dziejach świata – Mao Zedonga.

Pomysłodawcy tego typu imprez powołują się zazwyczaj na przykład samego Franciszka, z którego inicjatywy 8 grudnia 2015 r. ściana frontowa bazyliki św. Piotra w Rzymie stała się ekranem ekologicznej prezentacji multimedialnej. Autorem widowiska światło/obraz/dźwięk był amerykański artysta Andrew „Android" Jones, który – jak otwarcie przyznaje – zażywa substancje psychodeliczne oraz ma kontakt z hinduskimi duchami i bóstwami, czynnie zaangażowanymi w proces wymyślania i kreowania przez niego nowych form wizualnego wyrazu.

W tym momencie pada trudny do odparcia argument: skoro sam papież mógł użyczyć swojej świątyni dla zaangażowanej sztuki współczesnej, to kto śmie być bardziej papieski od papieża?

> Zamiana bazyliki w jadalnię powoduje, że kościół przestaje być odbierany w świadomości wiernych jako uprzywilejowane miejsce spotkania z Bogiem, a staje się czymś w rodzaju lokalu użyteczności publicznej

MUSZLA KIEŁBASA

Powiew nowych czasów czuć także w innych wydarzeniach organizowanych dziś w kościołach. Do szczególnie spektakularnego z nich doszło w grudniu 2017 r. w wiedeńskiej katedrze św. Szczepana. Gospodarz tego miejsca kard. Christoph Schönborn z okazji Światowego Dnia AIDS zorganizował nabożeństwo modlitewne z udziałem homoseksualistów. Sam przywitał w drzwiach kościoła i zaprowadził w stronę ołtarza znanego aktywistę gejowskiego Gery'ego Keszlera. Po to, by licznie zgromadzeni w katedrze homoseksualiści nie czuli się obco, zadbano, by ściany i podłogi świątyni przyozdobione zostały banerami oraz iluminacjami z symboliką gejowską.

Najważniejsze przemówienie do zebranych wygłosił słynny transwestyta Thomas Neuwirth, znany na świecie bardziej jako „Conchita Wurst" – zwycięzca festiwalu Eurowizji w 2014 r. Zapewne liczni księża zebrani w świątyni i gorąco oklaskujący mówcę nie mieli świadomości, co oznacza jego artystyczny pseudonim. Conchita, czyli po hiszpańsku muszla, to w slangu potoczna nazwa waginy, natomiast Wurst to po niemiecku kiełbasa, czyli synonim penisa. Złożenie tych dwóch słów jest niczym innym, jak odzwierciedleniem transseksualnej orientacji austriackiego transwestyty. Zgromadzeni w wiedeńskiej katedrze geje i lesbijki mieli niezły ubaw, widząc, jak prymas Austrii słucha w zachwycie przemawiającego z ambony gościa, którego pseudonim można było rozszyfrować dwoma bardziej wulgarnymi wyrazami. Śmiechom i dowcipom nie było więc końca.

Ostatnie słowo w trakcie nabożeństwa należało do wspomnianego już Gery'ego Keszlera, który stwierdził, że „nie ma znaczenia, kogo kochamy lub w kogo wierzymy". I to było najlepsze podsumowanie całej uroczystości.

Warto przypomnieć, że w 2008 r. w przykatedralnym muzeum w Wiedniu odbyła się wystawa „Religia. Ciało. Siła" Alfreda Hrdlicki, artysty deklarującego się jako ateista i komunista. Przedstawiała ona wiele bluźnierczych obrazów, np. „Biczowanie" ukazujące żołnierza, który uderza Jezusa pejczem, trzymając Go jednocześnie za genitalia. Inne płótno, „Ostatnia Wieczerza" – stylizowane na dzieło Leonarda da Vinci – pokazywało orgię nagich i onanizujących się apostołów. Dopiero po licznych protestach wielu oburzonych katolików kard. Schönborn zdecydował się na interwencję. Doprowadził jednak do usunięcia tylko jednego obrazu: bluźnierstwa z Ostatniej Wieczerzy. Pozostałych nie ruszono.

Donkiszoci z La Nuova Bussola Quotidiana nie są jednak sami. Ich zdanie podziela znacznie więcej biskupów i księży, ale problem polega na tym, że nie robią tego publicznie. W efekcie w przestrzeni medialnej powstaje wrażenie, jakby zmiany były nieuchronne. Ostatnio postanowił więc zabrać głos kard. Antonio Cañizares z Walencji, który ogłosił list duszpasterski, zakazujący pod żadnym pozorem wykorzystania kościołów w swej diecezji do jakichkolwiek celów świeckich. Hiszpański hierarcha w swym piśmie napisał, że największym niebezpieczeństwem dla Kościoła jest dziś „wewnętrzna sekularyzacja".

eprasa.pl db0df14551

Powstańcza kotwica jest znakiem rycerzy

Z Janem Ołdakowskim, dyrektorem Muzeum Powstania Warszawskiego, rozmawia Marcin Wikło

Fot. Andrzej Wiktor

Chciałbym, by symbole używane były właściwie i świadomie. Co to znaczy? Gdy młoda dziewczyna będzie szła ciemną ulicą i z mroku wyłoni się postawny mężczyzna w bluzie z kotwicą Polski Walczącej, to chciałbym, by ta kobieta była pewna, że naprzeciwko niej jest człowiek, który nosząc ten znak, niesie też pewien system wartości i prędzej ją obroni, niż jej zagrozi

Tematy historyczne są dla Polaków wciąż bardzo ważne, ale w świadomości ludzi coraz więcej jest żołnierzy wyklętych, którzy nieco wyparli z przestrzeni publicznej np. Powstanie Warszawskie. Czym to tłumaczyć? Modą?

Jan Ołdakowski: Powstanie Warszawskie jest stałym elementem polskiego dziedzictwa, polskiej dumy, a nawet polskiego sporu o przeszłość. Obecność w przestrzeni publicznej żołnierzy wyklętych też wydaje mi się czymś oczywistym, ale to jednak inna historia, inny model oporu przeciwko totalitaryzmowi. Powstanie Warszawskie było próbą ustanowienia państwa – w czasie walk Warszawa była de facto Polską w małej skali, w której wszystko funkcjonowało jak w normalnym państwie: były władze, opublikowane zostały dwa dzienniki ustaw, działała administracja cywilna, poczta. To była taka mała Rzeczpospolita, która później nie dostała numeru tylko dlatego, że powstanie upadło i ten projekt ustrojowy nigdy nie miał szansy się rozwinąć.

Żołnierze wyklęci też chcieli ustanowić nowe, własne państwo. Różnica jest taka, że nie prowadzili walki w jednym mieście, ale właściwie wszędzie.

To była próba samoobrony, ochrony ginącego etosu pewnej formacji.

eprasa.pl db0df14551

Fot. Andrzej Skwarczyński

W ubiegłym roku odwiedziło nas 706 tys. osób, najwięcej w historii. Mimo że był to 13. rok działalności muzeum

Z drugiej strony dla wielu żołnierzy wyklętych decyzja o wytrwaniu w oporze była w zasadzie wyborem rodzaju śmierci. W tamtych realiach było jasne, że zginą. Podobnie działo się z ludźmi zamkniętymi w warszawskim getcie – Niemcy chcieli zabić ich wszystkich. Komuniści podjęli taką samą decyzję wobec części wyklętych, którzy przed zagrożeniem uciekli do lasu. To jest inna opowieść niż o powstaniu w stolicy, choć także będąca częścią naszej narodowej dumy. Nie ma między tymi historiami żadnej konkurencji, raczej jest uzupełnienie.

Miarą może być ulica, jeszcze kilka lat temu młodzi ludzie nosili na koszulkach znak Polski Walczącej, teraz coraz częściej widzimy „Inkę" czy „Łupaszkę". Czy to oznacza, że o Powstaniu Warszawskim powiedziano już w zasadzie wszystko i należy szukać innych historii do opowiedzenia?

Jako muzeum o powstaniu opowiadamy już 14 lat. To jest oczywiście dla nas wyzwanie, jak tę historię opowiadać, żeby wciąż była żywa i interesująca, a zarazem żeby jej nie spłycać, żeby nie powstały niedopowiedzenia. Jest ogromna siła w przekazie, który mówi, że gdy Polacy zbudują już jakiś system oporu, to trwają w nim do końca. Że powstańcy nie mogli się nie bić, choć np. z perspektywy Londynu wcale nie było to tak jednoznaczne. Jan Nowak-Jeziorański przyjechał tutaj jako przeciwnik powstania, ale zobaczył, jak wyglądają realia okupacji, zobaczył ludzi, którzy są w stanie zaryzykować życie dla wolności, i zrozumiał, że tego powstania nie może nie być. Że nie można przez pięć lat wzmacniać oporu wobec Niemców, a potem nagle zadecydować, że rezygnujemy z powstania. Że wówczas po prostu pozwolilibyśmy jednemu okupantowi wyjść, a drugiemu wejść. Naród mógłby się po tym rozsypać. Co później byłoby naszym spoiwem? Co by nas łączyło?

Wracając do symboli: czy należy jakoś regulować prawnie ich użycie?

Należy zwracać uwagę na estetykę, bo jeśli ważne symbole używane są w kiczowatej oprawie, to ludzie czują, że to nie jest coś fajnego i odwracają się nie tylko od symbolu, lecz również od wszystkiego, co on z sobą niesie. Chciałbym, by symbole używane były właściwie i świadomie. Co to znaczy? Gdy młoda dziewczyna będzie szła ciemną ulicą i z mroku wyłoni się postawny mężczyzna w bluzie z kotwicą Polski Walczącej, to chciałbym, by ta kobieta odetchnęła z ulgą, by była pewna, że naprzeciwko niej jest człowiek, który nosząc ten znak, niesie też pewien system wartości i prędzej ją obroni, niż jej zagrozi. Zadaniem Muzeum Powstania Warszawskiego jest uświadamianie, jakie konsekwencje ma eksponowanie tego znaku, że to manifestacja wierności zasadom i rycerskości. Ale też dopóki znak Polski Walczącej pojawia się w przestrzeni publicznej, na koszulkach, płytach czy samochodach, to znaczy, że ktoś jest dumny z tej historii. Gdyby tego zabrakło, to byłby znak ostrzegawczy, że ktoś się tego wstydzi. Ta historia umarłaby bezpowrotnie, gdyby stała się tylko częścią oficjalnej, urzędowej propagandy.

Jak więc tę pamięć pielęgnować, by nie była żywa tylko na przełomie lipca i sierpnia?

Coroczne obchody rocznicy Powstania Warszawskiego zawsze są pełne autentyzmu, bo biorą w nich udział bohaterowie tamtych wydarzeń. Oni są źródłem naszej prawdziwej siły. Dopóki oni są, te obchody organizuje się łatwo. Biologia

39/0618/F

eprasa.pl db0df14551

jest jednak naszym wrogiem, z roku na rok liczba powstańców maleje, a kiedyś nie będzie ich wcale. Sami ze smutkiem mówią, że dowodzi nimi generał „Czas". Zapraszamy na obchody powstania kilkuset harcerzy oraz wolontariuszy i sadzamy ich obok powstańców, nie dzielimy ich na sektory, chcemy, by się wymieszali, by mogli z sobą przebywać. By powstańcy spotkali swoich naśladowców, następców, ludzi, którzy świadomie chcą realizować i propagować ich idee. Dlatego tak bardzo nam zależy, aby harcerze byli tutaj z nami podczas obchodów powstania, by odgrywali ważniejszą rolę niż tylko pomoc organizacyjna, porządkowa i roznoszenie wody. Od tego roku oprócz weteranów i władz głos podczas oficjalnych uroczystości obchodowych będzie zabierał też harcerz. Myślę, że to spodoba się naszym najstarszym gościom, którzy w tych młodych widzą siebie sprzed lat – zaangażowanych, nieobojętnych, skorych do poświęcenia ludzi. To praca nad naszą przyszłością, nad kolejnymi pokoleniami, które to dziedzictwo poniosą dalej.

Mówiliśmy o świadomym wykorzystywaniu symboli. Za takie należy też uznać samych powstańców, którzy momentami angażują się w życie publiczne. Upraszczając, dobrze mieć „swojego powstańca", by jego autorytetem podeprzeć swoje przedsięwzięcie. Jak pan ocenia taką aktywność uczestników Powstania Warszawskiego i próby przylepiania ich np. do polityki?

Kiedyś prezydent Aleksander Kwaśniewski swoje przemówienie rocznicowe rozpoczął od słów: „Wy jako byli powstańcy...". Poczułem wtedy, jakby przez wszystkich zebranych kombatantów przepuszczono prąd – tak ich to stwierdzenie poruszyło. Wiele o nich można powiedzieć, ale nie to, że są „byłymi" powstańcami. Oni są wciąż zmobilizowani. Abstrahując od tego, w jakich inicjatywach biorą udział, bo nie ukrywam, iż niektóre z nich mnie nie cieszą, jestem bardzo zadowolony z tego, że powstańcy wciąż są aktywni. Czują się potrzebni i chcą spełnić obowiązek przekazywania młodszym tego, że angażowanie się w życie publiczne i nieobojętność to coś ważnego. To jest kolejna lekcja patriotyzmu, którą nam przekazują. Nie zostaniesz bohaterem, siedząc przed komputerem czy przed telewizorem z miską chipsów. Jeśli chcesz zmienić świat, to rano musisz wstać, przekonać ludzi do czegoś albo zaprotestować przeciwko czemuś złemu czy poprzeć coś dobrego. Powstańcy uczą młodych ludzi wychodzenia z domu – warto to podkreślać, zamiast zastanawiać się nad tym, czy wszystkie popierane przez kombatantów inicjatywy są wartościowe.

Można poczuć pewien zgrzyt, że oto powstaniec popiera coś, z czym się fundamentalnie nie zgadzamy. Ale to też chyba przypomina nam, że Powstanie Warszawskie zjednoczyło bardzo różnych ludzi.

REKLAMA

SALTUS
UBEZPIECZENIA

Na szczęście jest ubezpieczenie!

NOWOŚĆ

Ubezpieczenia mieszkaniowe

W ofercie dostępne również ubezpieczenia: podróżne, NNW, na życie oraz komunikacyjne.

Ubezpieczenia komunikacyjne z oferty innego ubezpieczyciela niż SALTUS TUW i SALTUS TU ŻYCIE SA

saltus.pl

eprasa.pl db0df14551

Polskie państwo, które ujawniło się w Powstaniu Warszawskim, walczyło z Niemcami, miało też drugiego wroga – komunizm. Poza bolszewikami każda partia mogła funkcjonować w powstańczej Warszawie i prowadzić działalność polityczną. Państwo dawało partiom papier i dostęp do maszyn drukarskich, czyli do takiego ówczesnego Facebooka. Wszyscy, od lewa do prawa, od PPS do NSZ, mieli prawo działać i byli potrzebni. To, że teraz powstańcy także są zwolennikami różnych partii politycznych, nie jest dla mnie żadnym zaskoczeniem. Fenomenem natomiast było to, że w momencie budowy Muzeum Powstania Warszawskiego Lech Kaczyński był w stanie ich wszystkich połączyć. Szanowali go i szanują pamięć o nim do dzisiaj, mimo że nie wszyscy przecież na niego głosowali. Te różne poglądy nie wpłynęły też w żadnym stopniu na zaangażowanie Lecha Kaczyńskiego we wspieranie środowiska powstańczego.

Wszystko wskazuje na to, że jesienią będzie w Warszawie odsłonięty pomnik śp. Lecha Kaczyńskiego. Do tej pory to Muzeum Powstania Warszawskiego jest uznawane za jego pomnik, to pod tablicą na fasadzie muzeum, poświęconą panu prezydentowi, składane są kwiaty. Niesienie pamięci o nim to oczywistość?

Jesteśmy bardzo dumni z tej tablicy, bo to jedno z pierwszych upamiętnień Lecha Kaczyńskiego w Warszawie; odsłoniliśmy ją w pierwszą rocznicę katastrofy. Pilnujemy tego, by każda oficjalna delegacja złożyła tam wieniec. Lech Kaczyński na tej tablicy jest taki, jakim go zapamiętaliśmy. Dumny, z podniesioną głową, patrzy w przyszłość.

Wiele osób trafiło tutaj do pracy już po jego śmierci. Wiedzą, kim jest dla tego miejsca?

Tak. Rozmawiamy o tym bezustannie. Bo Lech Kaczyński jest nie tylko założycielem, lecz również autorem wizji tego miejsca. Powtarzał, abyśmy robili tak, by to muzeum przyciągało ludzi. Na taki efekt się umówiliśmy. Do pewnego stopnia dał nam oczywiście wolną rękę i za to jestem mu wdzięczny. Nawet śmiał się, że gdyby sam to projektował, to pewnie wystawa byłaby bardziej tradycyjna, ale zgadzał się na nowinki, bo celem nadrzędnym było stworzenie miejsca, które będzie tętniło życiem, także poza swoimi murami. Lech Kaczyński wziął nawet udział w akcji, którą przeprowadziliśmy w warszawskich tramwajach – sam jeździł i umieszczał wlepki z powstańczą poezją. Pamięć o jego wizji Muzeum Powstania Warszawskiego nas motywuje, zmusza do zastanowienia się nad tym, czy nasz przekaz wciąż działa, czy przychodzą ludzie, czy są zainteresowani. Takie podejście się sprawdza – w ubiegłym roku odwiedziło nas 706 tys. osób, najwięcej w historii. Mimo że był to 13. rok działalności muzeum, pobiliśmy nasz rekord frekwencji.

Fot. Andrzej Skwarczyński (×3)

Jak to się robi? Czym przyciąga się ludzi?

Trzeba znaleźć coś, co wykracza poza proste przypominanie o naszej historii. W tym roku przygotowaliśmy płytę z piosenkami Mieczysława Fogga, znajdą się na niej jednak nie tylko utwory powstańcze, lecz również przedwojenne i powojenne. Podczas powstania Fogg pełnił bardzo ważną funkcję – wiedział, że najbardziej przyda się i wesprze sprawę nie jako żołnierz, ale jako artysta podtrzymujący na duchu walczących oraz ludność cywilną. Koncertował i śpiewał dla ludzi pozbawionych domów, by choć przez chwilę poczuli się wspól-

eprasa.pl db0df14551

notą, mimo tragicznej rzeczywistości. Wspominając jego postać i twórczość, pokazujemy wybitnego powstańca, który miał świadomość, że ten zryw może się udać, gdy będą na niego pracowali nie tylko żołnierze.

Ale piosenki powstańcze to jest jakiś fenomen. Znów spotkamy się na pl. Piłsudskiego?

Oczywiście. To będzie największe, poza godziną „W" na Powązkach, wydarzenie obchodów 74. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego. Źródło tego sukcesu wciąż jest dla mnie tajemnicą. Jak się okazuje, wspólny śpiew gromadzi wielu ludzi, którzy mimo że się nie znają, licznie przychodzą na pl. Piłsudskiego konkretnego dnia o konkretnej godzinie i razem śpiewają. W ubiegłym roku transmisję w TVP oglądało ponad 2 mln widzów. To pokazuje, że Powstanie Warszawskie jest ważne także dla osób spoza stolicy. Kolejnym istotnym elementem tegorocznych obchodów rocznicy Powstania Warszawskiego będzie Marsz Pamięci poświęcony ofiarom cywilnym powstania. Jak co roku wyruszymy spod pomnika Pamięci 50 Tysięcy Mieszkańców Woli Zamordowanych przez Niemców podczas Powstania Warszawskiego 1944 i przejdziemy w kierunku cmentarza Powstańców Warszawy. Marsz zakończy się zapaleniem zniczy na wystawie „Zachowajmy ich w pamięci", która znajduje się w parku Powstańców Warszawy na Woli. Tę ekspozycję plenerową tworzą słupy z nazwiskami niemal 60 tys. warszawiaków, którzy zginęli w powstaniu. Co roku po tej akcji otrzymujemy nowe informacje o kimś, kto zginął w Warszawie w sierpniu lub we wrześniu 1944 r. Prowadzona przez nas Baza Ofiar Cywilnych Powstania Warszawskiego wciąż się powiększa i jest nieustannie aktualizowana. I stanowi kolejny dowód na to, że do naszego muzeum można zgłosić się zawsze, nie tylko przy okazji obchodów rocznicowych.

28. Bieg Powstania Warszawskiego

28 lipca tysiące biegaczy wystartuje w 28. Biegu Powstania Warszawskiego. Udział w nim to wspaniały sposób, by świętować i pomagać potrzebującym.

Bieg Powstania Warszawskiego jest jednym z najpopularniejszych i największych biegów organizowanych w stolicy. To drugie w tym roku wydarzenie z cyklu Warszawska Triada Biegowa „Zabiegaj o pamięć" (należą do niej także Bieg Konstytucji 3 Maja i Bieg Niepodległości), której partnerem strategicznym jest PKO Bank Polski.

– Od lat jesteśmy partnerem Warszawskiej Triady Biegowej. To niezwykła impreza, ponieważ łączy sport z upamiętaniem ważnych wydarzeń historycznych – mówi Marek Roszczyk, dyrektor Regionu Bankowości Detalicznej PKO Banku Polskiego w Warszawie. – Jeszcze bardziej niezwykły jest Bieg Powstania Warszawskiego. Strzały karabinów na trasie, kibice ze zniczami, wieczorna aura, zawodnicy z biało-czerwonymi opaskami. Tu przede wszystkim liczy się symbol, nie czas – dodaje.

Choć w drodze wyjątku stołeczna impreza przebiegnie zmienioną trasą – zawodnicy pobiegną ulicami na Stegnach i Sadybie – to z całą pewnością nie zatraci ducha historii. Nie zabraknie płonących zniczy, powstańczych piosenek, opasek ze znakiem Polski Walczącej, a przede wszystkim pamięci o bohaterach, którzy oddali życie w walce o niepodległość.

Start biegu na 5 km nastąpi 28 lipca o godz. 20.30, a na 10 km o 21.10 w okolicach Toru Łyżwiarskiego Stegny. Na krótszym dystansie zawodnicy pobiegną ulicami Sikorskiego, Witosa, Sobieskiego (w stronę centrum), a finiszować będą z drugiej strony toru – na ul. Idzikowskiego. Z kolei uczestnicy biegu na 10 km ruszą ulicą Sobieskiego w stronę Wilanowa, a wrócą tą samą ulicą w stronę Stegien. Dalsza droga pokrywa się z tą na 5 km. Na obu trasach nie zabraknie długich prostych. Nowa trasa to niejedyna nowość dla biegaczy, którzy wezmą udział w zawodach. Kolejną jest możliwość odbioru pakietu startowego przez kuriera.

28. Bieg Powstania Warszawskiego to także okazja, by wesprzeć 2-letniego Filipka 2,5-letniego Dawidka, którzy urodzili się z wadą serca i czekają na operacje.

– Pomagamy chłopcom, przypinając sobie kartkę „Biegnę dla Filipa i Dawidka". Dzięki zaangażowaniu zawodników, którzy dotrą z nią do mety, Fundacja przekazuje środki na ich leczenie, rehabilitację lub niezbędny sprzęt. W ubiegłym roku blisko 1,5 tys. biegaczy przyłączyło się do akcji charytatywnej. Mam nadzieję, że i w tym uczestnicy Biegu Powstania Warszawskiego licznie wezmą udział w tej akcji i pobiegną dla chłopców – mówi Małgorzata Głębicka, prezes Fundacji PKO Banku Polskiego.

Kartki-identyfikatory akcji „Biegnę dla Filipa i Dawidka" będzie można pobrać od 21 do 27 lipca w biurze zawodów oraz w dniu biegu, w godz. 19.00–21.00 w namiocie PKO Banku Polskiego umiejscowionym w okolicy startu.

eprasa.pl db0df14551

DOROTA ŁOSIEWICZ

Epidemia słodka tylko z nazwy

Cukrzyca to pierwsza niezakaźna choroba uznana przez ONZ za epidemię XXI w. Dzięki wynalezieniu insuliny cukrzyca z choroby nieuleczalnej stała się chorobą przewlekłą. Eksperci Instytutu Żywności i Żywienia nie mają wątpliwości: łatwiej cukrzycy uniknąć, niż ją leczyć. Odpowiednia zmiana stylu życia może zmniejszyć ryzyko cukrzycy o prawie 60 proc.

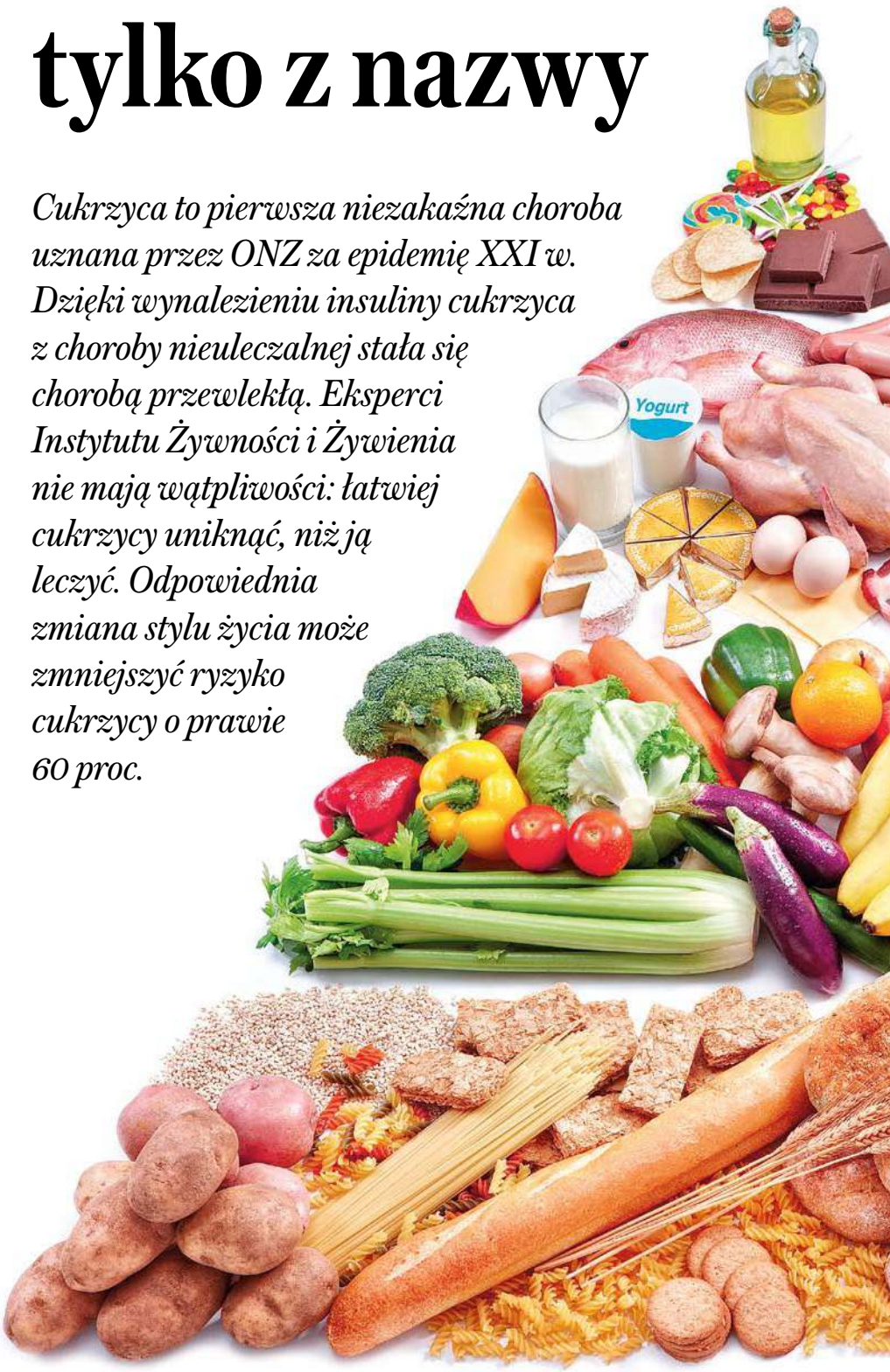

Walka z cukrzycą to wojna o życie pacjentów. Instytut Żywności i Żywienia nie chce prowadzić wojny, lecz jej skutecznie zapobiegać, zmniejszając ryzyko cukrzycy w Polsce. Trzeba działać na przedpolu choroby – tam, gdzie istnieje możliwość prewencji. Walka z cukrzycą to przecież wojna o życie. To drogie leczenie niewydolności nerek, to wojna ze ślepotą oraz wojna o ocalenie nóg przed amputacją. Dlatego IŻŻ apeluje: bądźmy mądrzy i działajmy prewencyjnie. Walczmy z własnym lenistwem, brakiem wiedzy i nawykami, zanim zostaniemy zmuszeni do wojny o życie nasze i naszych bliskich – mówi prof. dr hab. Mirosław Jarosz, dyrektor Instytutu Żywności i Żywienia.

DROGA CUKRZYCA

Według Światowej Organizacji Zdrowia na cukrzycę choruje na świecie 415 mln ludzi, a do 2035 r. to grono może wzrosnąć do 600 mln. Liczba chorych dotkniętych cukrzycą powiększa się każdego roku średnio o 2,5 proc. W Polsce z cukrzycą zmaga się blisko 3,5 mln osób, a przy obecnym tempie wzrostu już w 2020 r. może to być ponad 4 mln.

Szacunki Centers for Disease Control and Prevention przewidują, że do 2040 r. cukrzyca i jej powikłania będą główną przyczyną zgonów kobiet, a do 40 proc. wzrośnie odsetek pań zmagających się z tą chorobą. Według danych tej samej instytucji stan przedcukrzycowy (nieprawidłowa glukoza na czczo: 100-125 mg/dl lub nieprawidłowa tolerancja glukozy) dotyczy dziś w świecie niemal 1/3 dorosłej, aktywnej zawodowo populacji. W Polsce liczba ta sięga prawdopodobnie 5 mln osób.

Głównym czynnikiem ryzyka cukrzycy jest otyłość. Według International Diabetes Federation (IDF) ok. 48 proc. cierpiących na cukrzycę

eprasa.pl db0df14551

typu 2 to osoby z nadwagą (BMI 25-29,9 kg/m²), kolejne 40 proc. to osoby z otyłością pierwszego stopnia (BMI 30–34,9 kg/m²). Jedynie kilka procent chorych ma prawidłową masę ciała (BMI 18,5–24,9 kg/m²). Niepokojąca jest obserwowana coraz częściej tendencja występowania cukrzycy u dzieci i młodzieży, choć generalnie cukrzyca typu 2 dotyczy osób po 40. roku życia.

Nieleczona lub leczona niewłaściwie cukrzyca może doprowadzić do licznych komplikacji, jak udar, ślepota, niewydolność nerek czy choroba wieńcowa.

Niebezpieczna dla zdrowia człowieka jest także cukrzyca niezdiagnozowana (stan podwyższonego stężenia glukozy we krwi, czyli hiperglikemia). Przewlekła hiperglikemia może powodować uszkodzenie, zaburzenie czynności i niewydolność różnych narządów, zwłaszcza oczu, nerek, nerwów, serca i naczyń krwionośnych.

Eksperci IŻŻ podkreślają: cukrzycy łatwiej uniknąć, niż ją leczyć. Ważna jest odpowiednia dieta, bez nadmiaru cukrów i tłuszczu, za to bogata w warzywa i owoce (z przewagą warzyw). Należy się wystrzegać produktów bardzo kalorycznych, wysoko przetworzonych oraz używek, za to zwiększyć swoją aktywność fizyczną. Ważne są regularne badania, zwłaszcza po 45. roku życia.

– Cukrzyca, szczególnie typu 2, jest jedną z najczęściej występujących i najgroźniejszych chorób cywilizacyjnych. W znacznej mierze sami ją społecznie wytworzyliśmy – nieprawidłową dietą i siedzącym trybem życia. Prawda jest taka, że profilaktyka cukrzycy to walka z konsekwencjami otyłości będącej dziś największym zagrożeniem zdrowotnym na świecie. Jeśli zwalczymy otyłość, wyeliminujemy w sposób prawie naturalny problem cukrzycy. Będę powtarzał bez końca: prawidłowa dieta i aktywność fizyczna odgrywają w prewencji oraz leczeniu cukrzycy kluczową rolę. Nie mamy dziś odwrotu od zmiany stylu życia – albo świadomie i konsekwentnie zmienimy dietę i zwiększymy aktywność fizyczną, albo czeka nas zahamowanie rozwoju cywilizacyjnego – przestrzega prof. Jarosz.

Cukrzyca nakłada olbrzymie obciążenia finansowe na pacjentów, ich rodziny i całą gospodarkę. W większości krajów świata 15 proc. wydatków na ochronę zdrowia pochłaniają rokrocznie właśnie koszty cukrzycy, a procent ten wykazuje tendencję wzrostową. Tylko w Polsce w latach 2004–2009 koszt świadczeń zdrowotnych z powodu cukrzycy wzrósł pięciokrotnie.

Koszt leczenia powikłań cukrzycy jest pięć razy większy niż leczenia samej cukrzycy. Co ważne, 46 proc. całkowitych kosztów cukrzycy stanowią wydatki pośrednie (związane z utratą produktywności spowodowaną wcześniejszymi rentami i dniami niezdolności do pracy z powodu zwolnień lekarskich). Całkowity koszt związany z cukrzycą w Polsce, czyli wydatki na profilaktykę i leczenie, to dziś 7 mld zł rocznie.

27 marca 2018 r. Najwyższa Izba Kontroli opublikowała pokontrolny „Raport o profilaktyce i leczeniu cukrzycy typu 2". Celem kontroli NIK była ocena działań mających za zadanie wczesne wykrycie osób zagrożonych i chorych na cukrzycę typu 2 oraz wdrażanie skutecznych metod leczenia tej choroby. Kontrola dotyczyła lat 2015–2017.

Zdaniem NIK działania systemu ochrony zdrowia nie były w tym zakresie skuteczne. Nie została ograniczona dynamika wzrostu liczby nowych zachorowań. Według danych NFZ na koniec 2016 r. liczba chorych na cukrzycę typu 2 wynosiła ponad 1,6 mln osób – więcej o ponad 1 proc. w stosunku do roku 2015. Koszty poniesione przez NFZ na leczenie pacjentów z cukrzycą typu 2 (bez kosztów leczenia powikłań) wyniosły w 2016 r. 1,7 mld zł – jest to wzrost o 8,5 proc. w stosunku do roku poprzedniego.

UKRYTY WRÓG

Stan przedcukrzycowy oznacza nieprawidłowy poziom glukozy na czczo (100–125 mg/dl) lub nieprawidłową tolerancję glukozy, a jego występowanie praktycznie nieuchronnie wiąże się z rozwinięciem cukrzycy, jeśli nie podejmie się odpowiednich działań.

Stan przedcukrzycowy jest wrogiem ukrytym: nie wskazują na jego obecność konkretne objawy, pacjent czuje się normalnie, nie odczuwa żadnych specyficznych dolegliwości. Najważniejszymi czynnikami, które predysponują

Fot. Shutterstock

PRZYKŁADOWY JADŁOSPIS DASH (ułożony na 2 000 kcal)

I śniadanie: płatki owsiane (80 g) z mlekiem krowim 1,5 proc. (250 ml), rodzynki (30 g), orzechy laskowe (10 g), herbata z cytryną

II śniadanie: jogurt naturalny (300 g) z jagodami (100 g)

Obiad: zupa pomidorowa, ziemniaki w mundurkach (200 g), pstrąg duszony (100 g), brokuły (100 g), oliwa z oliwek (10 ml), sok pomarańczowy (250 ml)

Podwieczorek: sałatka owocowa: banan (100 g), mandarynki (60 g), jabłka (100 g), woda mineralna

Kolacja: makaron (100 g) z pesto, oliwki zielone (30 g), herbata zielona (250 ml)

Źródło: bonavita.pl

eprasa.pl db0df14551

do rozwoju stanu przedcukrzycowego i cukrzycy, są: otyłość, siedzący tryb życia, wywiad rodzinny w kierunku cukrzycy, występowanie nadciśnienia czy zaburzeń lipidowych.

Stan przedcukrzycowy sprzyja rozwijaniu się cukrzycy, generując odległe powikłania cukrzycowe – ze względu na to, że nawet niewielkie podwyższenie glukozy we krwi uszkadza naczynia. Stan przedcukrzycowy przyspiesza rozwój miażdżycy naczyń, zwiększa także ryzyko zawału serca i udaru mózgu.

– Stan przedcukrzycowy staje się coraz większym problemem społecznym, trzeba być tego świadomym. Jednak zmiana stylu życia, czyli odpowiednia dieta oraz zwiększenie aktywności fizycznej, mogą skutecznie go cofnąć, zapobiegając rozwojowi cukrzycy typu 2 lub ten rozwój mocno spowalniając – mówi prof. Jarosz.

JEDZ ZDROWO

Co jeść, by obniżyć ryzyko zachorowania na cukrzycę? Po pierwsze, w ramach danej grupy produktów wybieramy te o niskim indeksie glikemicznym (IG < 55). Czyli jakie?

Produkty zbożowe

- kasza gryczana i jęczmienna nierozgotowana,
- płatki owsiane – nierozgotowane,
- ryż brązowy, dziki – nierozgotowany,
- makaron razowy – ugotowany al dente,
- chleb żytni pełnoziarnisty, chleb z niskim IG.

Produkty mleczne

Najlepiej sięgajmy po napoje mleczne fermentowane: jogurt, kefir, maślankę, zsiadłe mleko.

Warzywa

Większość warzyw, m.in. brokuły, kapusta, cukinia, cykoria, kalafior, papryka, pomidory, sałata, szpinak, marchew surowa (gotowana średni IG), strączkowe (fasola, groch, soja, soczewica).

Owoce

Ze względu na dużą zawartość fruktozy liczba owoców, w przeciwieństwie do warzyw, powinna być ograniczona i skonsultowana z dietetykiem. Najlepiej jeść owoce świeże (unikamy np. tych w syropie).

Orzechy, nasiona, pestki

Orzechy m.in. włoskie, laskowe, arachidowe, migdały, siemię lniane, sezam, nasiona słonecznika, pestki dyni.

W ramach poszczególnych grup produktów wybieramy te o niskiej zawartości nasyconych kwasów tłuszczowych, izomerów trans, soli, cukru. Ograniczamy produkty zbożowe i te o małej zawartości błonnika.

Opisane wyżej zasady składają się na tzw. dietę DASH, czyli popularną piramidę zdrowego żywienia, opracowaną przez amerykańskich specjalistów z Narodowego Instytutu Serca, Płuc i Układu Krwiotwórczego. Dieta ta nie powoduje specjalnych wyrzeczeń, tylko wymaga świadomego wyboru produktów. W diecie DASH należy zrezygnować z produktów zawierających dużą ilość sodu, takich jak wędliny, produkty wysoko przetworzone i wędzone, białe pieczywo, konserwy rybne, tłuste mięsa, słone przekąski. Sól można zastąpić przyprawami, ziołami, octem winnym czy cytryną. Tłuszcz powinien stanowić maksymalnie 27 proc. diety – głównym źródłem musi być tłuszcz roślinny, tłuszcz zwierzęcy należy ograniczać.

Stosowanie zasad DASH oraz aktywność fizyczna obniżają ciśnienie tętnicze u osób z nadciśnieniem i bez nadciśnienia, ale z wyższym RR niż optymalne, obniżają podwyższone stężenie złego cholesterolu, zmniejszają ryzyko zawału serca, udaru mózgu, zmniejszają także ryzyko zgonu z powodu choroby sercowo-naczyniowej i z powodu nowotworu. Badania przeprowadzone przez The National Heart, Lung and Blood Institute (NHLBI) wykazały, iż w ciągu dwutygodniowej diety DASH u osób objętych badaniem skurczowe ciśnienie krwi spadło o 11,4 mmHg, natomiast rozkurczowe ciśnienie krwi o ponad 5,5 mmHg, co ma porównywalny efekt do rezultatu przyjmowania leków. Od siedmiu lat DASH zajmuje pierwsze miejsce jako najzdrowsza dieta w rankingu przygotowanym przez ekspertów z całego świata z dziedziny medycyny i dietetyki. A obecnie – ex aequo z dietą śródziemnomorską – jest najbardziej zalecaną przez powyższe gremium dietą na 2018 r.

Oprac. na podstawie: mat. pras. IŻŻ

CZY JESTEŚ ZAGROŻONY CUKRZYCĄ?

Odpowiedz TAK lub NIE na poniższe pytania:

1. Czy występowała lub występuje u ciebie nadwaga lub otyłość, czyli BMI >25?
2. Czy w najbliższej rodzinie (u rodziców lub rodzeństwa) występuje lub występowała cukrzyca?
3. Czy masz więcej niż 45 lat, a na dodatek palisz papierosy?
4. Czy twoja aktywność fizyczna jest przypadkowa, a tryb życia siedzący?
5. Czy przebyłaś cukrzycę ciążową lub urodziłaś dziecko o masie ciała powyżej 4 kg?
6. Czy miałeś/miałaś kiedykolwiek potwierdzony badaniem stan przedcukrzycowy?
7. Czy przyjmujesz statyny obniżające poziom cholesterolu?
8. Czy towarzyszy ci częste silne (albo nadmierne) uczucie pragnienia?
9. Czy obserwujesz u siebie powracające przemęczenie, osłabienie i wzmożoną senność?
10. Czy częściej niż kiedyś zapadasz na infekcje, masz przewlekłe zmiany ropne skóry czy stany zapalne dróg moczowych?
11. Czy ostatnio bez zamierzonego odchudzania w niewytłumaczalny sposób uległa redukcji masa twojego ciała?
12. Czy pieczywo, które spożywasz, jest w większości białe, a warzywa i owoce jesz rzadziej niż trzy razy dziennie?
13. Czy unikasz śniadań?

Odpowiedzi twierdzące na większość powyższych pytań oznaczają znaczące predyspozycje do wystąpienia stanu przedcukrzycowego lub ukrytej cukrzycy.

Co robić?

1. Ustal kaloryczność diety z dietetykiem, gdy BMI >25.
2. Ustal zawartość węglowodanów z dietetykiem.
3. Jedz często (4–5 razy dziennie).
4. Jedz małe porcje, dodawaj często warzywa.
5. Pamiętaj o wartościowym śniadaniu pierwszym i drugim.
6. Unikaj cukru, słodyczy, słodkich napojów i soli.
7. Przestrzegaj zasad prawidłowego żywienia dla osób zdrowych, czyli korzystaj z zalecanego wyboru produktów.

eprasa.pl db0df14551

KULTURY

Amanda Seyfried wyglądała zjawiskowo na londyńskiej premierze przeboju tego lata, czyli „Mamma Mia: Here We Go Again!". Miała obok siebie oszałamiającą Cher i niedoścignioną Meryl Streep – wspaniałe damy otwierające korowód gwiazd, które wypełniły ten film

Mamma mia. Znów tu są

Fot. Shutterstock

eprasa.pl db0df14551

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Trudno wyobrazić sobie lepszy tytuł dla kontynuacji przeboju, który 10 lat temu przywrócił światową modę na przeboje Abby. „Here We Go Again!" nawiązuje do cytatu z utworu „Mamma Mia", ale przede wszystkim odpowiada na oczekiwania widzów (i producentów już zacierających ręce z myślą o zyskach).

PO NIEBIESKIM DYWANIE

I cóż, że zrzędliwcy zarzucali niektórym gwiazdom zrealizowanej w 2008 r. ekranizacji musicalu „Mamma Mia!", że nie mają głosu, że mają zbyt wiele lat, by grać całkiem jeszcze młodych bohaterów. Na nic się zdały te uszczypliwości. Film przeszedł z impetem przez światowe ekrany, przyciągając tłumy widzów (tylko w Stanach zarobił ponad 144 mln, a na całym świecie przeszło 600 mln dol.). Meryl Streep potwierdziła aktorską klasę i megawszechstronność, a przeboje szwedzkiego zespołu wróciły do łask najbardziej wybrednych słuchaczy i rozlały się po domach oraz klubach, wielkich imprezach i kameralnych spotkaniach.

Kinowy przebój lata 2008 r., świetnie wygrywający rajski urok filmowej wyspy i dynamiczną (ale też, gdy trzeba, nastrojową) muzykę, dopełniony mieszanką romansowych zawirowań i wyrazistych charakterów, a także szczyptą humoru, wciąż chętnie oglądany na ekranach telewizorów, aż się prosił o kontynuację. I właśnie ją mamy. Do naszych kin „Mamma Mia: Here We Go Again!" trafi 10 dni po światowej premierze, która odbyła się w Londynie.

Na niebieskim dywanie (w końcu kluczowa dla fabuły wyspa pięknie komponuje się z błękitem wody i nieba) nie mogło zabraknąć Meryl Streep, choć na ekranie pojawi się głównie w scenach przywołanych z poprzedniej produkcji. Twórcy filmu postanowili tym razem poprowadzić opowieść dwutorowo, cofając się do kolorowej i szalonej młodości Donny. Wersję bohaterki sprzed lat gra Lilly James, kolejna szczęściara, która trafiła na plan wypełniony gwiazdorskimi osobowościami. Jak dekadę temu Amanda Seyfried. Dziś rozpoznawalna i doceniana także intratnymi filmowymi angażami.

NIE MÓWIĄ „DOŚĆ"

I 32-letnia dziś Amanda, i młodsza od niej trzy lata Lilly z zachwytem oraz uwielbieniem spoglądają na charyzmatyczne gwiazdy, z którymi ich bohaterki tworzą na ekranie rodzinną konfigurację. Donna w wykonaniu Meryl Streep jest zarazem matką Sophie (granej przez Seyfried) i córką Ruby (w tej roli Cher, notabene starsza od Meryl tylko trzy lata).

Prywatnie obie panie znają się i lubią. Gorący pocałunek, którym została obdarzona ekranowa Donna, skwapliwie został uwieczniony przez fotografów. Cher w rozmowie z „Harper's Bazaar" przypomniała, że poznały się w 1983 r., podczas zdjęć do filmu Mike'a Nicholsa „Silkwood", który zresztą przyniósł ekscentrycznej wokalistce pierwszego Oscara. „Kiedy pojawiłam się na planie, Meryl podeszła i przytuliła mnie, mó-

eprasa.pl db0df14551

wiąc: »Cieszę się, że tu jesteś«. Trzymałyśmy się potem razem, chodziłyśmy do kina w niedziele, a kiedy byłam w Nowym Jorku, codziennie odwiedzałam ją w domu" – opowiada.

72-lenia Cher pojawiła się ostatnio na dużym ekranie w 2010 r. w filmie „Burleska". Karierę muzyczną zamknęła oficjalnie pięć lat temu, wydając swój 25. album – „Closer to the Truth". Nadal jednak nie mówi dość, choć dorobek ma imponujący. Obecna w show-biznesie od lat 60. zdołała w tym czasie zdobyć m.in. dwa Oscary (także za rolę pierwszoplanową, w filmie „Wpływ księżyca" z 1987 r.) i trzy Złote Globy (w 1974 r. za serial „The Sonny and Cher Comedy Hour" oraz za role w „Silkwood" i „Wpływie księżyca", w sumie do tej nagrody nominowana była sześciokrotnie). Rekordzistka operacji plastycznych ma szczęście – ingerencje skalpela nie oszpeciły jej, jak całą rzeszę hollywoodzkich gwiazd i celebrytek. Podczas premiery filmu „Mamma Mia: Here We Go Again!", pozując na niebieskim dywanie, wyglądała świetnie.

Co ciekawe, Cher – która w tej produkcji dała się namówić na wykonanie jednego z przebojów Abby – pojawiła się też w ostatnim filmie szwedzkiego zespołu, wydanym w 2004 r. z okazji 30-lecia grupy (licząc od wygranej w konkursie Eurowizji 1974), a zatytułowanym „ABBA: Our Last Video Ever". Jako widz oglądała w nim piosenkę „Waterloo" wykonywaną przez lalkowe podobizny członków zespołu. Teraz zaśpiewała „Fernando", dobierając sobie do duetu Andy'ego Garcię.

WIĘCEJ MŁODOŚCI

W sequelu powrócą gwiazdy z przebojowej ekranizacji sprzed dekady. Będą: Pierce Brosnan, Colin Firth, Stellan Skarsgard, a także niezwykle energetyczne: Julie Walters i Christine Baranski (tu ciekawostka: rolę Tanyi proponowano w pierwszej kolejności... Cher). Twórcy postanowili jednak wprowadzić do filmu więcej młodości. Cofając się w czasie, mogli pokazać również nowe, dynamiczne wykonania utworów wykorzystanych w pierwszej części. Obok są jednak i piosenki wykorzystane premierowo. O stronę muzyczną filmu zadbał Benny Andersson, jeden z członków Abby. Pojawi się on też jako kanclerz uniwersytetu podczas rozdania dyplomów Donny.

Młodzieńcze rozterki głównej bohaterki odegra w filmie brytyjska aktorka Lily James. Fanom kostiumowych seriali znana z nagradzanej produkcji „Downton Abbey" (w której zagrała niepokorną Lady Rose Aldridge), ale megarozpoznawalność przyniosła jej tytułowa rola Kopciuszka w aktorskim filmie Disneya z 2015 r. Dzięki niej trafiła też do świątecznego wydania „Vouge'a", sfotografowana przez Annie Leibovitz w balowej sukni.

Być może na jej wybór do „Mamma Mia: Here We Go Again!" miał wpływ wokalny debiut w Disnejowskim filmie, w którym zaśpiewała (podłożoną pod końcowe napisy) piosenkę z animowanego „Kopciuszka" z 1950 r. Teraz, już do kamery, mogła wykonać m.in. tytułowy przebój „Mamma Mia".

WCIĄŻ TU JESTEM

Młodzieńczy urok, tak dobrze przyjęty w filmie zrealizowanym przed dekadą, wciąż zachowała Amanda Seyfried, czyli ekranowa Sophie. Z urodzenia Amerykanka, od ubiegłego roku żona poznanego na planie aktora (o swojsko brzmiącym nazwisku Sadoski) oraz świeżo upieczona mama.

Od małego ciągnęło ją przed obiektywy aparatów i kamer. Jako 11-latka zadebiutowała w roli modelki. Naturalna i urocza szybko trafiła na serialowe plany. Równolegle uczyła się śpiewu i gry aktorskiej. Popularność przyniosła jej rola w filmie o nastolatkach „Wredne dziewczyny" z 2004 r., dwa lata później zagrała w docenionym przez krytyków filmie Nicka Cassavetesa „Alpha Dog".

Przełom w jej karierze wyznaczył filmowy musical „Mamma Mia!", w którym poza urokiem i aktorską swobodą mogła pokazać umiejętności wokalne. Producenci docenili jej Sophie, oferując główne role w takich filmach jak „Wciąż ją kocham" czy „Listy do Julii" z 2010 r. Potem był „Wyścig z czasem" (2011), gdzie partnerował jej Justin Timberlake. Znalazła się też w obsadzie gwiazdorskiego musicalowego hitu „Les Miserables: Nędznicy" (2012). Wcieliła się w Cosette.

Najchętniej widziana przez widzów i producentów w rolach ślicznych dziewczyn oraz młodych kobiet, wciąż jest obecna w hollywoodzkim show-biznesie. „Mamma Mia: Here We Go Again!" zamyka dla niej 10 lat aktorskich doświadczeń, w czasie których zdarzyło się jej dostać także nominację do Złotej Maliny (za dwie role z 2016 r.). Na 25, jakie w tym czasie zagrała, to może niedużo, ale do przemyślenia, by za kolejnych 10 lat mogła sobie zaśpiewać nie tylko: „Here I go again", lecz również, cytując innego artystę: „I'm still standing".

eprasa.pl db0df14551

„Tabu" (HBO GO)

Seriale na lato

Deszcz w wakacje? To nie ponury żart jakiegoś urlopowanego Grincha, ale smutna rzeczywistość naszej szerokości geograficznej. Niech pierwszy rzuci kamieniem ten, którego polska pogoda nie doprowadziła do furii i totalnej depresji. Cóż, dziś depresję łatwiej zwalczyć, mając komputer, tablet lub smartfona

ŁUKASZ ADAMSKI

W erze Netflixa i innych potentatów VOD smartfony służą do noszenia z sobą całej biblioteki filmowej. Nie jestem entuzjastą oglądania filmów na telefonie komórkowym. Uważam (choć nie jestem kinowym purytańskim radykałem jak Quentin Tarantino, który bojkotuje serwisy VOD), że takie oglądanie wielkiego kina jest jego profanacją. Niemniej jednak na Netflixie, HBO GO czy Showmax.com nie brakuje seriali, które spokojnie na małym ekranie można „zaliczyć".

Jestem krytykiem filmowym i fanatykiem kina od wczesnego dzieciństwa. Oglądam każdy gatunek. Kino artystyczne kocham tak samo jak B-klasowe produkcje spod znaku „Martwego zła" i „Martwicy mózgu". Niewiele spraw potrafi oderwać mnie od ekranu. A jednak nawet ja jestem zdumiony każdego tygodnia po „odpaleniu" Netflixa. Liczba nowości pojawiających się na tym i innych serwisach streamingowych może przyprawić o ból głowy nawet osobę oddychającą kinem od świtu do nocy. Jak wybrać w tym stogu filmowego siana najlepszy pokos? Nie łudźmy się. W ciągu roku nie sposób zobaczyć wszystkich ciekawych nowości. Deszczowe wakacje (ale też spokojne wieczory w górach czy nad morzem) są idealnym okresem, by takie zagubione pozycje odnaleźć i zaległości nadrobić. Zainspirowany ubiegłotygodniowym tekstem Dariusza Karłowicza o książkach na wakacje postanowiłem zwrócić uwagę na bliskie mojemu sercu produkcje, które mogły umknąć państwa uwadze.

„Choć z wiekiem powinienem się czegoś nauczyć, zawsze biorę przecież dużo więcej, niż byłbym zdolny przeczytać, i to nawet gdybym przez całe wakacje nie robił nic innego, tylko czytał, a przecież rozmowy, rower, spacery, pływanie zajmują trochę czasu. Ciężka sprawa i ciężka waliza! Może to taka siłownia dla inteligentów – ale kręgosłup to na niej nie zyskuje" – pisze Karłowicz. Dzięki serwisom streamingowym kinomani o kręgosłup martwić się nie muszą. Poza psuciem wzroku (to jednak w imię sztuki!) nic im specjalnie nie grozi. Karłowicz proponuje w swoim felietonie kilka kategorii, na które warto podzielić wakacyjną lekturę. Jedna kategoria to sensacja, biografie czy wspomnienia, natomiast druga to dzieła presokratyków, eksperymentalna proza. „Słowem: hard core!" – pisze obrazowo filozof i publicysta. Ja proponować eksperymentalnego kina nie będę. Ba, nawet nie otrę się o dzieła artystyczne. Wakacje to czas odpoczynku i relaksu, więc polecam bardziej rozrywkowy repertuar. Miłosny i twardzielski. To dwie namiętności, które kierują całym naszym życiem. Od czego zacząć?

NEUROTYK I KOWBOJE

Lato czasem nie jest tak gorące jak u Kazika w „Czterech pokojach", więc nie zgrywajmy twardzieli i zacznijmy od czegoś zabawnego. Nie ma co jednak hamować entuzjazmu i warto zacząć od neuroz Larry'ego Davida. Szczególnie że Woody Allen mocno się zestarzał, stępił swój dowcip, nawet coraz mniej błyskotliwie cytuje sam siebie. Żydowskiego pochodzenia komik Larry David przeszedł do historii amerykańskiej popkultury jako współtwórca kultowego dziś serialu „Seinfeld" (1989–1998). Od 2000 r. bawi, grając samego siebie. Jest bogaty, niezależny, ma piękną żonę i sławnych przyjaciół. Mieszka w słonecznym Los Angeles, choć wygląda jak postać wyjęta z nowojorskiego świata Allena (nota-

eprasa.pl db0df14551

bene zagrał u niego główną rolę w świetnym „Co nas kręci, co nas podnieca").

Pełen neuroz i niezdarności w codziennych czynnościach, pozbawiony taktu żydowski liberalny intelektualista to jedna z moich ukochanych postaci amerykańskiej telewizji. Może znajduję w nim swoją delikatną mizantropię? Ostatni sezon „Pohamuj entuzjazm" jest swoistym the best of Larry David. To perfekcyjne podsumowanie jednego z najzabawniejszych i najinteligentniejszych sitcomów w historii telewizji. Kolejne sezony dostępne są na HBO GO. Niedawno przypomniałem sobie wszystkie. „Pohamuj entuzjazm" to serial robiony przez liberałów, więc ostrze politycznego dowcipu jest wymierzone w konserwatystów. Jednak i dla nich znajdzie się zagubiona w odmętach filmowej biblioteki Netflixa intrygująca produkcja.

„The Ranch" został stworzony przez Jima Pattersona i Dona Reo, którzy odpowiadają za popularny serial „Dwóch i pół" (2003–2015). Teraz sitcomowy format przenieśli do Netflixa. Ze znakomitym skutkiem. Nie dość, że nie musieli zwracać uwagi na cenzurę powszechnie obowiązującą w ogólnodostępnych amerykańskich stacjach telewizyjnych (m.in. dotyczącą kwestii wulgaryzmów), to mogli zignorować też politpoprawność i uczynić bohaterami krwistych konserwatystów! „The Ranch" pochyla się nad amerykańską prowincją. Osadzony na farmie w Kolorado pokazuje życie uroczego prawicowca, co w sitcomach zdarza się niezwykle rzadko. Ten ma na dodatek legendarne wąsy Sama Elliotta. Pierwsza seria powstała przed zwycięstwem Trumpa, ale zapowiadała zmianę na amerykańskiej scenie politycznej. Żarty z „wielkiego rządu", Obamy i inwigilacji obywateli przez Waszyngton wyglądają, jakby były wyrwane z Twittera obecnego pierwszego obywatela USA.

„The Ranch" wpisuje się w najlepszą tradycję amerykańskich sitcomów i wnosi do telewizji coś nowego. Dawno żadna konserwatywna rodzina nie była na ekranie tak sympatyczna i ujmująca. Szkoda, że Ashton Kutcher zostanie w następnym sezonie jedynym synem kowboja Sama Elliotta, po tym jak grający jego brata Danny Masterson został zwolniony z serialu przez akcję #metoo. Było to przezabawne męskie trio. Elliott kapitalnie igra ze swoim wizerunkiem z westernów i eksploatuje specyficzny styl gburowatego, twardego kowboja. Serce ma jednak gołębie, a riposty godne narratora filmu „Big Lebowski" Coenów, w którym stworzył kultowy epizod.

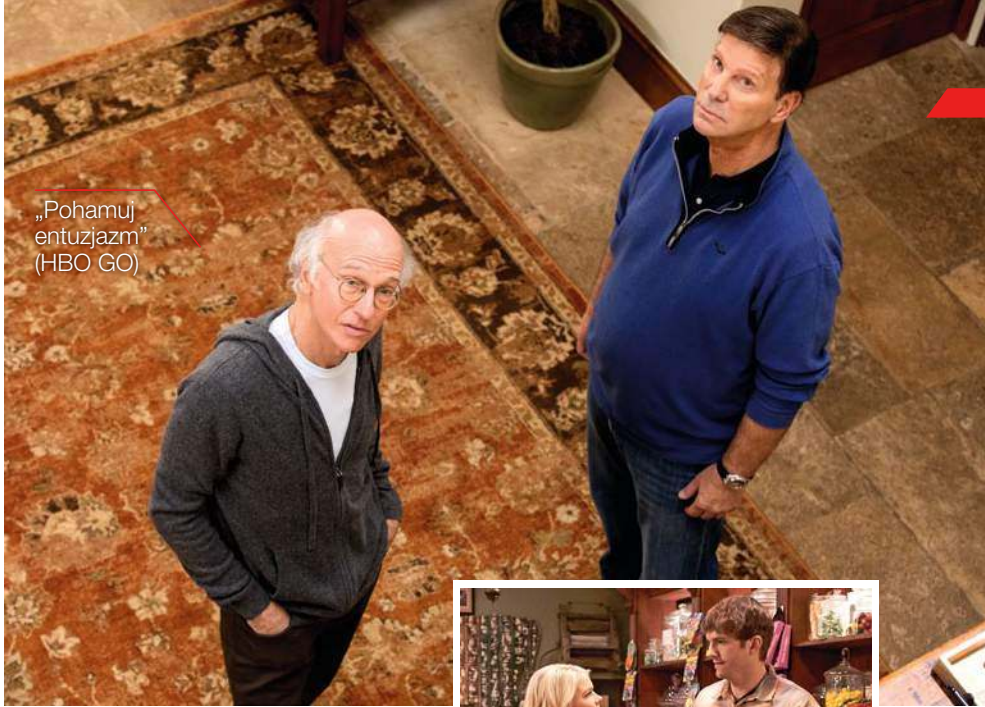

„Pohamuj entuzjazm" (HBO GO)

„The Ranch" (Netflix)

Fot. Mat. prasowe (x3)

KOLEJNE WCIELENIE TWARDZIELA

Twardziel? Dziś to słowo kojarzy się z jedną twarzą. Walczył już z Batmanem i był nowym Mad Maxem. Walczył z komunistami („Child 44") i nazistami („Dunkierka"). Ten serial przemknął przez nasze telewizje i nie został odpowiednio doceniony. „Tabu" przypomina świetny Netflixowy „Bloodline", opowiadający o marnotrawnym synu, którego powrót przypomina rodzinie o zamkniętych w szafie trupach. Tutaj marnotrawnym synem jest James Keziah Delaney (Tom Hardy). Uznany za zmarłego w Afryce powraca w 1814 r. do Londynu na pogrzeb ojca. Syn właściciela małego (ale kluczowego geopolitycznie) kawałka ziemi w USA i Indianki z plemiona Nootka od razu wzbudza trwogę.

Przez lata krążyły o nim przerażające legendy. Jego zachowanie wskazuje na opętanie przez demony, a na pewno pokazuje dziką krew pulsującą w jego żyłach. Ktoś taki jest jedynym spadkobiercą ziemi, którą chcą przejąć Korona i rodzina. Ku przerażeniu lokalnych władz James nie zamierza spieniężyć majątku i wrócić do dziczy. Jest świadom, że może realnie wpłynąć na losy świata. I zamierza to zrobić każdymi metodami.

„Tabu" to kolejny po „Locke" wspólny projekt Hardy'ego i Steve'a Knighta. Hardy po roli Mad Maxa pokochał szalonych i niejednoznacznych bohaterów. James jest ich kwintesencją. Jego bohater jest jednocześnie przerażający i ujmujący. Hardy rozsadza ekran i już po dwóch odcinkach widać, że postać zapisze się w historii telewizji, która przecież w ostatnich latach nie cierpi na deficyt krwistych bohaterów. Twórcy bardzo realistycznie odmalowują XIX-wieczny Londyn, ale zatapiają go również stylistycznie w koszmary z opowiadań Edgara Allana Poe.

Tylko trzy seriale? Wystarczą na całe wakacje. Neuroza żydowskiego intelektualisty, świat prawicowych rednecków i tajemnica XIX-wiecznej stolicy Anglii? Czego chcieć więcej od telewizji.

eprasa.pl db0df14551

Młodość, ambicja, jakość

Adam Ciesielski

Międzynarodowa I, CULTURE Orchestra, działająca pod auspicjami Instytutu Adama Mickiewicza, wydała bardzo ciekawy album z repertuarem polskim. Najnowszy skład młodzieżowego zespołu od Warszawy zaczął tournée europejskie.

Wydana teraz płyta została nagrana (pod batutą Andrzeja Boreyki) podczas ubiegłorocznego festiwalu „Chopin i jego Europa". Otwierają ją „3 tańce polskie" Juliusza Zarębskiego. Ceniony pianista i kompozytor cały cykl napisał na fortepian na cztery ręce, instrumentacji na orkiestrę symfoniczną dokonał Ferenc Liszt – nauczyciel i przyjaciel twórcy. Na płycie rozbrzmiewa także „Koncert na orkiestrę" Witolda Lutosławskiego, a na koniec mazur z opery „Halka" Stanisława Moniuszki.

Skład I, CULTURE Orchestra zmienia się co roku. Możliwości świeżo sformowanej, siódmej już ekipy uzdolnionej młodzieży z Polski, Armenii, Azerbejdżanu, Białorusi, Gruzji, Mołdawii, Ukrainy i Węgier pod kierownictwem ukraińskiego dyrygenta Kirilla Karabitsa mogliśmy poznać na stołecznym festiwalu „Ogrody Muzyczne". Usłyszeliśmy utwory Arama Chaczaturiana, Piotra Czajkowskiego i Igora Strawińskiego.

Utwory Juliusza Zarębskiego, Witolda Lutosławskiego, Stanisława Moniuszki;
I, CULTURE Orchestra,
Andrzej Boreyko – dyrygent;
wyd. Narodowy Instytut Fryderyka Chopina

Program, powiększony m.in. o mazura z „Halki", 115 muzyków ICO przedstawia podczas trasy europejskiej: od Montpelier przez Amsterdam do Kopenhagi. Jesienią orkiestra zagra koncerty w ramach zagranicznych obchodów stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości. 25 października w Palais de Beaux-Arts w Brukseli, cztery dni później w Elbphilharmonie w Hamburgu przedstawi Poloneza na orkiestrę Krzysztofa Pendereckiego, I Koncert skrzypcowy Karola Szymanowskiego oraz „Święto wiosny" Igora Strawińskiego.

Śpiewy całonocnej liturgii

Chór Opery i Filharmonii Podlaskiej pod dyr. prof. Violetty Bieleckiej słusznie cieszy się opinią jednego z najlepszych zespołów śpiewaczych w Polsce. Oprócz udziału w koncertach symfonicznych i przedstawieniach muzycznych w Białymstoku jest rozchwytywany w kraju i za granicą.

Miałem już okazję rekomendować znaczący udział chóru w nagraniach m.in. oratorium „Quo vadis" Feliksa Nowowiejskiego oraz „Missa pro pace" Wojciecha Kilara. Białostocczanie mają w dorobku trzy Fryderyki, zaś nominację do tej nagrody dostał w tym roku ich album z „Całonocnym czuwaniem" Sergiusza Rachmaninowa.

Ostatnie i zarazem największe dzieło liturgiczne rosyjskiego kompozytora powstało w 1915 r. Łączy ono tradycyjną muzykę cerkiewną, stanowiącą oprawę do trwającego prawie całą noc nabożeństwa, z wyobraźnią artysty. Dziewięć spośród 15 części utworu bazuje na starodawnych melodiach. Pozostałe, mimo większego luzu interpretacyjnego, też nawiązują do dawnych harmonii, w myśl przyświecającej twórcy idei „świadomego naśladownictwa obrzędu".

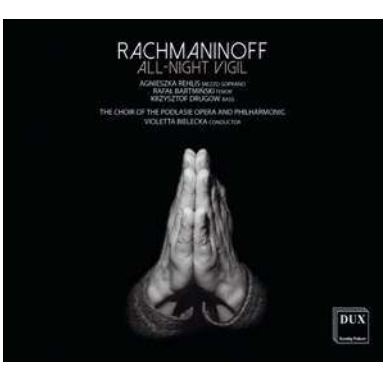

Sergiusz Rachmaninow
„Całonocne czuwanie"
Chór Opery i Filharmonii Podlaskiej,
Violetta Bielecka – dyrygent;
soliści: Agnieszka Rehlis, Rafał Bartmiński,
Krzysztof Drugow; wyd. DUX

Duchowy i estetyczny klimat dzieła Rachmaninowa znalazł w Białymstoku idealne odzwierciedlenie. Wszak Podlasie jest osłuchane z brzmieniami cerkiewnymi. Zespół popisowo sprostał wymogowi nadzwyczajnej dyscypliny wykonawczej (polichóralność, kontrastowe zestawienia głosów żeńskich z męskimi, szczególna rola basów). Także soliści: Agnieszka Rehlis (mezzosopran), Rafał Bartmiński (tenor) i Krzysztof Drugow (bas) doskonale wtopili się w realizację wspólnego zadania. A doszła jeszcze dopracowana akustyka nagrań. Ich słuchanie jest prawdziwym przeżyciem.

Adam Ciesielski

eprasa.pl db0df14551

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Futbol – potęga fabuły

Na koniec emocje sięgnęły zenitu. Pytaliśmy się nawzajem, kto w Polsce będzie dopingował w finale Francję przeciw Chorwacji. A przecież odpowiedź była prosta. W barze na Brackiej, gdzie na wielkim ekranie oglądałem finałowy mecz z przyjaciółmi, już podczas grania hymnów zerwał się korpulentny osobnik spowity francuską flagą i wraz ze swoją drużyną odśpiewał Marsyliankę. Potem było zgodnie z regułami. Ten jeden stolik klaszcze i wrzeszczy, reszta siedzi w ponurym milczeniu. My wrzeszczymy i klaszczemy, oni trwają w bezruchu.

Uaktywniam się jako kibic raz na dwa lata – w przededniu mistrzostw Europy i świata. Poza wczesną młodością nie byłem amatorem ligowych meczów, a porażki polskiej piłki dodatkowo mnie alienowały. Jest zasługą trenera Nawałki, że połowicznie wróciłem (no już za Smudy, kiedy u nas przetaczało się Euro 2012). Ważni są też w tym procesie znajomi. Wojciech Solarz i Robert Jarociński, piłkarscy erudyci, nawet z prostego wykazu meczów i mistrzów umieją zrobić pasjonujący spektakl. Młodsi ode mnie, pamiętają wyniki mundialów od roku 1930. No i jest mecenas Dariusz Pluta. Ten najlepszy adwokat w Warszawie to partner od pełnych znawstwa esemesów. Podczas jednego meczu możemy ich wymienić z 50, o ile nie oglądamy razem.

À propos spektaklu. Sypią się w internecie żale, że polska piłka w rynsztoku, ale za to jest lekkoatletyka, właśnie dostaliśmy medal za sztafetę i za coś jeszcze. Doceniam męstwo biegaczy i innych sportowców. Co jednak poradzić, że brak im jednego: fabuły. Aktorzy Solarz i Jarociński to rozumieją najlepiej. Futbol wymyślono jako perfekcyjną konstrukcję, wszystko jest tam mniej powtarzalne niż w jakimkolwiek innym sporcie. I jeszcze przy fabularnych komplikacjach można podebatować nad najnowszą zmianą przepisów, mamy ich wysyp. Właściwie może nam to zastąpić politykę, a i kawałek kina obyczajowego. Bo to jeden zawodnik jest urodzonym celebrytą, drugi rogatą duszą, trzeci skromny, czwarty...

Napisałem na Facebooku, że ściska mnie w gardle, kiedy drużyny śpiewają hymny narodowe. Wiem, że to trochę fikcja. Niektóre reprezentację są zlepkiem ras i kultur. I nie mam pewności, czy te emocje, także kibiców, to coś więcej niż konfekcja. Kiedy ryczały drużyna i widownia Szwecji, przypomniałem sobie, jak szwedzki minister bagatelizował pojęcie narodu szwedzkiego, zwłaszcza w zderzeniu z imigrantami. A jednak zawsze mi te hymny przypominają, że pomiędzy wyalienowaną jednostką i całą ludzkością jest coś jeszcze.

Jedni uważają, że to wydmuszka uczuć pozwalająca się łudzić. Ale inni zabawnie się denerwują papierowym tygrysem „nacjonalizmu". Do Magdaleny Środy i spółki dołączył sławny doktor Migalski oskarżający mundial o podtrzymywanie obrzydliwych bytów o nazwie „narody". Już ta jego złość wystarczy, żeby odrobinę bawiło.

Można się też przyznawać do sentymentów i niechęci bez wielkich konsekwencji. Ja przyznałem się, kiedy Rosja grała z Chorwacją. Ale faworytów miałem częściej. Czasem z powodów czysto piłkarskich. A czasem częstowaliśmy się historyczno-politologicznymi traktacikami. Dlaczego krzyczeliśmy za Chorwacją? Bo była kawałkiem naszego nieszczęsnego regionu, z gigantycznymi wadami, ale i ze swoją dumą. Oczywiście FIFA mogła nam ułatwić sprawę, nie instalując tej bajki w imperium zła, u Putina. Do dziś mam z tym kłopot. Choć to dzięki temu mogliśmy się pobawić widokiem moknącego prezydenta Macrona, dla którego z woli rosyjskiego satrapy brakło w finale parasola.

Piotr Zaremba

Skalane ziemie

„Granica zapomnienia" to powieść najgłębiej rosyjska, która łączy bezkompromisowość świadectwa, na jakie zdobył się Warłam Szałamow, z urodą języka godną „Zgiełku czasu" Osipa Mandelsztama

Wojciech Stanisławski

Pisać o tej książce przychodzi trudno, bo kończąc lekturę, człowiek czuje się, jakby wyszedł spod czaszy wielkiego dzwonu: zarazem oniemiały i rozedrgany, z gorzkim smakiem metalu w ustach. To powieść wielka na wszystkich piętrach, we wszystkich kategoriach, w których literaccy jurorzy zwykli stawiać gwiazdki: fabuły, kompozycji, stylu, głębi, odwagi. Tyle że nie dla jurorów ona pisana: to próba wyznaczenia zasięgu „strefy skażenia", ukazania, jak głęboko Rosja skalana jest zbrodniami komunizmu.

A zarazem – o dochodzeniu do prawdy o przeszłości, które chwilami wydaje się czymś w rodzaju śledztwa prowadzonego przez psychoanalityka, skoro narratora prowadzą najbardziej niepochwytne skojarzenia: sny, smagnięcie gałązki, smak pomadki, opalizujący wazon otwierają ukryte drzwi pamięci i pozwalają zrozumieć niedokończone zdanie oraz gest podpatrzony w dzieciństwie, dostrzec, do jakiej grozy odsyłały.

Tyle że ta wędrówka skojarzeń to nie „pałac pamięci", jak w marzeniach mnemotechników epoki baroku: to na wpół zasypane podziemia pamięci; ciasny, piwniczny korytarz, na którego końcu zawsze jest pomieszczenie z żarówką na drucie i spryskanymi krwią ścianami. Takie piwnice potrafią się otworzyć w tej powieści na każdej stronie, na sielskiej, pachnącej truskawkami podmiejskiej działce i w cichym, emeryckim mieszkaniu w centrum Moskwy, wypełnionym tylko metalicznym rytmem zegara – aż po tę ostatnią, na lodowej wyspie, na syberyjskiej rzece. Rosja leży na bezimiennych cmentarzach, Rosja trupami stoi! – mógłby krzyczeć Siergiej Lebiediew, gdyby był politycznym copywriterem albo autorem poczytnych horrorów.

A że jest wielkim pisarzem – pisze zamiast tego o zgrozie, która obecna jest w sielankowych drobiazgach, w przywiezionych na daczę przez zapobiegliwego staruszka skrawkach dywaników, „kupionych z pewnością w jakimś hotelu, gdzie wykreślono je z inwentarza – bordowe, z ciemnozieloną obwódką". Domownicy nie zauważają, że razem z dywanikami do domu wkradły się „bezgłośne kroki, długie korytarze, na których nie ma gdzie przysiąść", korytarze rodem z komitetu, ministerstwa, albo „resortu, którego nazwę pomijano milczeniem": niczym łata, która stała się spodniami, puszyste dywaniki porastają dom mchem i lękiem. Te odwołania do strasznej przeszłości są wszędzie obecne, lecz w pierwszej chwili niewidoczne, jak w zabawach typu „wytęż wzrok i znajdź 21 szczegółów", a mimo to wypalające życie wokół siebie, niczym zgrabna łyżeczka do herbaty odlana z polonu: laska okuta miedzią, gwizdawka z cedru syberyjskiego, trzy zabaweczki dziecięce – koń, owczarek i kilka ludzików, w których ręce wcisnąć można karabin długości zapałki z ostrym bagnetem – wioną lodem zmarzliny.

Sam temat – Rosja doświadczona komunizmem, Rosja zesłana – sprawia, że budzi się w nas proste skojarzenie z Sołżenicynem i innymi wielkimi świadkami czasów odwilży. Tyle że sytuacja pisarska Lebiediewa jest o wiele trudniejsza: Sołżenicyn pisał z gniewem i bólem ofiary, jego proza oferowała

eprasa.pl db0df14551

katharsis, ukazywała zonę z czytelnej i łatwej moralnie do przyjęcia perspektywy ofiary. Lebiediew stworzył swoją powieść w Rosji czasów Putina, Rosji, która przeszła pierestrojkę, Andrieja Sacharowa w parlamencie, czołgowe pojedynki o tenże parlament, wolność i bezhołowie epoki Jelcyna, diament i kawior oligarchów – i wszystko to okazało się zaledwie muśnięciem ciepła, jakby dziecko bawiło się, chuchając na pudową krę i ciesząc się, że szron na jej powierzchni mięknie, a sam lód przez chwilę mętnieje. Zgroza, jaką został skuty kraj, nie ustąpiła i trzyma wszystko, straszna przeszłość Rosji – ta sprzeczność to chyba klucz do „Granicy zapomnienia" – jest zarazem ukryta i wszechobecna, niczym rdzeń niechlujnej „chruszczowki", bloku wzniesionego w górniczym mieście, do którego trafi bohater powieści: kiedy lano beton, okazało się, że brakuje kawałka żeliwnego pręta – ukradli? przepili? zatłukli nim kogoś? – więc uzbrojono ścianę tym, co było pod ręką, a co ukazuje się dziś pod trójkątem odparzonego tynku: zwiniętym kilkakroć drutem kolczastym. Tak, mistrzem Lebiediewa jest Warłam Szałamow.

Autorowi było tym trudniej, że prosta perspektywa ofiary w trzy pokolenia po Sołżenicynie nie jest już po prostu dostępna. Nie ze względu na indywidualne upadki: splotły się po prostu losy. Lebiediew nie pisze kolejnej sagi rodzinnej, sięga zamiast tego po metaforę najmocniejszą (a niełatwo taką wyróżnić w tej książce, niemal rozsadzanej przez pozostające w pamięci obrazy): metaforę zmieszania się krwi. W każdej rosyjskiej rodzinie są kaci i ofiary – i dlatego rosyjska nie-pamięć jest splotem niewinnego lęku i pełnego winy przemilczania. Nie jest to stwierdzenie odkrywcze dla politologów i publicystów – podobne wyznanie o swojej rodzinie poczynił ostatnio Władimir Jakowlew, wzięty rosyjski wydawca, soft-dysydent, a zarazem wnuk czekisty i syn wziętego dziennikarza, „sowieckiego liberała". Ale Lebiediew nie wypowiada się dla tygodników ilustrowanych. W epoce, w której co drugie powieścidełko kusi na okładce blurbem o „mrocznych tajemnicach rodziny", pisze on o rzeczach najprostszych: o cukiernicy, z której ledwie wzięto cukier, „już była gotowa taszczyć swój szklany brzuch na krótkich niklowych nóżkach do telefonu, żeby poinformować Drugiego Dziadka, że gdy odszedł, rozmawiano o nim przy stole".

W Rosji 2014 r., kiedy powstawała ta książka, już nie tylko dywaniki rodem z resortu milczenia porastają poczciwe deski: w mieście wyrosłym z łagru (a przecież takich miast są tysiące) – „pędziliśmy przez »zonę«, chociaż były to zakłady, w których pracowali ludzie bez wyroków; »zona« przeniknęła wszędzie, na wszystkim było jej pełno – trzy rzędy drutu kolczastego. Jakaś bandycka chęć przetrwania wszystkiego wgryzała się w życie jak w twarde, żylaste mięso razem ze skórą; bandycki świat zwyciężył, łagier pokonał nie-łagier; łagier nie odszedł, po prostu rozproszył się w pejzażu...".

Lebiediew pisze o tym z mocą, jakiej nie doświadczyła jeszcze literatura rosyjska po formalnym (o, jak formalnym tylko!) upadku „systemu" pod koniec lat 80. W miejsce wyświechtanego równania „komunizm = nazizm", do którego daremnie usiłujemy przekonać sytych wyborców Zachodu, pisze o przedmiotach skonfiskowanych odjeżdżającym w konwoju aresztantom – i fraza „trzaskały szkła okularów, wyginały się cienkie druciane zauszniki binokli, czarnymi, rakowymi plamami schodził amalgamat z luster" mogłaby przecież pochodzić ze spisu inwentarza magazynu w Auschwitz. Obraz lodowej wyspy, który przywołuję ponownie, ma w sobie moc (i pewne przerysowanie) najbardziej znanych płócien Beksińskiego.

A jednocześnie jest to powieść wielkiej, poetyckiej urody, pełna obrazów rozdawanych tak hojnie, że można cytować je garściami, nie obawiając się roztrwonienia najlepszych: kolce dzikiej róży przesuwają się po opuszce palca ślepca jak igła po płycie gramofonowej, „na powierzchni wody utrzymują się delikatne kręgi, niczym ślady po kroplach, które spadły w twardniejący stop szkła – to lipienie chwytają owady". To Rosja jak z obrazów Lewitana – tyle że chwilę później pył z kominów kombinatu zabarwia padający śnieg, i „czerwona woda ciekła po rękach, po twarzy; kolor zgorzeliny z niebieskawym odcieniem prochowej sadzy rozbryzgiwał się po pejzażu; [...] w szczelinach i zagłębieniach płynęły czerwone strumyki, jakby podcięto tętnice ziemi; w wylotach odwiertów wybijała różowa piana, piła spalinowa na wyrębie rozbryzgiwała purpurowe drzazgi". Podobne kontrasty czekają na czytelnika co krok: realizm jak z najgłębszej „czornuchy", perspektywa rutynowo przypadającego ofiarom komunizmu „zabójstwa na śmietniku", a właściwie, żeby było nowocześniej, w zbiorniku osadowym kopalni przeplata się z opowieścią o trzech starcach zesłańcach i ostatniej, niewydającej już owoców jabłoni, która brzmi jak smutna, lniano-złota baśń ilustrowana przez Zbigniewa Rychlickiego.

Na myśl o tym, że Siergiej Lebiediew pisze i żyje w Rosji, zdumienie i podziw mieszają się z obawą o autora: tacy poeci bywają bardzo niebezpieczni dla władzy, zwłaszcza gdy ich książki przekładane są na kilkanaście języków. W Polsce tę wielką powieść opublikowało niewielkie wydawnictwo: to bardzo ważne, żeby trafiła do wielu rąk.

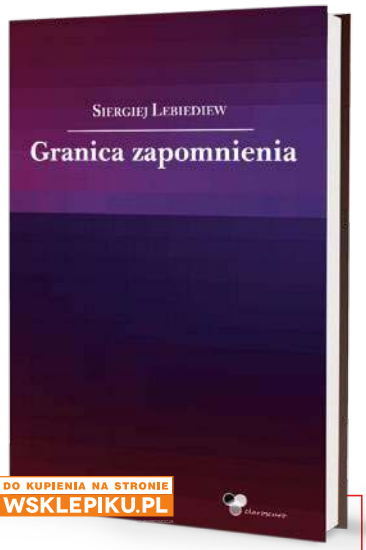

Siergiej Lebiediew, „Granica zapomnienia", tłum. Grzegorz Szymczak, wyd. Claroscuro, 2018

eprasa.pl db0df14551

Adamski poleca

Przeciąć własne wspomnienia

VOD/telewizja

Jean-Marc Vallée – wystarczy mi to nazwisko, by na pewno zasiąść przed ekranem i zatopić się w jego nową opowieść. Kanadyjski reżyser jest jednym z moich ulubionych współczesnych filmowców. „Witaj w klubie", „Dzika droga", „Dekonstrukcja" i w końcu miniserial „Wielkie kłamstewka" – niewielu współczesnych reżyserów z taką wrażliwością i przenikliwością penetruje wewnętrzne demony swoich bohaterów.

Nieważne, czy to zamożne mieszkanki kalifornijskiego raju, umierający na AIDS kowboj, szukająca odkupienia narkomanka czy nieumiejący sobie poradzić z poczuciem winy młody wdowiec. Vallée jest mistrzem sięgania po mroczną przeszłość swoich postaci. Nie inaczej jest w „Ostrych przedmiotach". Czy będzie to hit na miarę „Wielkich kłamstewek"? Możliwe, choć to zupełnie inna produkcja. Bliżej jej do pierwszego „True Detective" (prowincjonalne miasteczko na południu USA i wielka tajemnica) niż poprzedniego miniserialu Kanadyjczyka. Czyni to ją jeszcze bardziej intrygującą.

Pierwszy epizod zawiera w sobie wiele tropów prowadzących do obsesji reżysera. Historia dziennikarki Camile (Amy Adams), która zostaje wysłana do rodzinnego miasta, by węszyć w sprawie zabójstwa dwóch nieletnich dziewczyn, to wiwisekcja pogruchotanej kobiety. Alkoholiczka ukrywająca grzechy przeszłości, zderzająca się z zaborczą matką (Patricia Clarkson) i poznająca przyrodnią siostrę (Eliza Scanlen) przypomina ulubione bohaterki Vallée. Konflikt córki z matką, walka z demonami przeszłości, poczucie winy i klaustrofobia małego miasteczka – szczególnie w „Dzikiej drodze" ten wątek został przejmująco wyeksploatowany.

Pilot „Ostrych przedmiotów" obiecuje serial więcej niż bardzo dobry. To klimatyczna, tajemnicza opowieść ze znakomitą rolą Amy Adams. Autorka „Ostrych przedmiotów" Gillian Flynn napisała „Zaginioną dziewczynę", co pokazuje, z jakim kryminałem możemy mieć do czynienia. Cięcia nożem są tutaj powolne, ale dogłębne. Robią blizny nie tylko na skórze (zwróćcie uwagę na ostatnie ujęcie pilota), lecz głównie w duszy. Adams je wszystkie przejmująco obnaża.

Poczekam z ostateczną oceną do ostatniego epizodu. To jeden z seriali, który trzeba smakować, długo przeżuwać i czekać do finału. Po otwarciu daję mu najwyższą notę.

„OSTRE PRZEDMIOTY" EMITOWANE NA HBO I HBO GO

Książka

Pustelniczka

Ostrożne. Mała wieś w województwie podlaskim. Do tej pory miejsce mi zupełnie nieznane. Gdzieś niedaleko Zambrowa mieszka siostra Czesława Polak. Prowadzi życie pustelnicze. To jedyna prowadząca takie życie siostra zakonna na świecie. Dostała na nie pozwolenie od św. Jana Pawła II. Zdecydowała się udzielić wywiadu. Nie wiem, jak Grzegorz Kasjaniuk ją do tego namówił. Może dlatego, że napisał wcześniej świetną książkę o objawieniach w Gietrzwałdzie? W poniedziałek rano 30 lipca 1984 r. Czesława Polak (jeszcze jako osoba świecka) zobaczyła na swojej drodze tajemniczą postać. Później rozpoznała w niej Jezusa Chrystusa. 6 grudnia 1992 r. objawiła się jej Matka Boża. Od tego momentu Niepokalana stale towarzyszy siostrze zakonnej w wizjach. Polana, na której stoi kaplica pw. Matki Bożej Anielskiej, jest już miejscem kultu. Wielu wiernych doznaje tam podobno łask uzdrowienia. Kasjaniuk sam jest osobą nawróconą w dorosłym życiu, więc z odpowiednią wrażliwością i mądrością podejmuje tak trudną duchową tematykę. Nie jest to książka, która nawróci niewiernego, ale na pewno wzmocni wiarę katolików. Czyż nie tego potrzebujemy w dzisiejszych czasach?

„SERCE W SERCE. OBJAWIENIE PANA JEZUSA I MATKI BOŻEJ W OSTROŻNEM"
GRZEGORZ KASJANIUK, WYD. FRONDA

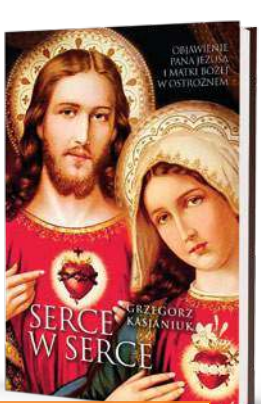

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL
AUTOPROMOCJA

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl db0df14551

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

Adamski odradza

Letni ten ocean

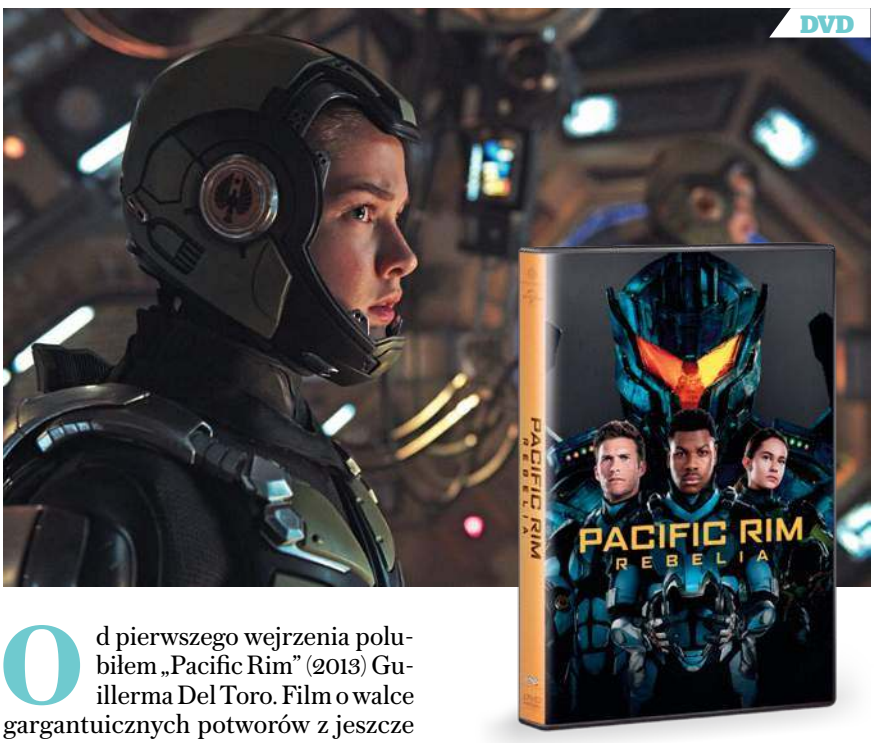

Od pierwszego wejrzenia polubiłem „Pacific Rim" (2013) Guillerma Del Toro. Film o walce gargantuicznych potworów z jeszcze bardziej gargantuicznymi robotami to zupełnie bezpretensjonalna rozrywka dla dużych chłopców. Perfekcyjny popcornowy film na lato, dający stuprocentową radochę. Tegoroczny zdobywca Oscara za „Kształt wody" nie byłby sobą, gdyby opowieści nie naznaczył ideologią i jakąś formą rozważań o kondycji świata atakowanego przez obcych. Nie czyniło to z filmu głębokiej przypowieści SF, ale na pewno stawiało ją wyżej niż przeciętne blockbusterowe produkcje.

Długo musieliśmy czekać na drugą część. Niestety oczekiwanie nie przerodziło się w jakość. Del Toro został zastąpiony przez fachurę z telewizji Stevena S. DeKnighta, co spowodowało, że urok meksykańskiego reżysera „jedynki" utonął już w pierwszej scenie. Żonglerka gatunkowymi schematami i zabawa formą zostały zalane tsunami przeciętności i schematyczności. Fabuła „Pacific Rim. Rebelia" jest pretekstem do przeładowanej efektami specjalnymi rozwalanki. To prawda, że pierwsza część była też czystą rozrywką. Jednak Del Toro zadbał o odpowiednie rozwinięcie postaci i spójny scenariusz. Kontynuacja jest nieciekawa. Postacie są „przezroczyste", a fabuła nonsensowna. Dziury logiczne są większe niż Trójkąt Bermudzki, a bitwy potworów z robotami nużą jak zbyt długie i plastikowe wczasy all inclusive.

Del Toro potrafił nadać walkom gigantów sznyt. Ba, była tam jakaś przedziwna majestatyczność. Zatopiona w kiczu. Był to jednak kicz uroczy. Pożądany przez widza zmęczonego powagą przypowieści o apokalipsie. DeKnight nie potrafi tego czegoś wyłuskać. Może dlatego, że nie ma doświadczenia w wysokobudżetowym i epickim kinie? Praca na planie, skądinąd dobrego, serialu „Daredevil" nie czyni z filmowca artysty. A trzeba nim być, by zaciekawić widza tak absurdalną historią jak „Pacific Rim". Film Del Toro był pomysłowy i efektowny. Sequel jest wtórny i efekciarski. Wszystko wskazuje na to, że powstanie trzecia część widowiska. Oby wynajęto do niej wizjonera, a nie rzemieślnika. Inaczej ja do tego oceanu już nie wejdę. Za dużo w nim letniej wody.

„PACIFIC RIM. REBELIA", REŻ. STEVEN S. DEKNIGHT, DYSTR. FILMOSTRADA

Wtórne!

Kino

Dziedzictwo. Hereditary", „Coś za mną chodzi", „Babadook", nowa wersja „To" – horror zdecydowanie się dziś odradza. Nie zmienia to tego, że w kinach pojawia się cała masa wtórnego i głupawego kina grozy, które nie powoduje nawet dreszczyku obcowania z „kinem tak złym, że aż dobrym". Taki jest „The Hollow Child". Tajemniczy las, zaginiona dziewczynka i jej siostra z trudnym dzieciństwem. Powrót zaginionego dziecka sprowadza na dom mrok i zło. Problemem tego filmu nie jest nawet wtórność głównej intrygi, ale

sposób jej pokazania. Twórcy nawet nie ukrywają inspiracji całym dziedzictwem horrorów. Niestety to najgorszy rodzaj inspiracji. Nie cytują ani nie bawią się konwencją. Nie są błyskotliwi jak twórcy „American Horror Story". Oni naśladują i grają znaczonymi kartami. Muzyka bębni, gdy upiór się pojawia. Przemianę anielskiego dziecka w demona zapowiadają ograne do granic możliwości chwyty. Strata czasu. Wyłącznie dla fanatyków gatunku.

„THE HOLLOW CHILD", REŻ. JEREMY LUTTER, DYSTR. WISTECH MEDIA

Skala ocen: dno · koszmar · rozczarowanie · można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl db0df14551

GRZEGORZ MAJCHRZAK

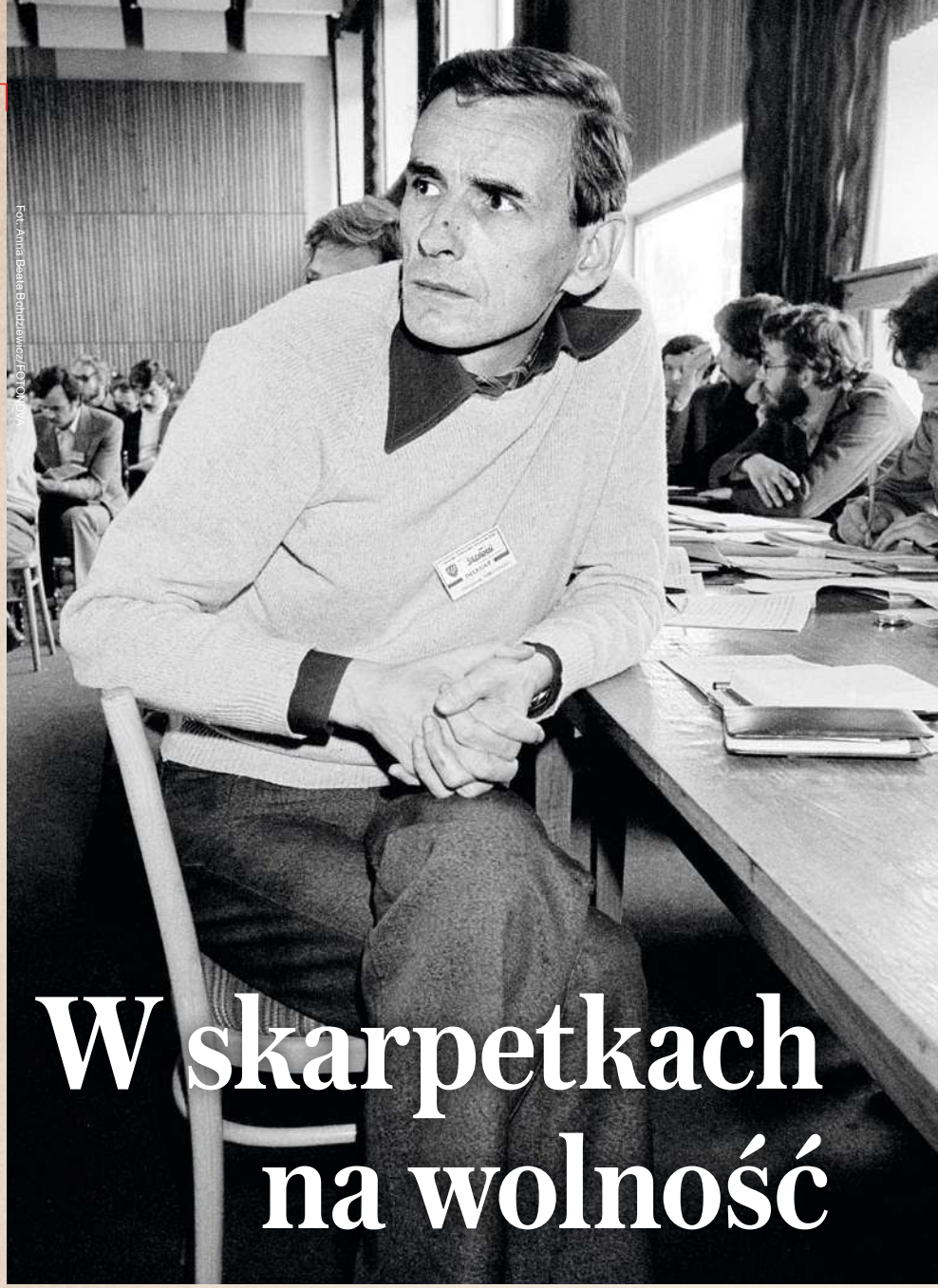

Fot. Anna Beata Borowiczowa/FOTONOWA

W skarpetkach na wolność

Tym, co rozpalało wyobraźnię Polaków po wprowadzeniu stanu wojennego, były ucieczki znanych działaczy „Solidarności" z rąk funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa. Do najgłośniejszych należała z pewnością rejterada Zbigniewa Romaszewskiego 5 lipca 1982 r., kiedy twórca Radia Solidarność wiał jedynie w skarpetkach

Romaszewski, podobnie jak inny czołowy działacz mazowieckiej „Solidarności" Zbigniew Bujak, uniknął internowania po posiedzeniu Komisji Krajowej w Gdańsku, które odbywało się 11–12 grudnia 1981 r. – brał w nim udział jako członek KK. Co prawda wahał się do ostatniej chwili, czy nie zostać oraz przenocować w Trójmieście, gdyż był bardzo zmęczony i nastała już noc (krajówka skończyła się przed godz. 1.00 13 grudnia), ale – na swoje szczęście – postanowił jednak wrócić do stolicy. O wprowadzeniu stanu wojennego dowiedział się od doradców związku, których spotkał w pociągu. W tej sytuacji postanowił się ukryć i rozpocząć działalność podziemną. Był, wraz z żoną Zofią, organizatorem warszawskiego Radia Solidarność, które pierwszą audycję wyemitowało 12 kwietnia 1982 r. Należał też do najbardziej poszukiwanych osób w Polsce.

W ręce SB wpadł, najprawdopodobniej przypadkowo, siedem miesięcy później. Wszystko zaczęło się od aresztowania 6 czerwca 1982 r. Jacka Bąka i Dariusza Rutkowskiego, emitujących audycję radia. Niestety „pękli" oni w śledztwie – złożone przez nich zeznania przyniosły cenne informacje dotyczące m.in. miejsc emisji czy lokalizacji punktów szkoleniowych. Funkcjonariusze SB zwrócili szczególną uwagę na jeden spośród wskazanych adresów. Było to bowiem mieszkanie, z którego w maju 1982 r. korzystał kierownik grupy emitującej audycje, ukrywający się pod pseudonimem Teofil, czyli Janusz Klekowski, którego nazwiska esbecy wówczas jeszcze nie ustalili. 5 lipca dokonano w tym mieszkaniu przeszukania.

Na pierwszy rzut wydawało się, że zakończyło się ono niepowodzeniem – nie znaleziono żadnych materiałów wskazujących na prowadzenie nielegalnej działalności. Esbecy zastali w nim jednak brata właściciela – Zbigniewa Kobylińskiego, który opiekował się mieszkaniem pod nieobecność przebywającego w Austrii Jerzego. Był na miejscu, ponieważ tego dnia w budynku

eprasa.pl db0df14551

wymieniano instalację centralnego ogrzewania. Oprócz niego – mimo później pory, już po 22.00 – zatrzymali również dwie kobiety, które przyszły do mieszkania – Beatę Śniecińską i jej matkę. Ta pierwsza była w nim zameldowana. Funkcjonariusze postanowili jednocześnie przeszukać zarówno mieszkanie matki Beaty Śmiecińskiej, jak i Zbigniewa Kobylińskiego.

NIEDOPITY KONIAK

Pech chciał, że wbrew zasadom konspiracyjnego BHP (określającego zasady bezpiecznego prowadzenia działalności konspiracyjnej) w tym ostatnim (przy alei Stanów Zjednoczonych) znajdowali się nie tylko kierujący podziemnym radiem w stolicy Zbigniew Romaszewski i jego małżonka Zofia, lecz również (w wyniku nieszczęśliwego dla niej zbiegu okoliczności) ukrywająca się podobnie jak oni Joanna Szczęsna. Romaszewscy, którzy akurat tego dnia świętowali rocznicę ślubu, zaprosili ją na lampkę koniaku. Barwnie po latach opisywał to spotkanie dziennikarz Włodzimierz Kalicki: „Na stole bukiet pięknych róż, obok butelka koniaku i rozstawione kieliszki. Romaszewski [...] zaprasza na lampkę koniaku. Przy koniaku najpierw omawiają sprawy służbowe [...]. Potem rozmowa robi się towarzyska".

Kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, Zbigniew Romaszewski był pewien, że to Anna Owczarska wraz z obywatelem Belgii Rogerem Noelem i nadajnikiem dla Radia Solidarność. Przekazanie sprzętu miało się odbyć w innym mieszkaniu kontaktowym, jednak pechowo (zostało ono wyjątkowo zamknięte przez babcię właściciela podlewającą kwiatki na zazwyczaj nieużywany klucz, którym działacze podziemia nie dysponowali) nie udało się go otworzyć. W tej sytuacji Romaszewski umówił się z nimi u Kobylińskiego.

Okazało się jednak, że do mieszkania przyszli nieproszeni goście – starszy inspektor Wydziału Śledczego Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej Tadeusz Celewski oraz drugi funkcjonariusz (milicjant po cywilnemu) – Jerzy Jurek. Jak to opisywał po latach Zbigniew Romaszewski: „Słyszę głosy przed drzwiami. Mówią po polsku, co mnie dziwi, bo przecież czekamy na Belga, który języka nie zna. Ale rozpoznaję Kobylińskiego. Otwieram. Kobyliński usiłuje drzwi zamknąć z zewnątrz, ale mu się to nie udaje. Wchodzi więc z dwoma ubekami. Tylko dwoma, bo potraktowali rewizję w miejscu zameldowania jako formalność, a w dodatku właśnie był mecz Polska–Włochy. Widzę, że nie poznali ani mnie, ani Zosi".

Funkcjonariusze po wejściu do mieszkania, wyraźnie uspokojeni widokiem spotkania towarzyskiego, grzecznie zażądali okazania przez osoby przebywające w nim dowodów osobistych. Zbigniew Romaszewski zareagował spokojnie – skierował się w kierunku wieszaka znajdującego się w przedpokoju, rzekomo w celu wyjęcia z ubrania dokumentów, jednak minął go i niespodziewanie wybiegł na klatkę schodową. Wcześniej od gospodarza mieszkania dowiedział się, że jest na niej pusto, że nie ma tam kolejnych funkcjonariuszy. Uciekającego szefa Radia Solidarność próbował ścigać Celewski, jednak po raz kolejny przytomnością i odwagą wykazał się Zbigniew Kobyliński, który zagrodził mu drogę, co pogoń na dobrą chwilę powstrzymało. Dzięki temu Romaszewski uciekający tylko w skarpetkach, gdyż kapcie zostawił na schodach, zyskał znaczną przewagę. I mimo okrzyków esbeka: „Stój, bo strzelam", zniknął mu z oczy między żywopłotami. Jak wspominał po latach: „Tracę oddech. Już myślę, czy się nie poddać. Ale skręcam za jakiś garaż i widzę samochód. Kładę się za nim. Ubek nie zauważa, biegnie dalej. Ja chwilę odczekuję i biegnę w drugą stronę".

Mniej szczęścia miała również próbująca uciekać Szczęsna. Została złapana jeszcze na klatce schodowej i aresztowana wraz z Klekowskim oraz Romaszewską próbującymi gorączkowo – korzystając z powstałego zamieszania – usunąć dowody działalności podziemnej. Początkowo zresztą funkcjonariusze nie do końca wiedzieli, kto wpadł w ich ręce, gdyż Joanna Szczęsna posługiwała się dowodem osobistym na nazwisko Monika Niedźwiecka-Grundland – jej prawdziwe personalia ustalono dopiero na Komendzie Stołecznej MO.

Jakby tego było mało, po kilku – według Tadeusza Celewskiego dosłownie trzech – minutach do mieszkania przyszli kobieta z mężczyzną dźwigający ciężką torbę, czyli Owczarska wraz z Noelem. W efekcie połów, mimo ucieczki Zbigniewa Romaszewskiego, okazał się dosyć obfity. Nie tylko bowiem zatrzymano kilkoro działaczy podziemnej „Solidarności", w tym współorganizatorkę podziemnego radia, lecz również zagraniczny sprzęt dla niego (wraz ze schematami). A ponadto zyskano pretekst do zdezawuowania działalności podziemia. Peerelowska propaganda wykorzystała zatrzymanie belgijskiego anarchisty wraz z nadajnikiem do atakowania opozycji za rzekomą zagraniczną inspirację, notabene używając w tym celu bez skrępowania materiałów SB.

STARANOWANY SAMOCHÓD

Zbigniew Romaszewski nie cieszył się nazbyt długo wolnością. Niespełna dwa miesiące później (29 sierpnia 1982 r.) Służbie Bezpieczeństwa udało się go ponownie namierzyć i tym razem skutecznie zatrzymać. W tym przypadku jego wpadka nie była już dziełem nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, lecz efektem działalności głośnego (oczywiście później) tajnego współpracownika SB Sławomira Miastowskiego w Międzyzakładowym Robotniczym Komitecie „Solidarności".

Zbigniew Romaszewski wziął udział w spotkaniu MRK „S", na którym obecny był również Miastowski. Ten ostatni zawiadomił o tym fakcie, opuszczając na chwilę (pod pretekstem kupna papierosów) naradę podziemia, swych przełożonych z bezpieki. Jej funkcjonariusze staranowali samochód, którym szef warszawskiego Radia Solidarność był odwożony ze spotkania. Romaszewski, podobnie jak kierowca (Andrzej Machalski), rzucił się do ucieczki. Tym razem szczęście go jednak opuściło – potknął się i został zatrzymany. W styczniu 1983 r. stanął przed sądem i został skazany na karę 4,5 roku więzienia. Opuścił je (na mocy amnestii) w lipcu 1984 r. i ponownie włączył się najpierw w działalność podziemną, a później jawną „Solidarności".

eprasa.pl db0df14551

Fot. Gints Ivuskans/Shutterstock.com

Burzliwa eskapada Trumpa

Charakterystycznym znakiem polityki Trumpa stały się brutalna szczerość oraz swoista taktyka negocjacyjna, polegająca na wkładaniu kija w mrowisko i rozpętywaniu politycznej draki, jeszcze przed fizycznym pojawieniem się na dyplomatycznych spotkaniach

JAN ROKITA

W Brukseli prezydent Donald Trump podgrzał spór z Niemcami o rurę bałtycką, handel i fundusze na obronę, w tej ostatniej kwestii z sukcesem przypierając europejskich sojuszników do muru. W Londynie dał wsparcie zwolennikom twardego Brexitu, którzy właśnie protestacyjnie dymisjonują się z tamtejszego rządu, po czym szybko odleciał do Szkocji, aby przyjemnie spędzić weekend na własnych polach golfowych („Nie lubią mnie tu, to po co mam zostawać?" – wyjaśnił tabloidowi „The Sun"). W Helsinkach zaś nie ustąpił Putinowi ani o krok w sprawach globalnej strategii, ale za to narobił sobie nowych kłopotów wewnętrznych w Ameryce, atakując w obecności rosyjskiego przywódcy Hillary Clinton,

eprasa.pl db0df14551

a pośrednio – amerykańską ławę przysięgłych. Tak z grubsza można podsumować bilans trwającej niemal tydzień letniej eskapady Trumpa do Europy.

Nie ma więc wątpliwości, iż niezliczone przepowiednie głoszące, że tym razem podróż Trumpa przyniesie jakieś katastrofalne skutki dla Polski, Europy i świata, raz jeszcze okazują się niczym więcej jak przejawami panującej w mediach antytrumpowej gorączki. Ale też widać jak na dłoni, że w każdej z trzech stolic, które Trump odwiedził, dał wystarczająco mocne powody, aby nie tylko podsycić tę gorączkę, lecz jeszcze wprawić w irytację licznych europejskich i amerykańskich polityków.

PŁACENIE RACHUNKÓW

Pierwszymi poirytowanymi byli Niemcy, których politykę Trump zaatakował z grubej rury jeszcze przed rozpoczęciem narady NATO. Z góry oznajmił, iż uważa Niemcy za „zakładnika Rosji" oraz „kraj zależny", a to z powodu rury bałtyckiej, której skutkiem będzie uzależnienie Berlina od rosyjskiej energii. I jako kompromitujący dla Niemiec dowód owej zależności podał przykład byłego kanclerza Schrödera, który za pieniądze wysługuje się Moskwie. Co więcej (i to chyba w Berlinie wzbudziło największą irytację), Trump zręcznie powiązał budowę rury z małym niemieckim wkładem finansowym do NATO oraz amerykańsko-niemieckim handlem. „Niech mi pan wytłumaczy – zwracał się retorycznie do sekretarza generalnego sojuszu Jensa Stoltenberga – jak to jest, że Niemcy płacą miliardy dolarów Rosji, przed którą my mamy ich bronić?". W jednym z późniejszych wywiadów uzupełniał swe pretensje o to, że cała Unia nie tylko „nie chce płacić rachunków" za swoją obronę, lecz na dodatek przepisami utrudnia dostęp amerykańskich firm do swojego rynku. To właśnie tę argumentację niemiecka minister obrony Ursula von der Leyen uznała za objaw „niedojrzałości" Trumpa. „Jedno nie ma przecież nic wspólnego z drugim" – przekonywała Leyen (w wywiadzie dla Bloomberga), odmawiając tym samym spojrzenia na sprawę z perspektywy Trumpa, dla którego zarówno finansowy wkład Europejczyków do NATO, jak i łatwy dostęp amerykańskich produktów do unijnego rynku, to nic innego jak pozycje w rachunku za koszty amerykańskiej obrony Europy przed Rosją. Trudno nie spostrzec, że patrząc z Waszyngtonu, powiązanie takie musi się wydawać najzupełniej logiczne.

Nachalność Trumpa oraz jego skłonność do prawienia impertynencji Europejczykom przyniosła mu w Brukseli częściowy sukces. W niedzielnym programie TV CBS „Face the Nation" Trump wpisał nawet Unię (obok Rosji i Chin) na listę „globalnych wielkich nieprzyjaciół USA", którzy „nie chcą płacić rachunków". Sam prezydent publicznie uzasadniał prowokacyjny styl stawianych żądań tym, że jego poprzednicy w kwestii finansowania wspólnej obrony „robili to samo, tylko milej i dlatego bez rezultatu". Wobec faktu, że Trump uporczywie powracał do kwestii „płacenia rachunków" niezależnie od tego, jaki akurat problem figurował w porządku dziennym szczytu NATO, Jens Stoltenberg zdecydował się w czwartek rano zorganizować dodatkową sesję poświęconą wyłącznie tej sprawie. Podobno (wedle przecieków prasowych) miała ona chaotyczny przebieg, a Trump wyliczał grzechy poszczególnych sojuszników. Fakt faktem jednak, że po tej sesji Emmanuel Macron określił ją mianem „godziny prawdy", która zmusiła przywódców do „trzymania się swoich zobowiązań".

> Przepowiednie głoszące, że podróż Trumpa przyniesie katastrofalne skutki dla Europy i świata, raz jeszcze okazują się niczym więcej jak przejawami panującej w mediach antytrumpowej gorączki

Minimalny 2-procentowy poziom wydatków na zbrojenia to w końcu zobowiązanie podjęte przez wszystkich członków Sojuszu cztery lata temu podczas szczytu w Newport, z którego na razie wywiązują się (jak pokazał właśnie opublikowany raport NATO) tylko czterej europejscy sojusznicy: Londyn, Ateny oraz mające symboliczne znaczenie Ryga i Tallinn. Polska właśnie w tym roku wypadła z tej „wzorowej" grupy.

Godzina prawdy urządzona przez Trumpa sprawiła, że nie tylko Macron (który w kwestiach wojskowych chce dawać dobry przykład), lecz nawet Merkel uznała za stosowne przyznać, iż „Niemcy czują się zobowiązane, by dążyć do 2 proc.". Nadal sporne pozostaje tempo owego dążenia Niemiec, gdyż Trump domaga się, aby jako najbogatszy kraj Unii „zrobili to jutro". W zasadzie tylko włoski premier Giuseppe Conte otwarcie zakwestionował żądania USA, zapowiadając, iż Rzym będzie się domagać dla siebie szczególnego statusu i obniżonych wpłat.

Podczas brukselskiego szczytu można było odnieść wrażenie, że prezydent w impertynencki sposób mówi po prostu to, co myśli. I że w ten sposób często wypowiada prawdy oczywiste, choć w stosunkach dyplomatycznych przemilczane. Dziennik „The Wall Street Journal" inteligentnie zauważył nawet, iż „brutalna szczerość jest niedocenionym narzędziem dyplomacji". Charakterystycznym znakiem polityki Trumpa stało się nie tylko ostentacyjne stosowanie w praktyce tej maksymy, lecz także swoista taktyka negocjacyjna, polegająca na wkładaniu kija w mrowisko i rozpętywaniu politycznej draki jeszcze przed fizycznym pojawieniem się na dyplomatycznych spotkaniach.

Wszystkie impertynencje wobec Niemiec Trump obwieścił albo (swoim zwyczajem) na Twitterze, albo podczas pierwszego kurtuazyjnego spotkania z sekretarzem generalnym Sojuszu, jeszcze przed rozpoczęciem narady NATO. Taktyka ta sprawia, że zarówno osoba Trumpa, jak i treść amerykańskich postulatów od początku dominuje nad całymi obradami. Podobnie było w Londynie, gdzie całą istotną

eprasa.pl db0df14551

polityczną treść swojej wizyty Trump wyłożył jeszcze przed spotkaniem z premier Theresą May w wywiadzie dla tabloidu „The Sun". Przestrzegł w nim mera Londynu (muzułmanina, który notabene zgodził się na unoszenie się nad miastem szyderczego wobec Trumpa wielkiego balonu), że angielska stolica „traci swoją kulturę", dopuszczając do zalewu muzułmanów. Premier May zaś dość lekceważąco wypomniał, że źle prowadzi negocjacje brexitowe, „mimo że mówiłem jej, jak to robić, ale ona mnie nie słucha". Tylko o dwojgu Anglików Trump wyrażał się z uznaniem: o królowej („Moja mama kochała królową i zawsze patrzyła w TV, jak królowa się pojawiała") oraz o przeciwniku May – zdymisjonowanym szefie dyplomacji Borysie Johnsonie („Ma wszystko to, czego potrzebuje premier"). Nietrudno się domyślić, że spora część umiarkowanej angielskiej opinii publicznej uznała to za niewłaściwy sposób potraktowania ich premiera, rządu i kraju. A zadowolone były tylko prawicowe tabloidy forsujące twardy kurs wobec Brukseli oraz eurosceptyczna frakcja torysów, która tak samo jak Trump uważa, że nie będzie dobrej dla Brytanii umowy o Brexicie, jeśli Londyn nie pokaże, iż jest gotów zerwać negocjacje i wyjść z Unii bez jakiegokolwiek układu. Trump umocnił ich argumentację, przypominając, iż korzystny dla Brytanii układ o wolnym handlu z USA będzie możliwy tylko, jeśli Londyn opuszczając Unię, wyjdzie także z europejskiego wspólnego rynku. Jest to co prawda logiczna oczywistość, ale w ustach Trumpa zabrzmiała dla Anglików jak groźba.

HELSIŃSKA KONFERENCJA

Jednak ani przypadki brukselskie, ani londyńskie nie wznieciły takiego harmideru i chryi jak ta, która powstała po poniedziałkowej konferencji prasowej Trumpa z Putinem w Helsinkach. Przed tym spotkaniem media światowe były pełne spekulacji na temat oddania Rosjanom Krymu, wycofania wojsk amerykańskich z Syrii czy też jakiejś mitycznej „nowej Jałty", jaka miałaby podzielić teraz świat między Amerykę i Rosję. Oczywista polityczna nonsensowność tego rodzaju spekulacji nie

przeszkadzała publikować ich nawet najpoważniejszym gazetom, których redaktorzy najwyraźniej wychodzą z założenia, iż wszystko, co tylko może wzbudzić strach przed Trumpem, jest warte publikacji.

O samym przebiegu dwugodzinnej rozmowy obu polityków wiadomo mało; na konferencji prasowej Trump ujawnił tylko wyraźnie, że przekonywał Putina do przyczynienia się do większego bezpieczeństwa Izraela. Te wezwania nabrały szczególnej aktualności wobec równoległych ze spotkaniem helsińskim doniesień o wkroczeniu reżimowych wojsk Baszara al-Asada, sprzymierzonych z Persami i Rosjanami, na Wzgórza Golan, z których jak na dłoni widać całą Galileę, a ostrzeliwać można niemal połowę terytorium izraelskiego. Z tego jednak, co mówił sekretarz stanu Michael Pompeo („W sprawie Syrii piłka jest po stronie Rosji"), można wnosić, że swoim zwyczajem Trump postanowił tu użyć nagiej presji wobec Putina, nie proponując mu w zamian żadnych politycznych awantaży. Na konferencji prasowej obaj przywódcy jasno dali do zrozumienia, że choć debatowano o Ukrainie, to punktów wspólnych między Moskwą a Waszyngtonem na tym polu brak. Rytualne wezwania Putina, aby Ameryka „lepiej mobilizowała rząd w Kijowie do przestrzegania porozumień mińskich", jasno pokazywały, że wszystko pozostaje tu po staremu. Putin nie zamierza się wycofać z awantury w Donbasie, a Trump będzie dostarczać Kijowowi tzw. śmiercionośną broń do walki z Rosjanami.

Globalna geopolityka zeszła jednak w Helsinkach zupełnie w cień w obliczu słów Trumpa na temat toczącego się w USA śledztwa co do rosyjskiej ingerencji w ostatnie amerykańskie wybory prezydenckie. Trump został tu inteligentnie sprowokowany przez nieprzyjaznego mu dziennikarza agencji AP, który kazał mu (w obecności stojącego obok Putina) jasno się określić, komu wierzy w tej materii: amerykańskim służbom specjalnym czy przywódcy Rosji? Nie chcąc zepsuć sobie spektaklu z Putinem przez otwarte zarzucenie mu kłamstwa, Trump zaczął się wikłać, iż w gruncie rzeczy wierzy obu stronom (choć to logicznie niemożliwe), po czym wykonał w swoim stylu serię wiecowych ataków na Hillary Clinton, specjalnego prokuratora Muellera prowadzącego tę sprawę oraz ławę przysięgłych, która właśnie oskarżyła 12 oficerów rosyjskiego GRU. W sumie to nic nowego, bo w przeszłości Trump wypowiadał się wielokrotnie jeszcze mocniej na temat tego śledztwa, którego ostrze uderza przecież w niego samego i ma na celu podważenie wiarogodności jego wyboru na głowę państwa. Tyle tylko, że tym razem obok stał ironicznie uśmiechnięty Władimir Putin, któremu obrona jego prawdomówności przez Trumpa sprawiała wyraźną satysfakcję.

Zaraz po helsińskiej konferencji w Ameryce podniosła się awantura na 24 fajerki, a kolejni politycy (nie tylko demokraci, lecz i czołowi republikanie) zaczęli się prześcigać w ostrości potępień Trumpa, zarzucając mu upokorzenie Ameryki, a nawet zdradę kraju, i domagając się w imię amerykańskiego patriotyzmu dymisji od wszystkich kluczowych współpracowników prezydenta. „The Wall Street Journal" napisał iż: „Konferencja była narodową i osobistą katastrofą", i to zdanie dobrze oddaje skalę antytrumpowych namiętności, jakie podniosły się w Ameryce.

Paradoksem pozostaje to, że choć po Brukseli, Londynie i Helsinkach nie ma krzty wątpliwości, iż Ameryka rządzona przez Trumpa pozostaje jedyną ostoją dla narodów obawiających się wpływów Kremla, to właśnie przez źle rozegrane spotkanie z Putinem Trump narobił sobie wyjątkowo dużo nowych kłopotów.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl db0df14551

Fot. AFP PHOTO/Brendan Smialowski

W Helsinkach Trump objawił wobec Putina słabość, jakiej dotąd z jego strony nie widzieliśmy wobec nikogo. Z tych czy innych powodów, w relacjach z Rosją traci on swoją zwykłą pewność siebie

„Wielki szachista" wygrał partię

PIOTR SKWIECIŃSKI

Helsiński szczyt ma szanse przejść do historii – uważa najbardziej ceniony rosyjski komentator międzynarodowy Fiodor Łukianow. Ale wcale nie dlatego, żeby ustalono tam coś wstrząsającego. Ani też nie dlatego, żeby w ogóle ustalono tam cokolwiek. Wręcz przeciwnie.

Spotkanie Donalda Trumpa z Władimirem Putinem było wydarzeniem tak dziwacznym i odbiegającym od normy, a przy tym enigmatycznym, że można interpretować je w różny sposób. Przy czym te interpretacje nie w każdym wymiarze są z sobą sprzeczne.

NIC SIĘ NIE STAŁO?

Wielu bardzo szczerze tak uważa. Na korzyść ich tezy świadczą liczne fakty.

Już choćby ten, że nie tylko w czasie szczytu niczego nie podpisano, lecz też w zasadzie nie zadeklarowano niczego niespodziewanego. Trump nie zrobił kroku w stronę uznania aneksji Krymu ani zniesienia nałożonych na Rosję sankcji. Nie mówił o powrocie Moskwy do grupy G8. Putin nie zadeklarował jakiegoś zwrotu w rosyjskim myśleniu o Iranie. Trump formalnie nie wycofał też sprzeciwu USA wobec budowy gazociągu Nord Stream 2. Jeśli chodzi o Syrię, również nie ogłoszono nic wstrząsającego, choć oczywiście

eprasa.pl db0df14551

słowa obu prezydentów potwierdziły powszechne wrażenie, że w kwestii bezpieczeństwa Izraela i tego, czyje (chodzi o to, żeby niezwiązane z Iranem) siły zbrojne będą mogły być obecne w strefach w pobliżu Wzgórz Golan, toczą się zaawansowane, zakulisowe rozmowy.

I w ogóle zadeklarowano niewiele.

Sama idea szczytu też pojawiła się nagle; decyzja o jego realizacji zapadła trzy tygodnie przed faktem. Jest to sprzeczne z dotychczas praktykowanym scenariuszem i pojmowaniem szczytów amerykańsko-rosyjskich, które jeszcze od czasów głębokiej zimnej wojny musiały być szczegółowo dopracowane przez dyplomacje obu krajów. Nie znaczy to, żeby sami prezydenci (czy przedtem: prezydenci i generalni sekretarze) nie mieli nic do uzgodnienia. Zdarzało się, że nie mogli się dogadać i szczyt kończył się fiaskiem. Ale dyplomacje obu supermocarstw były świadome tego, o czym będzie mowa, i podciągały tematykę rozmów tak daleko, jak tylko mogły.

W tym wypadku nic takiego się nie zdarzyło. Sam szczyt, jak również jego tematyka, były niemalże improwizowane.

Otwiera to pole do interpretacji, w których myśl Helsinki były zaplanowane jako po prostu show. Show potrzebne dwóm wielkim efekciarzom, doskonale rozumiejącym świat współczesnego politycznego PR, dla zaprezentowania samych siebie jako samców alfa.

W obu wypadkach – na potrzeby polityki wewnętrznej. My w Polsce jesteśmy przyzwyczajeni do narzekań, że za czasów obecnego rządu polityka zagraniczna została zredukowana do funkcji służebnej wobec wygrywania konfliktu wewnątrzkrajowego i że kiedyś była w dużej mierze ponadpartyjna, a dziś nie jest. To niestety prawda, ale nie jest to polska specyfika. Ten proces – z różnym natężeniem – obejmuje też Zachód, bezdyskusyjnie z Ameryką na czele.

Skłania to cytowanego na wstępie Fiodora Łukianowa do melancholijnej konstatacji, że polityka międzynarodowa taka, jaką znamy i rozumiemy, się kończy. I w tym – i tylko w tym – sensie helsiński szczyt może jego zdaniem wejść do historii.

O CO CHODZI Z TĄ GŁUPOTĄ?

Ale coś się jednak w Helsinkach stało. Mianowicie bardzo spektakularnie została potwierdzona podzielana przez wielu intuicja, że na dnie swej duszy Trump bardzo chciałby dokonania odwrócenia przymierzy i daleko idącego zbliżenia z Rosją, tylko nie jest w stanie tego dokonać.

Przygrywką do szczytu była bardzo dziwna z punktu widzenia taktyki negocjacyjnej deklaracja gospodarza Białego Domu, iż obecny kryzys w relacjach amerykańsko-rosyjskich jest wynikiem „głupoty" USA. Potem, w czasie szczytu, Trump łagodził to, co przed szczytem zatwittował, mówiąc, że odpowiedzialne są obie strony. Ale mleko już się rozlało.

Trump nie skonkretyzował, co miał na myśli, pisząc o owej głupocie poprzedniej administracji (czy może poprzednich administracji?). Zastanówmy się, o co mogło mu chodzić.

Być może o to, co wielokrotnie podkreślał bardzo wpływowy (określony parę lat temu przez analityków CIA jako najwybitniejszy z ich punktu widzenia publicysta zajmujący się sferą służb specjalnych) polityczny pisarz David P. Goldman. Ten niegdyś lewak, a potem neokonserwatysta popiera Trumpa nie od wczoraj. I nie od wczoraj pisze mniej więcej tak:

„Niestety, w okresie administracji Busha i Obamy [w innym tekście w tym samym kontekście Goldman wymienia też Clintona] trwała iluzja, że Stany Zjednoczone przekształcą Rosję na swój obraz. Nie mam powodu, by wątpić w oskarżenia, że kilkunastu funkcjonariuszy rosyjskiego wywiadu ingerowało w amerykańskie wybory w 2016 r., ale był to co najwyżej nieprzyjemny żart w porównaniu z amerykańskim długotrwałym mieszaniem się do rosyjskiej polityki". Zauważmy, że Goldman ewidentnie nie czyni różnicy między uprawianymi przez Rosjan tajnymi i dokonywanymi „pod fałszywą flagą" próbami zaogniania konfliktów wewnątrz USA a amerykańskim wspieraniem – poprzez sieć organizacji pozarządowych – liberalnie nastawionych Rosjan.

Tymczasem „amerykańskie wysiłki, by wypromować demokratyczną, antyputinowską opozycję, żałośnie spaliły na panewce, co frustruje neokonserwatystów [ale, dodajmy, również liberałów], niemogących zrozumieć, jak to się stało, że dyktatury nadal istnieją".

Zwolennicy polityki obalania Putina upatrują swoich nadziei w tym, że Rosja jest w kryzysie, ale przecież, pisze Goldman, „Rosja jest zawsze w kryzysie. Rosja ma brutalny rząd, ale Rosja zawsze miała brutalny rząd i, według wszelkich wskaźników, jej lud mimo to wydaje się lubić ten rząd". Tymczasem „to, jaki rodzaj władzy preferują Rosjanie, nie jest sprawą Stanów Zjednoczonych".

Wcześniej, w okresie Obamy, Goldman pisał, że Victoria Nuland, ówczesna szefowa zajmującego się Eurazją biura Departamentu Stanu (znana ze słynnego „Fuck the European Union!", wykrzyczanego w kontekście potrzeby bardziej radykalnego, niż chciałaby UE, popierania ukraińskich przeciwników Janukowycza), oraz jej mąż, wpływowy neokonserwatywny (tak to w amerykańskim establishmencie zazębiają się prawica z lewicą) intelektualista Richard Kagan „autentycznie wierzyli, że kijowski Majdan zainspiruje w Rosji demokratyczny ruch, który ostatecznie obali Putina, tak jak wierzyli że arabska wiosna obwieszcza wielką falę demokracji na Bliskim Wschodzie".

Tymczasem „amerykańska polityka przyniosła dokładnie odwrotność tego, co chcieliśmy. Nie przewidzieliśmy, że większość Rosjan może nie lubić perspektywy znalezienia się Krymu w zachodnim systemie sojuszy i obruszy się na zachodnie próby wpływania na rosyjską politykę. Nie dopuszczaliśmy myśli, że Chiny i Rosja mogą załagodzić ważne różnice interesów i zjednoczyć się przeciw nam. Nie słuchaliśmy otwartych rosyjskich ostrzeżeń, że sprzymierzą się z Iranem, by wziąć odwet za naszą politykę na Ukrainie [nawiasem mówiąc, Goldman bardzo wyraźnie pogardza Ukrainą i Białorusią – P.S.]. Jesteśmy jak szachista, który myśli na jeden ruch naprzód, tymczasem Putin

eprasa.pl db0df14551

myśli na trzy lub cztery ruchy naprzód. Dlatego może zablokować nasze figury i bić nas z łatwością".

Teza, że przemyślenia Goldmana są zgodne z intuicjami Trumpa, nie wydaje się ryzykowna.

DZIWNA SŁABOŚĆ

Jest faktem, że w Helsinkach Trump z tych czy innych przyczyn objawił wobec Putina słabość, jakiej dotąd z jego strony nie widzieliśmy wobec nikogo. Cały jego język ciała pokazywał na wewnętrzne spięcie i jakiś rodzaj niezadowolenia, któremu nie dał wyrazu słowami. A z faktu, że nie przygotował sobie zręcznej odpowiedzi na oczywiste pytanie amerykańskich dziennikarzy o ogłoszone tuż przed szczytem informacje o konkretnych rosyjskich oficerach wywiadu ingerujących w kampanię wyborczą w USA (a mógł przecież powiedzieć choćby: „Nie sądzę, aby w obecności prezydenta Rosji należało mówić o naszych sprawach wewnętrznych"), można wyciągnąć, jako minimum, jeden wniosek. Taki mianowicie, że jeśli chodzi o sprawy rosyjskie, to traci swoją zwykłą pewność siebie.

Znamienne jest też niewymienienie Ukrainy na konferencji prasowej (choć Putin powiedział, że zdaniem Trumpa Krym został przyłączony do Rosji nielegalnie). A także bezprecedensowa nieobecność doradców w czasie spotkania. Czy znaczy to, że prezydent USA zdecydował się na jakiś rodzaj wyjścia Putinowi naprzeciw w kwestiach okołoukraińskich i chciał zachować ten fakt w tajemnicy, nawet wobec swojego najbliższego otoczenia? Nie wiadomo, nawet jednak jeśli nie, to jest to kolejny przejaw dziwnej wrażliwości Trumpa w kwestiach związanych z Rosją.

W podobny sposób można skomentować jego – jednak – zmianę frazeologii wokół Nord Stream 2. Dotąd sugerował wojnę z tym projektem na śmierć i życie, teraz z gróźb sankcji wobec angażujących się w ten projekt europejskich firm została jedynie zapowiedź konkurowania z nią amerykańskich dostawców gazu.

Dla Putina natomiast szczyt był bezdyskusyjnym sukcesem. Zatwierdził Rosję w roli światowego supermocarstwa. Przypomnijmy – Barack Obama, chcąc Władimira Władimirowicza upokorzyć, mówił o mocarstwie tylko regionalnym i w ogóle wyrażał się o rosyjskim prezydencie lekceważąco. Dziś Putin może się z tego śmiać. Nie wchodzę tu w dyskusję na temat tego, czy Rosja spełnia kryteria bycia światowym supermocarstwem, ale faktem jest, że – oczywiście być może tylko na krótko – obecny władca Kremla dźwignął swój kraj do pozycji, w której nawet jeśli się mu takiego statusu odmawia, to zarazem już nie postrzega się go jako papierowego tygrysa. Helsinki bezdyskusyjnie wzmocniły Rosję – nawet jeśli nic tajnego, a dla niej korzystnego nie zostało ustalone.

> Helsinki były zaplanowane jako show, potrzebne dwóm wielkim efekciarzom do zaprezentowania samych siebie jako samców alfa

JAK PO HAMBURGU?

Sztorm, jaki nastąpił w Ameryce po słynnej konferencji prasowej, na której Trump powiedział, że nie wierzy amerykańskim specsłużbom oskarżającym Rosję o ingerowanie w wybory 2016 r., był przewidywalny. Amerykański rosjoznawca Mark Galeotti proroczo napisał jeszcze przed szczytem: „Prawdziwym niebezpieczeństwem nie jest to, że w Helsinkach Donald Trump za bardzo pójdzie na rękę Władimirowi Putinowi – tylko to, co nastąpi w Waszyngtonie, jeśli spróbuje to zrobić".

Atak ze strony przeciwników prezydenta tym razem wzmocniło wielu jego sojuszników. Co może jeszcze bardziej uderzające – bardzo trudno było w jednolitym chórze krytyków odnaleźć jakiekolwiek głosy broniące Trumpa. Sprawa, chyba po raz pierwszy od objęcia władzy, zaczęła grozić przelaniem się niezadowolenia za wały, dotąd skutecznie oddzielające elektorat antytrumpowski od trumpowskiego. W efekcie prezydent musiał w bezprecedensowy – i dodajmy zupełnie nieprzekonujący – sposób podać tyły, twierdząc, że przy wygłaszaniu kluczowych zdań (o tym, że nie widzi powodu, dla którego Rosja miałaby ingerować w amerykańskie wybory) się przejęzyczył.

Uprawdopodobnia to tezy tych, którzy jeszcze przed szczytem mówili, że cokolwiek by się na szczycie stało, jak daleko Trump poszedłby w stronę Putina, to nie będzie w stanie oblec swoich zamiarów w realność. Bo zbyt daleko idące są realne sprzeczności interesów między obu państwami. Bo zbyt antyrosyjsko nastawiony jest w zasadzie cały waszyngtoński establishment („Trump jest realnie pozbawiony władzy" – szepcą moskiewscy komentatorzy).

Więc będzie tak, jak po nieformalnym spotkaniu obu prezydentów w Hamburgu, gdzie odbyli oni – jak to określono – rzeczowe rozmowy; zapowiedzieli, że będą one kontynuowane, i porozumieli się w sprawie współdziałania w Syrii. Po czym wszystko to rozeszło się w powietrzu na skutek bardzo negatywnej reakcji w Stanach. Nastąpiła wręcz eskalacja antyrosyjskich posunięć (kolejne sankcje, sprzedaż broni Ukrainie). Dziś po opisanej powyżej antytrumpowskiej, ponadpartyjnej już burzy w USA prawdopodobieństwo powtórzenia się takiego rozwoju wypadków jest jeszcze większe.

* * *

Ale zakończyć warto może cytatem z pewnego bliskiego współpracownika jednego z byłych prezydentów Polski, który w kontekście szczytu Trump–Putin i wszystkich przypuszczeń dotyczących tego, co tam się właściwie działo, powiedział: „Z racji moich ówczesnych obowiązków uczestniczyłem w wielu spotkaniach w cztery czy osiem oczu i zapewniam, że często to, co się tam naprawdę działo, nie miało nic wspólnego z tym, co później mówiliśmy o tym publicznie".

eprasa.pl db0df14551

Polityczny spór o apolityczny sąd

W Niemczech istnieje partyjny klucz przy nominacji sędziów do Trybunału Konstytucyjnego. Jak działa on w praktyce, pokazała niedawna awantura między CDU/CSU i SPD a Zielonymi

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Sędzia Pierwszego Senatu Federalnego Trybunału Konstytucyjnego w Karlsruhe Michael Eichberger już pod koniec kwietnia miał odejść na zasłużoną emeryturę, ale pozostał na stanowisku do połowy lipca. Wybuchł bowiem polityczny spór o jego następstwo. Spór wynikający ze słabnącej pozycji dwóch głównych partii ludowych – CDU/CSU i SPD – które dotychczas decydowały (jak pisze niemiecki tygodnik „Der Spiegel") „po cichu" między sobą o obsadzeniu stanowisk w niemieckim TK. Tym razem współdecydować chcieli Zieloni, którzy argumentowali m.in., że współrządzą w dziewięciu krajach związkowych, a w trzech z nich ich politycy piastują urząd ministra sprawiedliwości. Powoływali się przy tym na umowę zawartą w 2016 r. z SPD i CDU/CSU na poziomie landów przyznającą im prawo do złożenia propozycji w przypadku obsadzenia stanowiska co piątego sędziego TK, który jest wybierany w Bundesracie, czyli konstytucyjnym przedstawicielstwie krajów związkowych w niemieckim parlamencie.

Sędziowie konstytucyjni są w Niemczech wybierani w połowie przez Bundesrat i w połowie przez Bundestag większością dwóch trzecich głosów na 12-letnią kadencję.

Dżentelmeńska umowa sprzed dwóch lat oznaczała, zdaniem Zielonych, że w przypadku następcy Eichbergera będą mogli zgłosić swojego kandydata. Argumentowali przy tym, że przy obecnym układzie sił w Bundesracie są w stanie każdą nominację zablokować, bo wystarczy do tego jedna trzecia z 69 głosów, a potencjał blokujący Zielonych wynosi 37 głosów. Mimo to chadecja postanowiła – jak twierdzi niemiecki dziennik „Der Tagesspiegel" – umowę zerwać.

POWRACAJĄCE KONTROWERSJE

W CDU/CSU powstała bowiem obawa, że Pierwszy Senat będzie miał zbyt wyraźny przechył w lewo. W Pierwszym Senacie orzeka po trzech kandydatów CDU (Josef Christ, Michael Eichberger, Ferdinand Kirchhof) i SPD (Gabriele Britz, Yvonne Ott, Johannes Masing) oraz po jednym przedstawicielu FDP (Andreas Paulus) i Zielonych (Susanne Baer). W Drugim Senacie zasiada czterech sędziów nominowanych przez SPD i czterech przez CDU/CSU, co jest zgodne z tradycyjną zasadą „cztery plus cztery". Pierwszy Senat kierowany jest przez Kirchhofa, na czele Drugiego Senatu stoi zaproponowany przez SPD, choć formalnie bezpartyjny, Andreas Vosskuhle, który jest równocześnie prezesem całego TK. O jego nominację

eprasa.pl db0df14551

Fot. AFP PHOTO/POOL/Sebastian Gollnow

w 2008 r. także wybuchł spór. SPD bowiem pierwotnie zaproponowała na to stanowisko filozofa prawa Horsta Dreiera, autora książki „Państwo bez Boga". Dreier zasłynął z kontrowersyjnego komentarza do ustawy zasadniczej. Stwierdził, że są sytuacje, w których tortury są uzasadnione, i przytoczył przypadek porwania 11-letniego syna bankiera Jakoba von Metzlera w 2002 r., gdy policjanci – jak twierdził Dreier – „w swej desperacji nie widzieli innego wyjścia, niż grozić podejrzanemu torturami". W przypadkach ekstremalnych więc – jak później tłumaczył – „stosowanie tortur jest uzasadnione, mimo gwarantowanej w ustawie zasadniczej ochrony ludzkiej godności". „Musimy o takich rzeczach otwarcie rozmawiać" – przekonywał. SPD go zacięcie broniła, ale chadecy pozostawali nieugięci. Tym bardziej że Dreier także nie krył swojego liberalnego stosunku do bioetyki i uznał że „z ustawy zasadniczej nie wynika ochrona sztucznie wytwarzanych płodów", choćby w ramach procedury in vitro.

ARGUMENT POLSKI

Spór o następstwo Eichbergera ma podobne podłoże, czyli światopoglądowe. Chadecja chciała zastąpić go kolejnym konserwatystą, sekretarzem stanu w MSW Gunterem Kringsem, doktorem prawa i zdecydowanym przeciwnikiem otworzenia instytucji małżeństwa dla par jednopłciowych, sprzeciwiającym się także zmianom w przepisach dotyczących przerywania ciąży. SPD i Zieloni chcą zliberalizować paragraf 219, zakazujący lekarzom zamieszczania ogłoszeń o usługach aborcyjnych. SPD posłużyło się przy okazji argumentem „polskim". Partia przekonywała, że nominacja Kringsa, funkcjonariusza partyjnego, byłaby „niewłaściwym sygnałem" w Europie, w czasie gdy „autorytarne rządy w Polsce i na Węgrzech chwytają za gardło swój wymiar sprawiedliwości, posługując się polityką personalną".

Do sporu wtrącił się nawet prezydent Frank-Walter Steinmeier. Skrytykował toczącą się w mediach debatę o podziale stanowisk sędziów TK i innych sądów według klucza partyjnego. „To niedobry sygnał, gdyż mogłoby powstać wrażenie, że partie mają uzyskać większy wpływ na orzecznictwo [sądów]" – rzekł. Wrażenie politycznego sporu o apolityczny z pozoru sąd mimo to powstało. I to wrażenie oraz sam spór będzie się jeszcze pogłębiać. Jak pisze tygodnik „Spiegel", walka o stanowiska w niemieckim TK nie jest wprawdzie tak zacięta jak w USA, bo niemieccy sędziowie TK wybierani są na maksymalnie 12 lat (a nie dożywotnio, jak w Ameryce), a konieczność większości 2/3 głosów ostatecznie wymusza ponadpartyjny konsens, ale słabnięcie tradycyjnych partii ludowych, przede wszystkim na poziomie krajów związkowych, zwiększa presję mniejszych partii na współdecydowanie o obsadzie TK.

Alternatywa dla Niemiec rośnie w siłę i w niektórych sondażach prześcignęła SPD, osiągając 17 proc. poparcia. Mimo to jest obecnie wykluczona z procesu nominacji sędziów. Możliwe, że Zieloni będą współrządzić niebawem w 10. niemieckim landzie, gdyż jest mało prawdopodobne, że CSU po żenującym sporze z CDU o imigrantów uzyska w wyborach na jesieni w Bawarii absolutną większość. Zasada „cztery plus cztery" obowiązująca przy wyborze sędziów TK przestała więc odzwierciedlać realny układ sił politycznych. Po ostatnich wyborach chadecy i socjaldemokraci mają też zbyt mało głosów, by przeforsować swoich sędziów. Mniejsze partie o tym wiedzą i nie godzą się już na łaskawe odstępowanie im prawa do nominacji przez CDU/CSU i SPD. „Na dłuższą metę nie da się wykluczyć z TK AfD, która zdobywa w wyborach od 15 do 20 proc. głosów" – powiedziało „Spieglowi" źródło w Karlsruhe.

KOMPETENCJE CZY KONEKSJE?

Dobre kontakty w polityce pomogły zresztą niejednemu z sędziów niemieckiego TK w karierze. Jak twierdzi gazeta „taz", Josef Christ, zanim wylądował w Karlsruhe, błyskawicznie piął się po szczeblach w Federalnym Sądzie Administracyjnym, korzystając z kontaktów w CDU, które nabył, gdy pracował w 2007 r. w komisji federalizacyjnej (Föderalismuskommission II) pod wodzą obecnego komisarza UE Günthera Oettingera.

Środowisko sędziowskie w Niemczech od dawna krytykuje partyjny klucz przy nominacji sędziów do TK. Norbert Lammert (CDU), sam profesor prawa i wieloletni przewodniczący Bundestagu, już w 2012 r. dziwił się, jak „niewielką legitymację" mają sędziowie, którzy wybierani są do tego gremium. Uznał to za „dość zadziwiające", że wymagania dotyczące wyboru sędziów TK są niższe niż np. w przypadku wyboru pełnomocnika ds. ochrony danych czy pełnomocnika ds. służby wojskowej. Do Drugiego Senatu TK trafił w 2011 r. choćby Peter Aloysius Müller, polityk CDU, były premier kraju Saary, z nikłym doświadczeniem prawniczym i nieskończonym doktoratem. To jego polityczna afiliacja odegrała więc decydującą rolę przy jego nominacji, a nie jego kompetencje. Müller to drugi sędzia niemieckiego TK, który był premierem kraju związkowego. W latach 1959–1971 przewodniczącym TK był Gebhard Müller, który w czasach III Rzeszy „finansowo wspierał SS" i należał do Narodowo-socjalistycznego Związku Prawników.

Także stanowiska w pozostałych czterech sądach federalnych są negocjowane

eprasa.pl db0df14551

w formie „pakietów" między chadekami a socjaldemokratami. Decydującą rolę odgrywają przy tym zakulisowe targi. „Kto jest niewygodny albo z jakichś powodów nielubiany, nie jest wybierany" – krytykowała w 2014 r. ówczesna szefowa komisji sprawiedliwości Bundestagu Renate Künast (Zieloni). Mimo to niemieccy politycy utrzymują, że wybór sędziów do TK nie ma żadnego wpływu na ich postawę i niezależność. A 55 proc. Niemców ma wciąż zaufanie do sędziów – jak wynika z ubiegłorocznego badania przeprowadzonego przez instytut Allensbach, choć to o 11 proc. mniej niż jeszcze w 2014 r. (66 proc.).

TRZECIA, A NIE PIERWSZA WŁADZA

Coraz mniejsze zaufanie do sędziów mają za to politycy. A wyrażana przez nich krytyka przypomina debatę toczącą się w Polsce wokół sądownictwa. Tak Lammert przestrzegał w 2017 r. na łamach „Frankfurter Allgemeine Zeitung" przed przejmowaniem przez TK roli „rezerwowego ustawodawcy": „Podobnie jak ustawodawca, który w swej działalności łączy politykę z prawem, także Trybunał Konstytucyjny nie działa w sposób czysto prawny. Z jednej strony istnieje stała pokusa ustawodawcy, by poprzez stałe regulowanie nadwyrężać konstytucję, z drugiej zaś strony skłonność Trybunału do prowokowania ustawodawcy poprzez poprawianie konstytucji za pomocą twórczej interpretacji" – pisał były szef Bundestagu. Lammert ostrzegł przy tym przed przesunięciem polityki z parlamentu do Trybunału Konstytucyjnego, „co ma miejsce szczególnie wtedy, gdy skarga konstytucyjna uważana jest za przedłużenie polityki". Zdaniem Lammerta można zaobserwować sędziowską nadgorliwość do regulowania spraw i przyznawania sobie kompetencji, które właściwie należą do innych organów.

Wśród przykładów szef Bundestagu wymienił orzeczenia TK dotyczące prawa wyborczego, które uważane są przez parlamentarzystów za mieszanie się sądu w kompetencje ustawodawcy. Jednym z takich wyroków było zniesienie 5-procentowego progu wyborczego w wyborach do samorządu, co doprowadziło do rozczłonkowania lokalnych parlamentów. Także kryzys imigracyjny stał się przyczyną do krytyki TK. W maju 2016 r. na łamach „FAZ" ukazał się artykuł „Na drodze do państwa sędziowskiego". Jego autor przekonywał, że TK zdezawuował decyzję Bundestagu, by obciąć imigrantom z UE świadczenia socjalne, argumentując, że jest to sprzeczne z podstawowym prawem do minimum egzystencjalnego pozwalającego na godne życie. Według gazety pokazuje to, że sędziowie w Karlsruhe działają przeciwko interesom niemieckich obywateli i państwa, obalając decyzje „demokratycznie wybranego parlamentu". Tak zdaniem „FAZ" nie powinno być, bo sędziowie są „zaledwie trzecią władzą w państwie, a nie pierwszą". Według gazety pokazuje to ponadto, że sędziowie są „ze względu na swój status oderwani od rzeczywistości codziennego życia obywateli". Rola sędziów – dodaje „FAZ" – w procesie politycznym jest więc coraz większa, „a ponieważ grupa ta nie podlega wyborowi demokratycznemu, jest względnie trwała, co tworzy niebezpieczeństwo utrwalania pewnego establishmentu".

> Niemieccy politycy mają coraz mniejsze zaufanie do sędziów. A wyrażana przez nich krytyka przypomina debatę toczącą się w Polsce wokół sądownictwa

„Trzy rodzaje władz miały się nawzajem pilnować i ograniczać. W praktyce wygląda to tak, że sędziowska kontroluje pozostałe oraz samą siebie. Weszliśmy na drogę jurysdykcji życia politycznego i osłabienia demokracji. Polityka musi odzyskać prymat działania od sędziów. Demokratycznie wybrane parlamenty nie mogą być przez nich kneblowane. Sądy powinny wrócić do robienia tego, do czego zostały powołane: wkraczać wtedy, gdy prawa podstawowe, prawa obywatelskie czy prawa człowieka są w rażący sposób łamane. I tylko wtedy. A politycy nie powinni się uginać przed sędziami, tylko odważnie przeprowadzać reformy" – podsumowuje gazeta.

NIEPEWNA NEUTRALNOŚĆ

Tym bardziej że sędziowie nie zawsze trzymają się zasady „powściągliwości" i neutralności, do której są zobowiązani. Wątpliwą sławę na tym polu uzyskał Thomas Fischer, który przewodniczył w latach 2013–2017 Federalnemu Trybunałowi Sprawiedliwości. Przez cały ten czas nie tylko miał stałą kolumnę w tygodniku „Die Zeit" pt. „Fischer ma rację", w której komentował bieżące wydarzenia polityczne, lecz także prowadził krucjatę przeciwko własnym kolegom, naśmiewał się z klasy średniej „produkującej taśmowo prawników" i twierdził, że nawet żółwie morskie mogłyby zostać sędzią, tak mało ten zawód jest „intelektualnie wymagający". Z lubością obrażał dziennikarzy („głupi"), polityków („tchórze") i obywateli („enerdowcy są zacofani"), a każdy, kto próbował mu się przeciwstawić, musiał się liczyć z pozwem.

Gdyby nie zły stan zdrowia, który zmusił go do przedwczesnego przejścia na emeryturę, Fischer pewnie wciąż by orzekał. I to mimo że otrzymał reprymendę od (niższego rangą) sądu krajowego we Frankfurcie, co jest w Niemczech bardzo rzadkim zdarzeniem, za to, że był zbyt zajęty działalnością medialno-publicystyczną i wydłużył proces, „odbierając oskarżonemu szansę na sprawiedliwe postępowanie". Oskarżony, handlarz narkotyków, przesiedział prawie trzy lata w areszcie śledczym bez wyroku i ostatecznie wyszedł na wolność.

Spór o następcę sędziego Eichbergera udało się po prawie dwóch miesiącach zażegnać. Zastąpi go 56-letni sędzia federalny Henning Radtke, konserwatysta, podobnie jak jego poprzednik. Tym samym zachowany zostanie „konsens", na którym w Niemczech opiera się zarówno polityka, jak i sądownictwo. Pytanie tylko, na jak długo. Bo konsens polityczny wykazuje już wyraźne rysy.

eprasa.pl db0df14551

Hit tygodnia

Amerykańska bestia powraca

Oto Dodge Challenger SRT Hellcat Redeye, najnowsza i najmocniejsza odsłona amerykańskiej firmy. Można dostać małego zawrotu głowy, gdyż Dodge przedstawił wcześniej nową wersję Challengera, potem jeszcze jego mocniejszą wersję, czyli SRT, a teraz to – Redeye. A to już nie przelewki. Silnik to V8 o pojemności 6,2 l, 797 KM, 958 Nm maksymalnego momentu obrotowego i 8-biegowa automatyczna skrzynia. Do niecałej setki (96 km/h, czyli do 60 mil) potrzebuje 3,4 s. Prędkość maksymalna to 327 km/h. A ponieważ to amerykański wóz, to i spalanie amerykańskie (w starym stylu): prawie 13 l/100 km, przy maksymalnej prędkości silnik zużywa 5,4 l na minutę, co – uwzględniając pojemność baku – pozwala w tym tempie opróżnić zbiornik w ok. 11 minut. Nieźle, prawda? Ekolodzy raczej nie będą się uśmiechać, ale proszę spojrzeć na Redeyea – ten kształt...

AUTOFOCUS, czyli co warto wiedzieć

Tak to każdy by chciał. No może prawie każdy, bo problem to problem. Mianowicie rumuńska Dacia nie może nadążyć z produkcją modelu Duster. Podobno na nowe auto, prosto z fabryki, trzeba czekać pół roku. Aż przypominają się czasy minionego systemu politycznego, gdy czas oczekiwania na auto też był... niejednokrotnie znacznie dłuższy. Dacia chce rozwiązać problem w wakacje, w tym przypadku chodzi o dostosowanie linii produkcyjnej.

Z nowej fabryki w Karolinie Południowej zjechał właśnie pierwszy model Volvo produkowany w USA. S60 będzie oferowany z benzynowym silnikiem T5, w przyszłości pojawią się w nim elementy hybrydowe. Natomiast o dieslu należy raczej zapomnieć – wpisuje się to w politykę firmy odchodzenia od silników Diesla. S60 trafi na amerykański rynek w sierpniu, do Europy – w przyszłym roku.

Na świecie trwa dobra passa dla „elektryków", więc i my nie powinniśmy przegapić takiej okazji. I tak się stało – Elimen E-VN1 to pierwszy w całości zaprojektowany i wyprodukowany w Polsce pojazd elektryczny. Elimen to VAN, który można zabudować na trzy różne sposoby (E-VN1, E-VN2, E-VN3). Samochód powstał z bardzo lekkich kompozytów – podstawowa wersja waży 600 kg. W zależności od baterii zasięg pojazdu na jednym ładowaniu wynosi 100–300 km. Jak podaje producent, koszt energii na 100 km to 7 zł. W aucie są dwa miejsca siedzące, ładowność do 800 kg, przestrzeń ładunkowa 4 m^3.

Borgward powraca. Choć nazwa ta nie jest dziś znana wielu, to jej historia sięga 1929 r., gdy Carl F.W. Borgward założył firmę w Bremie. Zakończyła działalność w 1962 r. Teraz, po reaktywowaniu marki, spółka Borgward Group AG z siedzibą w Stuttgarcie startuje ze sprzedażą modelu Borgward BX7 TS. Ma być konkurentem dla takich pojazdów jak BMW X3 czy Alfa Romeo Stelvio. Borgward BX7 TS kosztuje nieco ponad 44 tys. euro.

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl db0df14551

BRONISŁAW WILDSTEIN

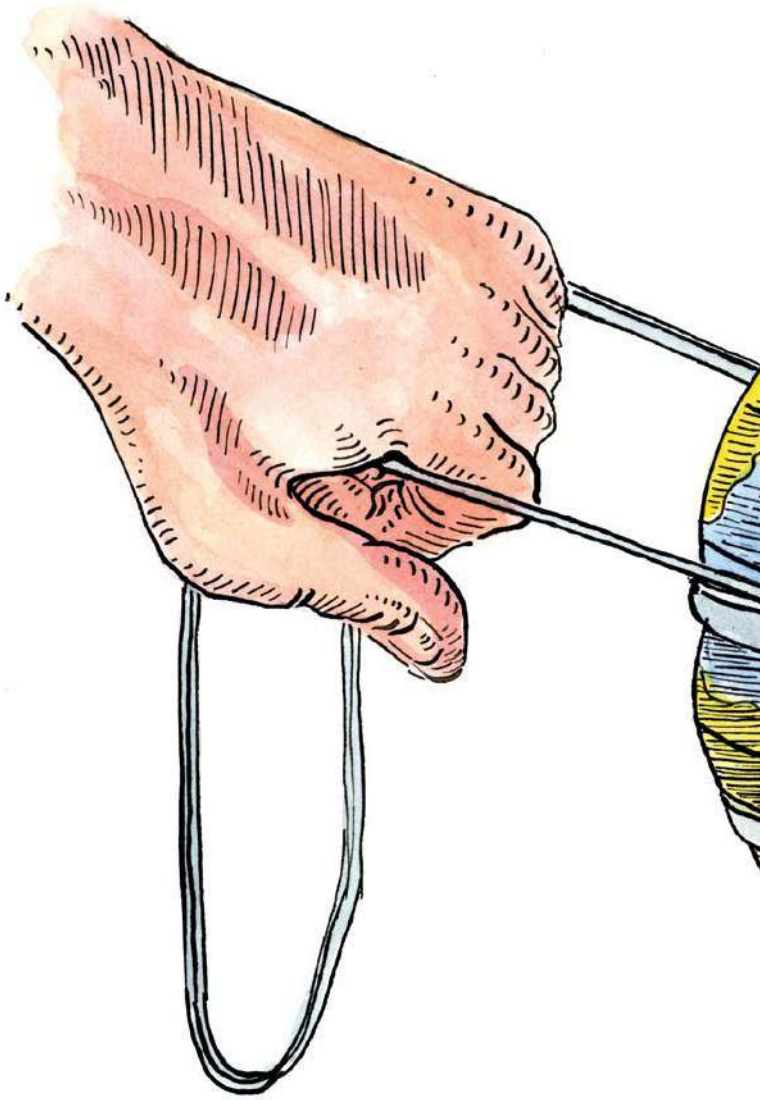

Co zrobić z „innym”?

Zgodnie z dominującą dziś na Zachodzie doktryną słowo „inny” winno zniknąć ze słowników. Aby to zauważyć, nie trzeba wczytywać się w dotyczące sprawy elaboraty. Ideologia zawierająca wspomnianą na początku tezę przeniknęła kulturę masową i stała się Biblią pauperum współczesnego świata (wystąpienie na konferencji SDP „Media jako służba publiczna”)

Doktryna mówi, że wskazanie inności odpowiada za całe zło, wszystkie nieszczęścia, które spotykają ludzkość, ze szczególnym uwzględnieniem epoki obecnej. To uznanie kogoś za innego, a więc wykluczenie z rozpoznawanej jako własna wspólnoty, miało stać się przyczyną wszystkich form skierowanej przeciw niemu agresji, od rozmaitych form dyskryminacji poczynając, a na ludobójstwie kończąc. Zło projektowane było w innego, to on był naznaczony i stawał się kozłem ofiarnym, który odpowiadać miał za nasze nieszczęścia. A wobec tak obciążonego zanikają wszelkie skrupuły i uwalniają się złe instynkty.

„We are the world, we are the children” („Jesteśmy światem, jesteśmy dziećmi”) – jak śpiewano w głośnej piosence. Dlatego wszyscy powinniśmy się wziąć za ręce i wspólnie postępować w świetlaną, bo pozbawioną uprzedzeń, tolerancyjną i otwartą przyszłość.

* * *

Tyle że jeśli mamy wymazać pojęcie „innego”, czyli obcego, to musimy także odrzucić kategorię swojego, która jest opozycją do tamtej i bez niej nie może istnieć. Jeśli nie będzie idei nieznajomego, która koresponduje z pojęciem inności, nie będzie też znajomego.

Walczący z wykluczeniem i naznaczaniem inności obruszą się. – Nic podobnego, będą tylko swoi i znajomi – zakrzykną. Kłopot w tym, że tak może być na tamtym, radykalnie „innym”, świecie, gdyż na tym naszym ludzkie możliwości są ograniczone, a podejście takie nie jest realizowalne. Są rzeczy możliwe i niemożliwe, znajome i nieznajome, bliskie i dalekie, swoje i obce. To samo dotyczy ludzi. Nie oznacza to, że mamy żywić nienawiść czy choćby niechęć do innych, obcych, ani że opozycja swój – inny jest nieprzekraczalna. Niemniej jednak istnieje i w dającej się wyobrazić przyszłości istnieć będzie. I jest konieczna.

* * *

Postulat, abym wszystkich kochał tak samo, jest żądaniem świętości. A tego wymagać od ludzi nie wolno, zwłaszcza że oczekiwania takie zwykle obracają się w swoje przeciwieństwo.

Ktoś, kto twierdzi, że wszystkich kocha jednakowo, przypuszczalnie nie kocha nikogo.

Człowiek żyje we wspólnotach, od rodziny poczynając, na narodzie kończąc. Budujemy je na zasadzie opozycji: swoi i inni. Inaczej nie jesteśmy w stanie funkcjonować. Wspólnota polega na przeciwstawieniu jej wszystkim innym. Członkowie rodziny przeciwstawieni są tym, którzy do niej nie należą, to samo dotyczy środowiska pracowniczego, klubu itd., na

eprasa.pl db0df14551

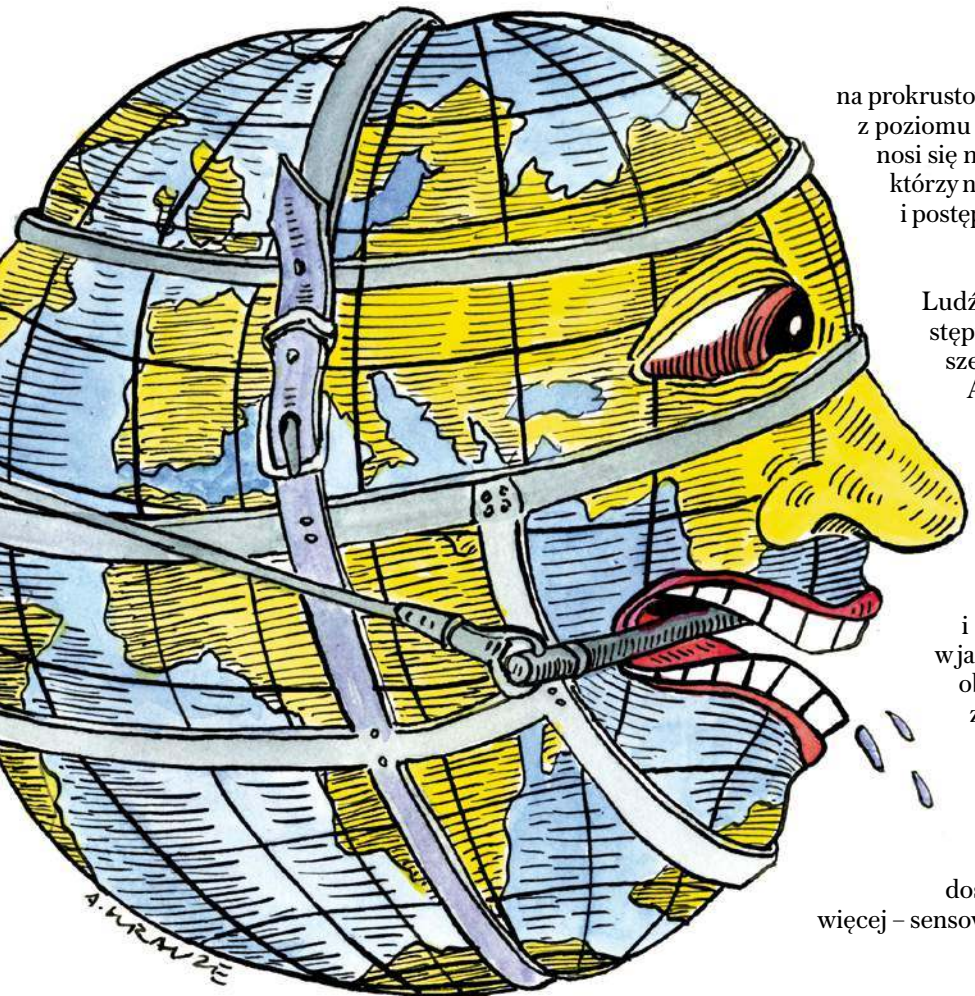

narodzie kończąc. Żadna z owych wspólnot nie istniałaby, gdyby nie została wyodrębniona i przeciwstawiona innym. Powtarzam: nie znaczy to, że mam być niechętnie nastawiony do innych i nie jestem zobowiązany zachowywać się wobec nich przyzwoicie. Postępowanie wobec ludzi jako takich regulują zasady moralne, z natury rzeczy raczej abstrakcyjne i negatywne: nie wolno ich krzywdzić, nie wolno traktować instrumentalnie itd. Są przecież bliźnimi, jak mocno akcentuje to chrześcijaństwo.

Jednak wobec wspólnoty, do której przynależę, zobowiązania moje postępują dalej i przybierają formę etyki. Nie wystarczy, abym nie zachowywał się źle, powinienem aktywnie angażować się na rzecz dobra wspólnego swojej grupy.

– Nie! Tak samo należy angażować się na rzecz dobra wszystkich! – zadeklarują co bardziej zagorzali rzecznicy otwartości. Tyle że elementarna refleksja pokazuje, że to niemożliwe, a doświadczenie historyczne utwierdza nas w tym poglądzie. W XX w. co najmniej tyle samo zbrodni popełniono pod hasłem uszczęśliwienia wszystkich, ile w imię obrony przed innym. Doktrynerzy walczący o nowy, wspaniały świat nie liczą się z realnym człowiekiem i aby dostosować do idealnej miary, przycinają go lub rozciągają na prokrustowym łożu ideologii. A opozycja swój – inny z poziomu naturalnych form życia społecznego przenosi się na poziom ideologiczny. Innymi stają się ci, którzy nie podzielają naszych, oczywiście otwartych i postępowych, opinii.

* * *

Ludźmi stajemy się dzięki kulturze, a ona występuje w konkretnych, wspólnotowych, w naszej rzeczywistości narodowych odmianach. A naród, że pozwolę sobie zacytować Maxa Webera, to „wspólnota losu". Mamy poczucie, że nasza indywidualna, a także rodzinna historia jest wpisana w szersze, narodowe dzieje. Zwłaszcza nam, w naszej części kontynentu, niełatwo o tym zapomnieć. A wspólne doświadczenia budują podobieństwo postaw i zachowań, wspólny język określa sposób, w jaki je pojmujemy, wyrastające z tego wspólne obyczaje zaś generują zrozumienie i poczucie zadomowienia.

Uświadomienie tego jest dla nas w miarę oczywiste, gdyż wychowaliśmy się we wspólnym etosie. Inni, aby nas zrozumieć, muszą się go dopiero uczyć. Nowa ideologia każe nam zamykać oczy na to elementarne doświadczenie. Ale czy jest to możliwe i – co więcej – sensowne?

* * *

Przecież ci, którzy do tego nawołują, również posługują się kategorią obcości i – co więcej – ostro ją akcentują. Inni to dla nich ich przeciwnicy, ci uwięzieni w mitycznej historii reakcjoniści, jak opisywał ich w głośnej ostatnio książce „The schipwrecked mind" („Umysł rozbity") Mark Lilla. Nie chcą zrozumieć, że świat rozwijać się może tylko w jeden sposób, gdyż rządzi nim dziejowa mądrość, która wyznacza zasady postępu i rozpisuje go w prawach nowej, emancypacyjnej ideologii. Ci, którzy nie wierzą w ten świecki ersatz religii, muszą, zdaniem jej wyznawców, być albo ograniczeni, albo powodowani złą wolą, a najpewniej łączą jedno i drugie.

Proszę zwrócić uwagę na reakcję zachodniego establishmentu na zwycięstwa Orbána na Węgrzech, PiS w Polsce czy Trumpa w Stanach Zjednoczonych; na Brexit, sukces Ligi i Ruchu 5 Gwiazd we Włoszech czy rosnące znaczenia Frontu Narodowego we Francji i Alternative fur Deutschland w Niemczech. Zdaniem przedstawicieli elit to wyłącznie zadziwiający zbieg okoliczności. Tłumaczyć można go jedynie knowaniami podstępnych populistów, którym udaje się uwieść nieszczególnie rozumne masy. Czy u tych rzeczników otwartości i tolerancji widzimy próbę zrozumienia tych, którzy inaczej je pojmują? Czy dostrzegamy chęć dialogu?

* * *

eprasa.pl db0df14551

Znamienne, że ci, którzy dotąd tak szermowali ideą demokracji, kiedy okazało się, że może w niej wygrywać kto inny, zakwestionowali ją dość zasadniczo. Demokracja, ale liberalna, a więc taka, w której zawsze rządzić będą oświecone elity, a tzw. populiści, więc ci, którzy mają odmienne zdanie, mają zostać wypchnięci poza margines. Tak właściwie działo się w Europie przez kilka ładnych dekad, ale ostatnie wybory zaczynają kwestionować ten stan rzeczy.

Zauważmy, jak łatwo ideologiczne odrzucenie przekształca się w intelektualne stygmatyzowanie, aby szybko nabierać klasowych odcieni. Kto głosował na Trumpa? Naturalnie „red necki" („czerwone karki"), biali prymitywi ze środkowych Stanów. A kto wybrał PiS? To oczywiście mohery, ci, którzy nie dorośli do nowoczesności i Europy, zalęknieni zmianami i uwięzieni w swoim zaścianku. Kiedy PiS było w Polsce w opozycji, słyszeliśmy ze strony uniwersyteckich autorytetów, że dla tej partii i jej wyborców należałoby stworzyć skansen. Dziś od tych samych dowiadujemy się, że Polskę należałoby podzielić na dwa kraje: zwolenników PiS i ludzi normalnych. Zresztą interpretacja psychiatryczna, w lepszym wypadku psychoanalityczna, tego, co dzieje się w Polsce, na Węgrzech, jest już na porządku dziennym. Niedługo dotyczyć może całej Europy.

No i nie zapominajmy o najcięższym młocie na przeciwników dominującego status quo i uzasadniającej go ideologii. To reductio ad Hitlerum, czyli stygmatyzowanie przeciwnika jako faszysty. Nie wymaga to szczególnej intelektualnej subtelności. Mówimy o wartości narodu, Hitler też to robił; mówimy o znaczeniu wspólnotowej tożsamości, ależ Hitler...

* * *

Owo ideologiczno-klasowo-psychiatryczne podejście łatwo przeniesione zostaje na narodowy wymiar. To, co dzieje się w Polsce, zdaniem mediów zachodnich to budzenie się tego, co najgorsze w naszym narodzie. Naturalnie dziennikarze zachodni powtarzają to, co słyszą od swoich polskich kolegów, którzy nie mogą pogodzić się, że ich obóz stracił władzę, niemniej efekt pozostaje ten sam. Polacy i Węgrzy okazują się tymi gorszymi narodami, które nie dorastają do Europy, tak jak wcześniej byli nimi Grecy. Niedługo okazać się może, że do Europy dorasta wyłącznie parę krajów, z Niemcami na czele.

Wspomniałem o dziennikarzach, gdyż to oni szczególnie intensywnie uczestniczą w kampanii na rzecz przezwyciężenia kategorii inności we współczesnym świecie. To oni również piętnują coraz większe grupy jako tych, którzy nie dorastają do wymogów tolerancji i otwartości. Tych innych trzeba wziąć pod kuratelę i reedukować, aby wreszcie zaczęli myśleć i zachowywać się jak trzeba.

Wnioski z tego są dość proste. Na innego jesteśmy skazani. Maskowanie tego stanu rzeczy i infantylne branie się za ręce nie tylko nie zmieni niczego, lecz często pozwala nie pamiętać o normach, jakie winny obowiązywać również wobec innego.

AUTOPROMOCJA

POLECAMY

TELEWIZJA W POLSCE PL

WIEŻA BAB

– ROZMAWIAMY Z KOBIETAMI O TYM, CO DLA NICH WAŻNE

PIĄTEK
o godz. 13.07

OGLĄDAJ TELEWIZJA W POLSCE PL W CYFROWY POLSAT NA POZYCJI 196

eprasa.pl dbodr14351

Stocznia Gdańsk wraca do Polski

Odkupienie przez Agencję Rozwoju Przemysłu 81,05 proc. akcji Stoczni Gdańsk, a także 50 proc. akcji GSG Towers to moment historyczny. Stocznia wraca pod pełną kontrolę państwa i ma szansę już wkrótce stać się filarem polskiego przemysłu stoczniowego. To kolejny krok w realizacji Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju wdrażanej przez rząd premiera Mateusza Morawieckiego

Agencja Rozwoju Przemysłu wcześniej dysponowała tylko skromnym, bo wynoszącym 18,95 proc., pakietem akcji Stoczni Gdańsk i większym, bo 50-procentowym, pakietem akcji stowarzyszonej spółki GSG Towers (produkującej wieże do elektrowni wiatrowych), jednak 19 lipca sytuacja się zmieniła i stuprocentowym właścicielem obu przedsiębiorstw zostaną spółki z grupy ARP. To prawdziwie historyczny moment dla całej branży stoczniowej, Agencja ma bowiem nie tylko koncepcję tego, jak powinna wyglądać kontrola nad spółkami, lecz posiada również wizję rozwoju legendarnej polskiej stoczni.

– Zmiana na pewno daje szansę na uzdrowienie Stoczni Gdańsk i GSG Towers. Zapewniam, że wszystkie działania podejmowane przez ARP przy tym projekcie są wykonywane tak, jak wykonywałby je prywatny inwestor: spełniają tzw. test prywatnego inwestora – mówi Andrzej Kensbok, pełniący obowiązki prezes ARP. I dodaje, że inwestycja odbyła się na zasadach rynkowych, z korzyścią dla ARP jako akcjonariusza i spółki. Nie ma więc mowy o tym, by działania uznane zostały np. za pomoc publiczną dla stoczni.

Cena, jaką ARP zapłaciła za akcje Stoczni Gdańsk i GSG Towers, na chwilę obecną jest tajemnicą ze względu na zobowiązania o poufności, ale Agencja zapewnia, że to cena rynkowa, uwzględniająca bieżącą sytuację obu firm oraz fakt, iż ARP była akcjonariuszem i udziałowcem spółek.

– Kwota jest znacznie niższa niż deklarowane inwestycje GSG (wcześniej ISD Polska), ale też proszę mieć na uwadze, że w 2015 r. to ARP zainwestowała ok. 150 mln zł. Niestety zgodnie z podpisaną wówczas przez poprzedni zarząd umową inwestycyjną Agencja nie miała wpływu na działalność operacyjną ani GSG Towers, ani Stoczni Gdańsk, stąd stale pogarszające się wyniki obu firm – wyjaśnia Kensbok.

A obie firmy istotnie cierpiały na wiele problemów, choćby z uzyskaniem stabilności finansowej. W ostatnich pięciu latach Stocznia Gdańsk tylko dwa razy miała zysk netto. Jednak, jak zaznacza Kensbok, to raczej efekt wyprzedaży majątku aniżeli wyników ze sprzedaży usług. Z kolei GSG Towers w ostatnich pięciu latach zysk netto osiągnęła tylko raz, w 2016 r.

– W tym roku sytuacja także jest gorsza. Chcemy szybko wdrożyć niezbędne procesy naprawcze i ruszyć z inwestycjami – mówi p.o. prezes ARP. – Przejęcie będzie pierwszym, niezbędnym krokiem, który pozwoli ustabilizować sytuację i umożliwi dostęp do finansowania, koniecznego do pozyskiwania nowych kontraktów, z czym są obecnie duże kłopoty. Nowe kontrakty przełożą się na faktyczny wzrost i stabilność zatrudnienia.

Przed polskim przemysłem stoczniowym liczne wyzwania, globalna konkurencja jest bowiem silna. Producenci z Korei Południowej czy Chin obecnie dominują na rynku, jednak nie znaczy to, że Polska nie mogłaby z nimi konkurować. ARP dysponuje zespołem doświadczonych menedżerów z ogromnym doświadczeniem we wdrażaniu skomplikowanych procesów naprawczych, zwłaszcza w sektorach kluczowych dla polskiej gospodarki. Jak zaznacza Kensbok, obie firmy – Stocznia Gdańsk i GSG Towers – wymagają szybkich działań restrukturyzacyjnych, a ARP ma plan, jak uzdrowić spółki.

Drugą kwestią jest stosunek Komisji Europejskiej do całej transakcji, Kensbok zapewnia jednak, że w tym przypadku Komisja nie będzie miała zastrzeżeń do transakcji.

– Część krajów aktywnie wspiera rozwój przemysłu stoczniowego i KE nie stawia im żadnych zarzutów. Niemcy i Norwegia mają wieloletnie strategie rozwoju całego przemysłu, koordynowane na poziomie ministerstw. Programy klastrowania stosowane są w Niemczech, Holandii, Finlandii. Wsparcie w postaci kredytów eksportowych stosują Niemcy, Norwegia, Hiszpania. Z kolei granty badawcze/kredyty na rozwój innowacji udzielane są w Niemczech czy w Norwegii. Może dlatego w 2016 r. ponad połowa nowych zamówień, głównie na statki specjalistyczne, trafiła do stoczni europejskich (w poprzednich latach nie przekraczała 30 proc.). Dlaczego Polska nie miałaby na tym nie skorzystać? Nie liczymy na przychylność, tylko na równe traktowanie – zaznacza p.o. prezes ARP.

Arkady Saulski

Fot. Shutterstock

eprasa.pl db0df14551

Nowa era Poczty Polskiej

Stawiając na rozwój i inwestycje, Poczta Polska stara się wyjść z zapaści, w jakiej znajdowała się jeszcze niedawno. Pomysły snute zaledwie kilka lat temu, by spółkę sprywatyzować, zostały odrzucone. W nowej strategii Poczta Polska próbuje sprostać wyzwaniom stawianym przez rynek. Efekty już widać. W 2017 r., po raz pierwszy od kilkunastu lat, firma odnotowała znaczący wzrost przychodów. Dodatni wynik finansowy udało się osiągnąć pomimo trudnych uwarunkowań rynkowych oraz wymagań społecznych i biznesowych

Poczta Polska – choć utrzymuje rygory spółki akcyjnej – nie zapomina o swojej misji i nie działa wyłącznie dla zysku, ale kieruje się interesem społecznym, będąc naturalnym partnerem państwa polskiego w realizacji kluczowych projektów. Jednym z takich przykładów jest udział w budowie idei nowego jedwabnego szlaku. Spółka chce zostać ważnym operatorem w obszarze rynku zagranicznego dla tej inicjatywy. Jest to tym łatwiejsze, że dzięki realizacji nowej strategii w 2017 r. PP zanotowała znaczący wzrost przychodów, zwiększyła zatrudnienie i podwyższyła wynagrodzenia pracowników. Przed spółką kolejne wyzwania. Od tego, czy im podoła, może zależeć jej przyszłość.

POCZTA SIĘ ZMIENIA

W latach 2017–2018 udało się Poczcie Polskiej podjąć wiele działań poprawiających funkcjonowanie i kondycję spółki. Nowa strategia na lata 2017-2021 oparła się na trzech filarach: rozwój usług paczkowych i kurierskich, rozwój usług międzynarodowych, a także rozwój usług na rzecz państwa i e-administracji.

Poczcie udało się osiągnąć wzrost przychodów o 553 mln zł, co łącznie dało 6 mld zł przychodu i skutkowało odwróceniem kilkunastoletniego trendu spadkowego. Wyniki finansowe, wzrost przychodów, rozwój sieci pocztowej i partnerskiej (stworzenie największej sieci punktów odbioru paczek) oraz pionierskie wdrożenie na rynku płatności bezgotówkowych za wszystkie paczki pobraniowe u kurierów dają Poczcie Polskiej podstawy do rozwoju także innej działalności, np. w segmencie usług ochroniarskich. Ale nie tylko, bo Poczta zaangażowała się w realizację programu Mieszkanie+ jako największy podmiot współpracujący z BGK Nieruchomości. Spółka przedstawiła BGK 208 potencjalnych lokalizacji do wykorzystania w ramach programu. Co więcej, po przeprowadzeniu remontów niektóre już istniejące nieruchomości Poczty Polskiej mogą zostać włączone do oferty lokali mieszkalnych.

Dzięki tym działaniom Poczta nie tylko wspiera państwo polskie w przeprowadzeniu jego kluczowych projek-

eprasa.pl db0df14551

Fot. Julia Szewczyk

tów prospołecznych i realizuje swoją misję, lecz także zyskuje. W rankingu najcenniejszych polskich marek sektora usług firma zdobyła 1. miejsce, a w ogólnym rankingu firm awansowała na 7. miejsce z pozycji 114. Z wyliczeń „Rzeczpospolitej" wynika, że wartość marki wzrosła w ciągu roku o 1771 proc. do 1,96 mld zł z 105 mln rok wcześniej. To z kolei przełożyło się na wzrost w rankingu Światowego Związku Pocztowego. PP dzięki wdrożonej strategii zajęła 1. miejsce w rankingu tej organizacji w kategorii rozwoju pocztowego wśród państw Europy Środkowo-Wschodniej i Azji, w rankingu światowym zaś zajęła w tej kategorii 7. miejsce.

ELEKTROMOBILNOŚĆ I CHIŃSKI PARTNER

Dlatego właśnie Poczta wspiera realizację międzynarodowych programów i kooperuje z zagranicznymi partnerami. W 2017 r. udało się podpisać umowę z Pocztą Chińską w zakresie jedwabnego szlaku 2.0, umożliwiającą sprawny odbiór dystrybucji przesyłek transportowanych drogą lądową do 32 krajów Europy.

Ale do przewozu przesyłek niezbędne są samochody, dlatego Poczta prowadzi największe w Polsce testy elektrycznych samochodów dostawczych. Poczta Polska w dłuższej perspektywie chce wykorzystać trend, jakim jest wzrost znaczenia elektromobilności na świecie, co wpisuje się też w działania polskiego rządu (Plan rozwoju elektromobilności „Energia do przyszłości", a także Ustawa o elektromobilności i paliwach alternatywnych) i sugestie Komisji Europejskiej dążącej do ograniczenia emisji gazów cieplarnianych w sektorze transportu o 20 proc. do 2030 r. Poczta chce być liderem w zakresie wykorzystania aut elektrycznych do działalności operacyjnej. Takie rozwiązanie jest nie tylko przyjazne dla środowiska, lecz może prowadzić do oszczędności ekonomicznych. Projekty związane z autami są już skutecznie wdrażane przez poczty europejskie, choćby w Niemczech.

NOWE WYZWANIA

Przed Pocztą Polską stoją jednak wyzwania bezpośrednio związane z tym, co jest obecnie głównym źródłem przychodów, czyli listami. Jednym z nich jest oczekiwane ustawowe włączenie Poczty Polskiej do procesu e-doręczeń w wersji hybrydowej, tzn. wykonywanie e-usług publicznych świadczonych we współpracy z państwem w oparciu o platformę Envelo. Ta platforma daje Poczcie przewagę. Elektronizacja procesów obsługi obywateli i przedsiębiorców, a także usprawnienie komunikacji wewnątrz administracji powinno w długiej perspektywie przyczynić się do znaczącej poprawy jej funkcjonowania, a także obniżenia kosztów obsługi i poprawy efektywności działalności przedsiębiorstw, co również doskonale wpisuje się w rządowe strategie wspierania firm. Warunkiem wzięcia udziału w procesie e-doręczeń będzie wygrana w konkursie, który rozpisze Ministerstwo Cyfryzacji.

Mimo rozwoju technologii Poczta nadal pozostanie dostawcą fizycznych przekazów i paczek, stąd kluczowe jest wdrażanie innowacji do usług logistycznych. Biorąc pod uwagę przewidywany wzrost rynku logistycznego o 5 proc. w perspektywie do 2021, firma planuje stworzenie nowej sieci logistycznej składającej się z jednej centralnej sortowni, trzech sortowni lokalnych oraz ok. 50 mniejszych ośrodków logistycznych. Co więcej, w ramach wdrożenia nowej sieci zakupione zostaną sortery do dzielenia przesyłek pocztowych. Realizując to zadanie, spółka znacząco zwiększy swój potencjał operacyjny w zakresie wolumenów paczkowych, a to doprowadzi do poprawienia jej sytuacji na polskim rynku.

Dodatkowo Poczta planuje wdrożenie usługi międzynarodowej przesyłki paletowej w oparciu o partnerstwo z europejskimi sieciami operatorów drobnicowych. Jednocześnie będą wdrażane zmiany w ofercie i procesach wynikających z zawartych porozumień z partnerami azjatyckimi, w tym z Pocztą Chińską. Pod tym względem istotne jest też tworzenie rozwiązań informatycznych dla procesów logistycznych – optymalizacja transportu, a także wdrożenie rozwiązania informatycznego wspierającego zarządzanie procesami logistycznymi.

Jeśli dodamy do tego zakup i wdrożenie nowego systemu operacyjnego zapewniającego Poczcie Polskiej sprawniejszą obsługę klienta, ciągły wzrost zatrudnienia i nakłady inwestycyjne rzędu 285 mln zł w 2018 r. i ok. 670 mln zł w roku 2019, to Poczta ma szansę na dołączenie do grona firm typu KGHM i Orlen, które są ekonomicznie silne oraz mają bardzo mocny wpływ na polską gospodarkę. Dodatkowym warunkiem będzie także mocne wsparcie państwa dla operatora, choćby poprzez biznesową współpracę przy programach rządowych i współfinansowanie inwestycji np. przez Agencję Rozwoju Przemysłu.

Na rynku pocztowym dochodzi do swoistej rewolucji technologicznej. Bez względu jednak na to, czy mówimy o współpracy z partnerami z Azji, tworzeniu platformy cyfrowej dla e-administracji, firm i klientów indywidualnych, czy o rosnącym rynku paczek – ostatecznym celem Poczty Polskiej jest realizacja misji, którą upatruje w jak najszybszym i najsprawniejszym dostarczaniu przesyłek.

Arkady Saulski

eprasa.pl db0df14551

Fot. B.Banaszak/PKPIC | 29/0718/F

PKP Intercity na właściwych torach – przewoźnik realizuje inwestycje na kwotę ok. 7 mld zł

Największy przewoźnik dalekobieżny w Polsce realizuje rekordowe inwestycje taborowe na kwotę ok. 7 mld zł. To efekt dobrej kondycji spółki i ambitnych planów rozwojowych, dzięki którym pasażerowie pojadą nowymi i zmodernizowanymi pociągami

PKP Intercity w ramach strategii taborowej zrealizuje inwestycje na kwotę ok. 7 mld zł. Dla pasażerów to wymierne korzyści i gwarancja wysokiej jakości usług oraz komfortu i bezpieczeństwa podróży. W sumie do 2023 r. przewoźnik kupi 185 nowych i zmodernizuje ponad 700 wagonów – wśród nich przedziałowe i bezprzedziałowe, pierwszej i drugiej klasy, gastronomiczne oraz do przewozu rowerów, wagony ze Strefą Małego Podróżnika oraz wielofunkcyjne COMBI. Ponadto pasażerowie skorzystają z 19 nowych i 14 zmodernizowanych elektrycznych zespołów trakcyjnych (EZT) oraz dwóch składów typu push-pull. Zarówno wagony, jak i EZT będą wyposażone w wygodne fotele, klimatyzację, Wi-Fi oraz udogodnienia dla rodzin, rowerzystów i osób z niepełnosprawnościami. Ponadto PKP Intercity kupi 118 lokomotyw elektrycznych i spalinowych, a także zmodernizuje prawie 200 elektro- i spalinowozów. Część lokomotyw, wagonów i EZT będzie przystosowana do prędkości 200 km/h lub wyższej. Po zakończeniu programu tabor PKP Intercity będzie w 80 proc. nowy lub zmodernizowany. W 80 proc. składów będą gniazdka elektryczne, w 94 proc. pasażerowie skorzystają z klimatyzacji, a w co najmniej 77 proc. – z bezprzewodowego internetu. Dodatkowo w każdym pociągu ma być przestrzeń przystosowana dla osób poruszających się na wózkach oraz miejsce na rowery. W ramach strategii planowana jest również modernizacja 16 stacji postojowych.

INNOWACYJNA PRZYSZŁOŚĆ

Spółka rozpoczęła współpracę z Narodowym Centrum Badań i Rozwoju dotyczącą opracowania innowacyjnych projektów taborowych wraz z producentami i instytutami badawczymi w ramach partnerstwa innowacyjnego. Rezultatem mają być pojazdy najlepiej dostosowane do potrzeb przewoźnika

eprasa.pl db0df14551

dalekobieżnego i pasażerów. W ramach tego modelu współpracy przewoźnik zamierza docelowo pozyskać: 38 EZT, 52 lokomotywy elektryczne oraz 15 składów typu push-pull, zdolnych rozwijać prędkości do 160–250 km/h.

WAGONY I LOKOMOTYWY – INWESTYCJE W KOMFORT PASAŻERÓW

PKP Intercity konsekwentnie realizuje plany inwestycyjne. Tylko w ciągu ostatnich kilku miesięcy bieżącego roku spółka podpisała kolejne umowy na zakup i modernizację taboru. Już pod koniec lutego podpisano umowę o wartości 473,5 mln zł brutto z Fabryką Pojazdów Szynowych H. Cegielski w Poznaniu na zakup 55 nowoczesnych wagonów. Przewoźnik może skorzystać również z prawa opcji na kolejne 26 wagonów – wtedy wartość kontraktu wyniesie ponad 697 mln zł brutto. Wagony te mają trafić do PKP Intercity do 2022 r.

Pojazdy będą miały nowoczesny design, ergonomiczne fotele, klimatyzację, bezprzewodowy internet, łatwo dostępne gniazdka elektryczne. Będą zróżnicowane i dostosowane do potrzeb różnych grup pasażerów – przewoźnik kupi 30 wagonów przedziałowych: pięć pierwszej klasy, 18 drugiej klasy i siedem drugiej klasy przystosowanych do przewozu osób z niepełnosprawnościami, a także 25 wagonów bezprzedziałowych, w tym siedem z wieszakami na rowery.

Z nowoczesnych wagonów podróżni będą mogli korzystać w pociągach Express InterCity (EIC) docierających m.in. do takich miast jak Warszawa, Kraków, Zakopane, Bielsko-Biała, a także do Trójmiasta i Kołobrzegu.

Pod koniec maja PKP Intercity podpisało umowę z firmą NEWAG na zakup 20 nowych lokomotyw elektrycznych Griffin, z opcją na dodatkowe 10 pojazdów. Wartość zamówienia wynosi ponad 367 mln zł brutto, a w przypadku skorzystania z prawa opcji wzrośnie do ponad 551 mln zł brutto. Pojazdy będą rozwijać prędkość 160 km/h, co pozwoli efektywnie wykorzystywać zmodernizowane linie kolejowe. Będą to najnowocześniejsze lokomotywy w Polsce. Do PKP Intercity trafią w ciągu 30 miesięcy od podpisania umowy, czyli pod koniec 2020 r. Zakup, jako element projektu „Przyspieszamy komfortowo – unowocześnienie wagonów i zakup lokomotyw dla PKP Intercity S.A.", zostanie sfinansowany w części ze środków unijnych.

Nowe lokomotywy będą wykorzystywane do obsługi połączeń w całej Polsce, m.in. na trasach do Szczecina, Gorzowa Wielkopolskiego, Zielonej Góry, Kołobrzegu, Gdyni, Suwałk, Lublina i Przemyśla.

PKP Intercity nie tylko kupuje nowy tabor, lecz także unowocześnia już posiadany. W listopadzie 2017 r. podpisano umowę na modernizację wagonów z FPS H. Cegielski, a w kwietniu 2018 trzy umowy z PESA Bydgoszcz obejmujące w sumie 223 wagony pasażerskie z prawem opcji na kolejne 112. Łączna kwota przeznaczona na modernizacje to ponad 953 mln zł brutto – po skorzystaniu z prawa opcji wzrośnie ona do ponad 1 mld 431 mln zł brutto.

Wagony będą wyposażone w klimatyzację, wygodne fotele, gniazdka elektryczne, udogodnia dla osób z niepełnosprawnościami oraz bezprzewodowy internet. Modernizacja obejmie również monitoring, wzmacniacze sygnału GSM/LTE, toalety z zamkniętym obiegiem, wyciszenie wnętrza i oznaczenie miejsc alfabetem Braille'a.

Odnowione składy będą kursowały w całym kraju, m.in. na trasach do Świnoujścia, Szczecina, Zielonej Góry, Gorzowa Wielkopolskiego, Wrocławia, Krakowa, Przemyśla, Lublina, Olsztyna, Białegostoku, Kołobrzegu i Trójmiasta, a także m.in. przez Warszawę i Poznań.

Narodowy przewoźnik podpisał również umowę na modernizację 10 wagonów pierwszej klasy z konsorcjum spółek tworzących Grupę PESA. Wartość kontraktu opiewa na kwotę ponad 41 mln zł brutto. Odnowione pojazdy będą wyposażone m.in. w klimatyzację, wygodne fotele, Wi-Fi, gniazdka elektryczne z możliwością zasilania urządzeń z gniazda USB oraz tablice z informacją pasażerską.

Do końca roku na inwestycje związane z modernizacją i zakupem taboru przewoźnik może wydać jeszcze do 362 mln zł. Obecnie zostały ogłoszone i czekają na rozstrzygnięcie przetargi na zakup 12 nowych elektrycznych zespołów trakcyjnych o prędkości maksymalnej 160 km/h, a także na modernizacje: 14 EZT serii ED74, 20 lokomotyw elektrycznych EU/EP07 do prędkości 160 km/h i 13 lokomotyw spalinowych manewrowych SM42. Jeszcze w 2018 r. mają zostać ogłoszone postępowania m.in. na zakup 10 lekkich lokomotyw manewrowych, montaż urządzeń pokładowych systemu ERTMS/ECTS w lokomotywach EU44 oraz modernizację 10 wagonów gastronomicznych.

FINANSOWANIE INWESTYCJI

PKP Intercity, realizując ambitny plan inwestycyjny, korzysta z różnych źródeł finansowania, w tym ze środków własnych oraz pozyskanych z Unii Europejskiej. Łącznie z funduszy unijnych w ramach Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko 2014–2020 przewoźnik pozyskał ponad 653 mln zł dotacji dla projektów wartych prawie 2 mld zł brutto. Dzięki temu zmodernizuje 335 wagonów, zakupi 20 lokomotyw i kolejne 33 zmodernizuje, a także zainwestuje w stacje postojowe.

eprasa.pl db0df14551

Patriotyczne uniesienie

To było jedno z największych zgromadzeń Chorwatów w historii ich kraju. W ubiegły poniedziałek na ulice Zagrzebia wyszło ponad pół miliona ludzi. Witali swoich bohaterów narodowych, piłkarzy wracających ze srebrnym medalem i tytułem wicemistrzów świata z mundialu w Rosji

eprasa.pl

GORAN ANDRIJANIĆ

Tylko dwa wydarzenia można porównać z poniedziałkowym: koncert zagrzebskiego zespołu rockowego Prljavo Kazalište, który w 1989 r. na głównym placu miasta i pobliskich ulicach zgromadził według niektórych ocen nawet 300 tys. osób. Genialny koncert zespołu z patriotycznymi utworami pokazał otwartość narodu chorwackiego na niezależność, potwierdzoną rok później podczas pierwszych demokratycznych wyborów.

Drugie wydarzenie, dające się porównać z tym poniedziałkowym, to wizyta Jana Pawła II w Chorwacji w 1994 r. i msza św. w Zagrzebiu, w której wzięło udział prawie milion osób.

Według ocen policji podczas powitania chorwackich piłkarzy na placu zebrało się ok. 300 tys. Chorwatów, a towarzyszących im na ulicach podczas przejazdu z lotniska do centrum miasta było ponad 200 tys. Ludzie przyjechali ze wszystkich regionów kraju. Doszło do niezapomnianej eksplozji emocji, dumy narodowej oraz miłości do ojczyzny, jakich Chorwacja nie doświadczyła długo i – jak widać – było jej to bardzo potrzebne.

„Muszę ich jeszcze raz zobaczyć. Byłam w Rosji na meczu z Argentyną i to po urodzeniu dzieci był najbardziej ekscytujący dzień w moim życiu. Mało brakowało, żebym pojechała także na finał, ale koszty były zbyt wielkie, więc zrezygnowałam" – mówi chorwackim mediom Ivana Bajić, która do Zagrzebia przyjechała ze Slawonii, regionu Chorwacji przechodzącego aktualnie wielki gospodarczy kryzys.

SREBRO KOLORU ZŁOTA

Zagraniczne media pisały o „świętowaniu przegranej, jakiego nikt jeszcze nie widział". Z ich perspektywy to, co się stało w finale mistrzostw świata, to porażka. Z perspektywy Chorwatów to wielkie narodowe zwycięstwo. „Srebro koloru złota" – pisały chorwackie media o sukcesie, który przekroczył granice sportu i – jak twierdzą niektórzy – na zawsze przemienił chorwackie społeczeństwo.

Kraj, który w tym roku świętował 27 lat swojej niepodległości, wywalczonej w krwawej wojnie, naznaczonej wielką liczbą ofiar, nigdy nie potraktuje takiego osiągnięcia jako zwykłego sportowego sukcesu. Zwycięstwa chorwackich zawodników zawsze były dla mieszkańców tego kraju potwierdzeniem miłości do ojczyzny, która doświadcza ciężko wywalczonej wolności. Są okazją do wzmocnienia dumy narodowej. Wagi swoich osiągnięć są świadomi również sportowcy.

DZIECI WOJNY

Slaven Bilić, jeden z piłkarzy generacji, która w 1998 r. zajęła trzecie miejsce na MŚ, powiedział w jednym z wywiadów, że reprezentacja grała wtedy we Francji dla całej Chorwacji, ale przede wszystkim dla swoich rówieśników, którzy lata wojny spędzili na froncie, broniąc kraju przed agresją jugosłowiańskiej armii JNA oraz serbskich rebeliantów.

„Byliśmy sportowcami i nie poszliśmy na wojnę. Może podświadomie czuliśmy z tego powodu jakiś wstyd. Mieliśmy poczucie obowiązku wobec naszych przyjaciół. Chcieliśmy ich uszczęśliwić, grać dla nich. Bo gdyby ich nie było, niczego by nie było" – powiedział Bilić.

Dzisiejsza generacja także odczuwa ten „dług wobec ojczyzny". Stając przed setkami tysięcy ludzi, chorwacki trener Zlatko Dalić powiedział w poniedziałek: „Nie graliśmy w Rosji dla siebie. Graliśmy dla was wszystkich, dla Chorwatów mieszkających w kraju, dla tych z Bośni i Hercegowiny, i z całej diaspory. Graliśmy dla weteranów wojennych, bez których nie byłoby tej kraciastej koszulki, jaką mam teraz na sobie".

Jego piłkarze wiedzą, o czym mówi Dalić, ponieważ rzecz dotyczy zawodników, których dzieciństwo zostało naznaczone przez wojnę, których rodziny musiały zostawiać swoje domy, którzy mimo młodego wieku wiele przeszli w swoim życiu. To wszystko miało wielki wpływ na ich piłkarskie kariery i charaktery. Wyrzeźbiły ich piłka i wojna.

Na przykład taki Mario Mandžukić, zuchwały i agresywny zawodnik, który większość swojego dzieciństwa spędził jako uciekinier w Niemczech, pokazuje swój charakter i mówi wprost przed meczem z Argentyną: „Na boisku nie uznaję nikogo za lepszego".

A Luka Modrić? Człowiek ogłoszony najlepszym piłkarzem mundialu organizował swoje pierwsze treningi na parkingu hotelu dla uciekinierów w Zadarze, gdzie na jakiś czas w jednym małym pokoju musiała zamieszkać cała jego rodzina. Uciekli z domu po tym, jak czetnicy zamordowali jego dziadka, kiedy pasł bydło.

Ten sam Luka Modrić w meczu z Danią nie strzelił w przedłużonym czasie karnego, dlatego Chorwacja nie mogła wcześniej zakończyć niezwykle ciężkiego spotkania. Jakieś 10 minut później ponownie stanął 11 metrów od bramki przeciwnika i zupełnie na zimno zdobył wymarzonego przez Chorwatów gola. Człowiek, którego wzmocniło to, co go nie zabiło.

Podobne historie wpisują się w życie Vedrana Ćorluki czy Dejana Lovrena – także uciekinierów wojennych.

„Dzieci wojny Dalicia" – tak media nazwały swoją reprezentację piłkarską, a dziennikarz znanego kanału sportowego ESPN-a Gabriele Marcotti napisał o Chorwatach: „Kiedy się zatrzymują, za chwilę zaczynają grać od nowa. Bo kiedy ci tyle razy rozwalą nos, po jakimś czasie przestaje cię boleć. I grasz dalej. Tak jest z Chorwatami".

WSZYSTKO MOŻE SIĘ ZMIENIĆ

Sukces chorwackiej reprezentacji bez wątpienia ma szersze znaczenie niż tylko sportowe. Tak pisał przed finałem z Francją znany analityk Nino Raspudić: „Jesteśmy świadkami pewnego zwrotu w mentalności chorwackiej piłki, a miejmy nadzieję, że i w całym społeczeństwie. Nawet jeśli to brzmi trochę szowinistycznie, zrywamy z bałkańskim podejściem załatwiania problemów. Coś, co może tak emocjonalnie angażować ludzi – a myślę o sukcesach na MŚ – tym bardziej może mieć

Fot. Goran Jakus/Shutterstock.com

pl db0df1455

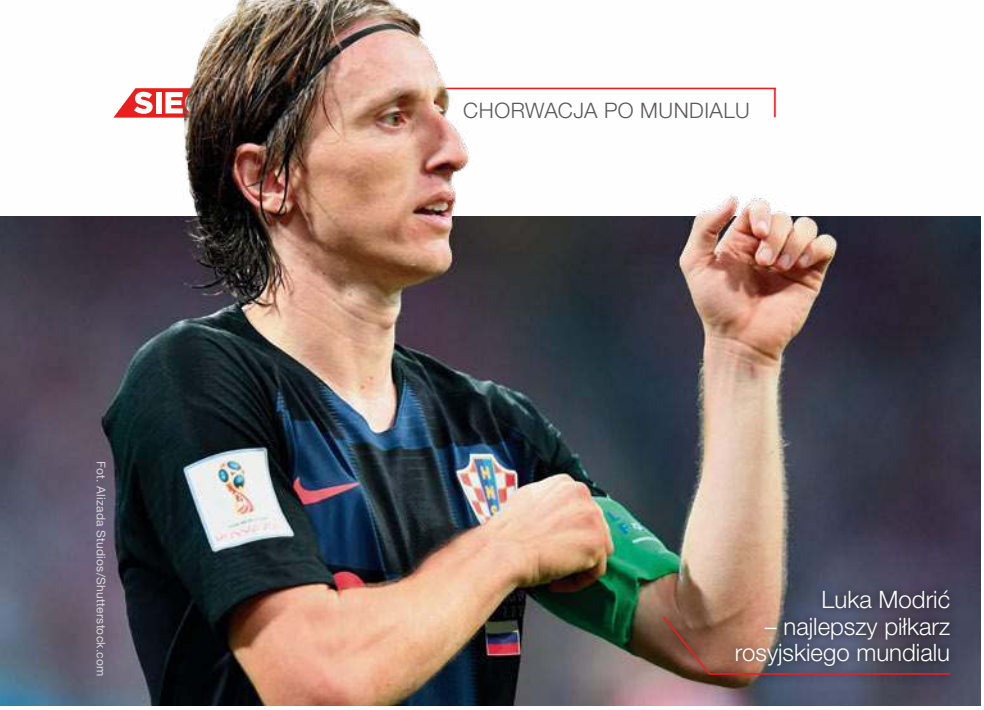

Fot. Alizada Studios/Shutterstock.com

Luka Modrić – najlepszy piłkarz rosyjskiego mundialu

pozytywne i bardzo realne konsekwencje dla narodu i państwa".

Po mistrzostwach w Rosji wszyscy zawodnicy otrzymali w Chorwacji status bohaterów narodowych. Ale chyba najbardziej zasłużył na niego trener Zlatko Dalić – człowiek, który w niespełna rok z zespołu trochę zagubionych piłkarzy stworzył zgraną i silną drużynę, która wygląda jak nowa. Pierwsze słowa, jakie trener chorwackiej reprezentacji wypowiedział po wielkim zwycięstwie jego drużyny nad Argentyną w fazie grupowej, brzmiały: „Musimy teraz pozostać spokojni, pokorni i dumni". Wezwanie do pokory odzwierciedla z pewnością jego katolicką wiarę. Dalić już nie raz mówił dziennikarzom, że regularnie uczestniczy w niedzielnej eucharystii i że widzi nieustanną obecność Boga w swojej rodzinie oraz całym życiu.

Trener i jego ekipa nie kryją, że Chorwatów motywują dodatkowo samoświadomość i duma narodowa. W Chorwacji wielkim echem odbiła się konferencja prasowa przed meczem z Anglią, podczas której jeden z brytyjskich dziennikarzy prowokacyjnie zarzucił trenerowi, że nie odpowiada na pytania w języku angielskim, tylko po chorwacku. Trener w odpowiedzi stwierdził, iż to jego świadoma decyzja, mimo że dobrze zna angielski. I dodał: „Pewnie nie oczekiwaliście nas w grupie czterech najsilniejszych reprezentacji piłkarskich świata, ale jednak tu jesteśmy, więc proszę pozwolić, abyśmy mówili po chorwacku, bo jesteśmy dumni z tego, że tu jesteśmy oraz z naszego kraju!".

Analityk polityczna Višnja Starešina widzi w sukcesie reprezentacji triumf młodych ludzi, „którzy od młodości byli wychowywani w systemie zachodnich wartości, ale w wielkiej świadomości narodowej", dzięki czemu stali się przeciwwagą dla mentalności postkomunistycznej, która wciąż włada w Chorwacji. „Ten sukces pokazuje, jak dużo Chorwacja potrafi i jak daleko mogłaby dojść, gdyby państwo i społeczeństwo nie były przez dziesięciolecia niewolnikami przeciętności, która może utrzymać swoją pozycję jedynie przez zduszanie wolności i dumy narodowej. Ta na nowo obudzona wiara w siebie i moc solidarności budzą lęk w fałszywych elitach, które są zamknięte w starych schematach komunistycznej Jugosławii" – napisała Višnja Starešina.

Chorwaci przez półtora miesiąca żyli w atmosferze, która oddaliła ich od codziennych problemów. A to one spowodowały masowy odpływ młodych i wykształconych obywateli na Zachód. Ale w rozmowach ze zwykłymi ludźmi daje się odczuć, że teraz może się to zmienić.

„Wiesz co? – napisał mi w esemesie przyjaciel, który mieszka na stałe w Szwajcarii, będąc pod wielkim wrażeniem odniesionego sukcesu – Myślę, że czas wracać do domu, dość mam tej Szwajcarii".

NA USTACH ŚWIATA

Czy to piłkarskie wydarzenie będzie naprawdę miało wpływ na sytuację w chorwackiej społeczności, zobaczymy. To, co jest na razie całkowicie pewne, to fakt, że Chorwacja dostała taki PR na świecie, za jaki nie mogłaby nigdy zapłacić. Oprócz piłkarzy dołożyła się do tego wizerunku prezydent kraju Kolinda Grabar-Kitarović. Zdjęcia pani prezydent ubranej w koszulkę reprezentacji, kiedy po zakończeniu finału rozemocjonowana, wzruszona i cała mokra przytulała każdego z zawodników, pocieszając ich po przegranej, obiegły cały świat.

Jak wyliczyli fachowcy, Chorwacja w swojej krótkiej historii nigdy nie była bardziej poszukiwanym hasłem w internecie niż właśnie podczas trwania MŚ w Rosji, nigdy nie pojawiła się w tylu mediach, co w ciągu kilku ostatnich dni, szczególnie po wygranej z Anglią i wejściu do finału. Ten bezpłatny marketing wzmocni zainteresowanie tym krajem i może mieć widoczny wpływ na wyniki w gospodarce, szczególnie w turystyce. Fachowcy przewidują, że w marcu przyszłego roku dojdzie w kraju do baby boomu – jednorazowego wzrostu współczynnika urodzeń, spowodowanego optymistyczną atmosferą, która panuje w Chorwacji. Nie byłoby to możliwe, gdyby nie chorwacka reprezentacja. O jej duchu opowiada taka mundialowa historia. Kiedy bramkarz Danijel Subašić poczuł rozrywający nogę ból podczas meczu z Rosją, Dalić od razu wysłał na rozgrzewkę rezerwowego zawodnika. Podczas pracy masażystów Subašić kazał przekazać trenerowi, że nie chce zmiany, a trener powinien zatrzymać tę możliwość dla jakiegoś bardziej zmęczonego kolegi.

„Powiedziałem mu: »Jeśli trzeba, będę bronił nawet na jednej nodze«" – opowiadał później Subašić, jeszcze jeden wielki bohater tych mistrzostw, który obronił aż cztery rzuty karne. Wszyscy Chorwaci wiedzą, że to nie była metafora – że Subašić mówił to na poważnie.

„Mały kraj o wielkich marzeniach" – to logo wypisane było na autobusie chorwackiej reprezentacji piłki nożnej. Niektóre z nich w ostatnich dniach już się spełniły, a to z powodu odważnego ducha i oddania, jakie pokazali Subašić i jego koledzy z boiska.

Tłum. Barbara Andrijanić

eprasa.pl db0df14551

Jak upadały mity

Fot. Shutterstock (x2)

Przed mundialem postawiliśmy tezę, że wiele wskazuje na zwycięstwo w turnieju najbardziej wartościowej drużyny w przeliczeniu na euro. Czyli Francji. Sprawdziło się. Pewnie, że pieniądze nie grają, wiele w futbolu wciąż zależy od szczęścia i trudno wycenić wynik, ale w przypadku drużyny Didiera Deschampsa nikt chyba dziś nie powie, że na tytuł nie zasłużyła

CEZARY KOWALSKI

Francuzi, jak przystało na prawdziwych mistrzów, nie rzucili wszystkich sił na pierwsze mecze w fazie grupowej, gdzie skromnie pokonali Australię 2:0, Peru 1:0 i zremisowali z Danią 0:0. Swoją prawdziwą twarz pokazali dopiero w następnych meczach. Przede wszystkim rozgrywając pasjonujące spotkanie z Argentyną, wicemistrzem świata z wielkim Leo Messim w składzie, zwyciężając 4:3. Trójkolorowi dwukrotnie w tamtym meczu przegrywali, a mimo to w pewnym momencie prowadzili już 4:2. Na tym etapie mistrzostw świata, w pojedynku z takim rywalem, zachowanie pełnej koncentracji i niepoddawanie się emocjom musiało świadczyć o wielkości zespołu, o mentalności mistrzów. W następnych grach z innymi znakomitościami tego turnieju, czyli Urugwajem i Belgią, Francuzi byli po prostu wyrachowani, świetni taktycznie, konsekwentni, zwarci jako zespół. A w wielkim finale z Chorwacją, której kibicowało dużo więcej niż pół świata, znów pokazali fantazję, rozmach i pomysł na futbol we współczesnym wydaniu.

MŁODOŚĆ WYGRYWA

Okazało się też, iż między bajki można włożyć teorie o tym, że drużyna, która coś wygrywa w wielkim turnieju, musi być dojrzała, zaprawiona w bojach. Przecież Francuzi, biorąc pod uwagę średnią wieku, byli najmłodszym zespołem na mistrzostwach obok Nigerii. Wielu zawodników z tej ekipy będzie mogło wystąpić jeszcze na kilku mundialach. Kylian Mbappé dopiero w grudniu skończy 20 lat. Owszem, można tu mówić o pewnej ciągłości, bo przecież Deschamps zaczął prowadzić ten zespół sześć lat temu. W 2014 r. doszedł do ćwierćfinału, ulegając nieznacznie Niemcom, i już wtedy mówiło się, że to początek czegoś wielkiego. Przed dwoma laty zdobył wicemistrzostwo Europy, ale jego rodacy kręcili nosem, bo jednak przegrał finał z wcale nie rewelacyjną Portugalią, i to podczas turnieju u siebie. Teraz w Rosji francuska fala osiągnęła największą wysokość, ale tak naprawdę to nie jest ten sam zespół, który rozpoczął grę cztery lata temu w Brazylii. Ba, nawet ten sprzed dwóch lat był mniej więcej w połowie inny. Kto wówczas słyszał o takich młokosach jak Mbappé, Ousmane Dembélé, Benjamin Pavard czy Lucas Hernández? Sama linia obrony, porównując te formacje z czasów pierwszych spotkań na Euro i mundialu, była zupełnie inna. A spośród tych zawodników, których z różnych względów pominął podczas nominacji francuski selekcjoner, można by zestawić jeszcze ze dwie drużyny, które poradziłyby sobie na mistrzostwach.

Deschamps ma po prostu tak duży wybór, tak mocno obrodziło w talenty we Francji, że nie przywiązuje się praktycznie do nazwisk. Pojawia się 19- czy 20-latek zdolny do tego, aby wzmocnić kadrę, to się go śmiało wstawia. Nawet do pierwszego składu, nawet na kluczowe pozycje. Nie ma świętych krów, jak to przed laty bywało, a Deschamps, wybitny reprezentant Francji, mistrz świata z 1998 r. i Europy z 2000, doskonale to pamięta.

Jeśli brać Francję jako przykład światowych piłkarskich trendów, to właśnie ten fakt rzuca się w oczy najbardziej. W tej drużynie nie ma (przynajmniej na razie) jednej gwiazdy, która swoją grą i osobowością wybija się zdecydowanie ponad resztę. Każdy jest świetny. Wielu z nich ma wszelkie możliwości, aby być kimś takim już niebawem, ale jednak czegoś im do tego brakuje. I chyba dobrze, że brakuje. Taki Paul Pogba, który już kilka lat temu był okrzyknięty wielką gwiazdą światowej piłki i w swoim czasie był zawodnikiem, za którego zapłacono najwięcej na świecie, miał ciągoty do zadzierania nosa, bawienia się show-biznesem. Był jak rozkapryszone, obrzydliwie bogate dziecko, które myślało, że świat musi się kręcić tylko wokół niego. To już jednak przeszłość. W Rosji Pogba pierwszy raz nie grał pod siebie, ale dla zespołu. Harował na niego od samego początku, a w wielkim finale dostał jeszcze bonus, bo strzelił pięknego gola. Nie ma wątpliwości, że to zasługa Deschampsa, który pracował nad zawodnikiem od lat, rozmawiał z nim, ściągał do kadry psychoterapeutów. Potrafił go okiełznać, opanować osobiste ambicje, w jakiś sposób do niego dotrzeć i przekonać, że drugim Michelem Platinim czy Zinédine'em Zidane'em (a na kogoś takiego go kreowano) nie będzie nigdy, że ten zespół jest po prostu inny.

Ta umiejętność odpowiedniego powstrzymywania swoich graczy bez jednoczesnego podcinania im skrzydeł to klucz do sukcesu Deschampsa. Nikt mu nie powie, że miał samograja, który i tak musiałby zdobyć medal na tym turnieju, bo potencjał poszczególnych zawodników, ich wartość rynkowa są niepodważalne. Wbrew pozorom zepsuć to można było bardzo łatwo. Nie jest wcale trudno sobie wyobrazić skłóconych Francuzów,

eprasa.pl db0df14551

którzy nie wychodzą z grupy, albo nawet sytuacji, w której niektórzy gracze są wyrzucani z drużyny w trakcie turnieju, bo bywało przecież tak we wcześniejszych latach. Kawał dobrej dyskretnej roboty jednak selekcjoner wykonał i ostatecznie zamknął usta swojemu byłemu koledze z reprezentacji Éricowi Cantonie, który drwił z niego, mówiąc: „Didier jest w reprezentacji od noszenia wody".

Trudno też podważyć ten sukces, przypominając, że turniej ma to do siebie, iż nie trzeba grać ze wszystkimi najlepszymi drużynami, aby go wygrać. Francuzi trafili akurat do tej silniejszej strony drabinki i mieli bardzo mocnych rywali na swojej drodze.

> Klęski piłkarskich potęg to był smaczek tego turnieju. Okazało się, że Niemcy nie muszą zawsze wygrywać, że niekoniecznie Brazylia ma zagwarantowane miejsce w półfinale, że Hiszpania zajdzie wysoko. Wróciła Anglia, pojawiła się Belgia, a doświadczenie przegrało z młodością

ZESPOŁOWOŚĆ, A NIE GWIAZDY

Chorwacja, która dobrnęła do finału z drugiej strony drabinki, nie miała aż tak mocnych rywali, ale kto za parę lat będzie o tym pamiętał. Sukces Chorwacji burzy jednak narzucaną w pewnych kręgach narrację o tym, że we współczesnej piłce reprezentacyjnej liczą się tylko zespoły wzbogacone przez potomków imigrantów (stanowią oni ok. 80 proc. składu Francji). Jakiś zachodni publicysta w braku imigrantów dopatrywał się nawet przyczyn klęski Polaków na mundialu. A co bardziej gorliwi zwolennicy polityki multikulti mistrzostwo dla Francji uznali za swój ostateczny ideologiczny triumf. Awans do finału Chorwacji, w której potomków imigrantów nie ma, przeczy tym teoriom.

Jeden wspólny mianownik w tak różnych drużynach jak te, które zagrały w finale, można jednak znaleźć. To trenerzy, którzy postawili na zespołowość kosztem gwiazd. Zlatko Dalić, czyli człowiek znikąd, który objął drużynę tuż przed końcem eliminacji, podobnie jak Deschamps zdołał nakłonić najważniejsze postaci w zespole, aby powstrzymały swoje interesy i oddały wszystko, co mają najlepszego, dla drużyny. Chorwacki raper mieszkający w Polsce – Red – jeszcze przed turniejem powiedział, że tę drużynę stać na wszystko. „Równie dobrze może się to zakończyć fiaskiem i ogromną awanturą, jak i mistrzostwem świata".

Awantura już się kroiła, bo jeszcze w fazie grupowej z drużyny wyrzucono świetnego napastnika Nikolę Kalinicia. Ostatecznie jednak skromny trener, gorliwy katolik i raczej sympatyczny kolega niż trener zamordysta potrafił pogodzić bałkańskie charaktery i stworzyć z nich zespół. To też jest symptomatyczne. Przecież ani Deschampsa, ani zwłaszcza Dalicia nikt nie stawiał w gronie czołowych trenerów. Podobnie jak szkoleniowców drużyn, które zajmowały miejsca numer trzy (Belgia prowadzona przez Roberta Martíneza) i numer cztery (Anglia – przez Garetha Southgate'a). A może w obecnej piłce reprezentacyjnej na poziomie mistrzostw chodzi o to, aby trenerzy nie byli centralnymi postaciami, aby za bardzo nie przeszkadzali i raczej godzili, niż wprowadzali twórczy ferment?

Wielu już dziś się zastanawia, jak będzie wyglądała piłka nożna po zakończeniu kariery przez Messiego i Ronaldo. Oczywiście show będzie trwać, tak jak w zawodowej koszykówce po odejściu Jordana i kilku innych. Wydaje się jednak, że coś się zmieni. Będzie to chyba w jeszcze większym stopniu sport zespołowy. Namiastkę tego widzieliśmy w rosyjskim turnieju. I co z tego, że Ronaldo wbił trzy gole Hiszpanii oraz rozpoczął ten turniej, jakby chciał go wygrać w pojedynkę? I co z tego, że Messi sam urządzał odprawy swoim kolegom i tłumaczył, jak mają grać, a trener Jorge Sampaoli pytał go podczas meczu, kogo i kiedy ma wpuścić na boisko? Piłkarskie ikony XXI w. szybciutko pojechały do domu.

Tak jak Portugalia czy Argentyna po prostu dziś już się nie gra. Pokazały to choćby w teorii takie przeciętne zespoły jak Szwecja, Rosja czy nawet Anglia. Czasy, w których jeden Pelé, Maradona, Messi czy Ronaldo ciągnęli swoją ekipę po medale, wszystko się na nich skupiało, a reszta była tylko do pomocy, mijają.

WIELCY NIE MUSZĄ WYGRYWAĆ

Mija też futbol oczywistości. To wcale nie jest tak, że zawsze muszą wygrywać Niemcy, że zawsze w turnieju muszą być Włosi i Holendrzy, że Brazylia ma gwarantowane miejsce w półfinale, że Hiszpania musi się liczyć, a Iran czy Maroko nie potrafią grać w piłkę.

Klęski piłkarskich potęg to był smaczek tego turnieju, coś ekstra, co bez wątpienia zaskakiwało i sprawiało, że turniej nie był nudny. Rozczarowaniem okazało się na pewno to, że być może właśnie przez tę preferowaną grę zespołową zabrakło zawodników, których możemy dziś określać mianem odkryć turnieju. Choćby jednego takiego gracza, jakim był przed czterema laty Kolumbijczyk James Rodríguez.

Generalnie doszukiwanie się jakichś znaczących trendów na mundialu w Rosji jest trudne. Owszem, wiele bramek padało po stałych fragmentach gry, największą rolę odegrały zespoły europejskie, szybko odpadły piłkarskie potęgi. Ale jaka jest gwarancja, że za cztery lata nie będzie dokładnie odwrotnie?

To jest w sporcie naturalna sytuacja, kiedy raz na jakiś czas po prostu się przegrywa. Gorzej, że ta zasada nie dotyczy naszej drużyny na mundialach. My jesteśmy tu bardzo konsekwentni. FIFA sklasyfikowała drużynę Adama Nawałki na 25. miejscu w turnieju (startowały 32 zespoły). To niestety rezultat dużo gorszy niż przeciętny...

Autor jest komentatorem Polsatu Sport

eprasa.pl db0df14551

Poszukiwany żywy lub martwy

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Czy gigantyczny wąż w Wiśle pod Warszawą jest wakacyjnym wymysłem, czy rzeczywiście gdzieś tam, w nadbrzeżnych gęstwinach, niczym w birmańskiej dżungli, sunie z wolna cielsko sześciometrowego pytona tygrysiego? Jeżeli to prawda, mamy do czynienia z niespotykanie wielkim gadem, być może największym przedstawicielem swojego gatunku. Gdzie jest teraz? Co wydarzy się dalej?

Czy w Polsce możliwe jest powtórzenie scenariusza z Florydy, gdzie pytony tygrysie, zawleczone daleko poza swój naturalny region występowania, rozmnożyły się i osiągając niebywałe rozmiary, stały się plagą dziesiątkującą wszelkie stworzenia?

Wreszcie – czy taki wąż może być niebezpieczny dla człowieka, czy może zgruchotać kości swymi splotami, a później, jakby w spowolnionej scenie z horroru, połknąć w całości i zaszyć się w kryjówce, by przez tygodnie trawić ofiarę?

W tej historii jest przynajmniej kilka tropów, które można spróbować naświetlić już teraz. Ostateczne wyjaśnienie i poznanie konsekwencji jest jeszcze odległe. Na odpowiedzi będziemy musieli poczekać dłużej, znacznie dłużej niż na odnalezienie węża.

NAJWIĘKSZY

Jak poinformował oficer prasowy komisarz Jarosław Sawicki, w niedzielę 8 lipca 2018 r. do komendy policji w Piasecznie trafiła informacja, że nad brzegiem Wisły w rejonie miejscowości Gassy, gmina Konstancin-Jeziorna, 20 km od centrum Warszawy, znaleziona została zrzucona przez wielkiego węża wylinka (tak nazywa się cyklicznie zmienianą, zewnętrzną, zrogowaciałą warstwę naskórka).

Pierwszymi, którzy z poświęceniem zaangażowali się w sprawę, była fundacja Animal Rescue Poland działająca na rzecz zwierząt. Po potwierdzeniu informacji, że skóra jest prawdziwa i pochodzi od pytona tygrysiego, utworzony został sztab, w którego skład oprócz fundacji i policji włączyli się Powiatowe Centrum Zarządzania Kryzysowego, Straż Pożarna, myśliwi, wędkarze, offroadowcy...

Co wiemy o wężach tego gatunku? Pytony tygrysie *Python molurus* bivittatus dorastają olbrzymich rozmiarów, ustępując nieznacznie tylko pytonom siatkowym i anakondom zielonym. Największy osobnik trzymany w niewoli, samica imieniem Baby, hodowana w herpetologicznym zoo w centrum handlowym Gurnee Mills pod Chicago, ważyła 183 kg i miała 5,74 m długości. Istnieją informacje o jeszcze dłuższych pytonach tygrysich, osiągających 7 m. Ich naturalny zasięg to tropiki południowo-wschodniej Azji, lasy i tereny podmokłe. Są drapieżne – polują z reguły na mniejsze zwierzęta, chociaż znane są przypadki pożerania przez nie dużych zwierząt kopytnych. W otoczeniu orientują się, wysuwając i chowając język wyposażony w czułe komórki węchowe. Do lokalizowania ofiary używają dołków wargowych wykrywających promieniowanie cieplne i będących narządami o niezwykłej czułości.

Co wiemy o pytonie podwarszawskim? Skóra zrzucona przez tego osobnika, znaleziona nad Wisłą, mierzyła pół metra obwodu i 5,3 m długości – niewiele mniej niż u rekordowo wielkiej samicy z USA. Z jednej strony wylinka mogła ulec pewnemu rozciągnięciu. Nawet jednak w takim przypadku wąż musi być wyjątkowo wielki.

Z drugiej strony nie wiadomo, czy odnaleziono całość odpowiadającą rzeczywistej długości gada. Jeżeli nie, istnieje pewne prawdopodobieństwo, że warszawski pyton, jakkolwiek niewiarygodnie by to brzmiało, jest największym z pytonów tygrysich w historii.

Teren, w którym być może przebywa wąż – nadrzeczne, wilgotne lasy i zarośla – letnią porą bardzo przypomina środowisko naturalne tego gatunku. Sądząc po rozmiarach, pyton tygrysi znad Wisły może być samicą mającą prawdopodobnie kilkadziesiąt lat i zdolną do rozmnażania. Znane są

Fot. Shutterstock

eprasa.pl db0df14551

w Polsce przypadki schwytania egzotycznych węży, uciekinierów lub wypuszczonych z nielegalnych hodowli, które okazały się samicami noszącymi zapłodnione jaja. Współpracowałem kilka lat temu z lekarzem weterynarii, do którego trafiła znaleziona w mieście samica jadowitego grzechotnika. Po krótkim czasie w terrarium złożyła jaja, z których wykluło się pięć młodych grzechotników. Do zapłodnienia musiało dojść niewiele wcześniej. Gdzieś musiał być więc samiec, a być może była cała hodowla grzechotników. Nigdy jednak, poza tym jednym osobnikiem, nie natrafiono na ich ślad.

ZOOLOGICZNE PRZESTĘPCZE PODZIEMIE

Zwierzęta funkcjonujące w podziemnym zoologicznym półświatku, poza oficjalnym systemem, nie są rzadkością – są zjawiskiem zatrważająco częstym. Ogół społeczeństwa nie ma z nimi do czynienia. Informacje o ich istnieniu przedostają się do publicznej wiadomości sporadycznie. Skąd się biorą? Ich pochodzenie jest tak różne jak pochodzenie członków XVII-wiecznej wspólnoty zaporoskiej. I tak jak na Siczy zaporoskiej, pochodzenie takich pozarejestrowych osobników okryte jest tajemnicą.

Każdy, kto wchodzi w posiadanie egzotycznego zwierzęcia, powinien się upewnić, czy nie podlega ono obowiązkowi rejestracji. Rejestry takie, oparte na międzynarodowym prawie z zakresu ochrony przyrody, prowadzone są w każdym starostwie. Zwierzęta rejestruje się w miejscu, w którym są przetrzymywane.

Tyle mówi teoria. System rejestracji ma ograniczać nielegalny handel zwierzętami, np. schwytanymi w naturalnym środowisku. Przestępcze zyski z obrotu zwierzętami i częściami ich ciał są gigantyczne. To biznes tak dochodowy jak handel narkotykami i bronią. System rejestracji jednak w dużej mierze jest niestety teorią, podobnie jak wiele innych zabezpieczeń, które mają za zadanie walkę z karygodnym procederem. Sprawdzanie rejestrów zwierząt egzotycznych w starostwach jest jednym z tropów w przypadku węża spod Warszawy. Najprawdopodobniej jednak, podobnie jak wiele innych zwierząt, nie tylko węży, nigdy w żadnym takim rejestrze nie był. Jakiś czas temu pewien hodowca – człowiek o barwnym i ekstrawaganckim stylu bycia – trzymał w swoim mieszkaniu liczne jadowite węże, w tym kobry. Pewnego dnia znaleziono go w domu martwego. Nie żył od kilku dni. Podejrzewano zresztą śmierć na skutek ukąszenia. Co się stało z wężami, na których jad nie ma w Polsce antidotum? Nie jest to do końca jasne...

TYMCZASEM W PRZYSZŁOŚCI

Tak więc w przypadku pytona tygrysiego znad Wisły można rozważyć kilka scenariuszy. Dopóki zwierzę nie zostanie schwytane lub zaobserwowane przez wiarygodnych świadków, znalezienie skóry i niezbyt wyraźnych śladów nie jest dowodem jego bytności. Nie można jednak jej wykluczyć. Niezależnie od tego nie można też wykluczyć, że taka sytuacja się nie powtórzy. Z pewnością się powtórzy, gdyż węże te są w Polsce często hodowane.

Przypadki zaatakowania ludzi przez wielkie pytony są bardzo rzadkie, nawet tam, gdzie węże te są liczne. Przypadki śmiertelne są jeszcze rzadsze, jednak zawsze gdy mamy do czynienia z dużym zwierzęciem, w dodatku drapieżnikiem, należy zachować daleko posuniętą ostrożność – szczególnie jeśli chodzi o dzieci.

Czy możliwe jest, aby pyton tygrysi zadomowił się w Polsce na dłużej? Lub by w naszym kraju powstała inwazyjna, rozmnażająca się populacja tego gatunku, jak na bagnach Parku Narodowego Everglades na Florydzie, gdzie wypuszczone przez ludzi, obce środowisku azjatyckie pytony rozmnożyły się, pożerając tamtejszą faunę i doprowadzając wiele zwierząt na skraj wymarcia (gdy tymczasem na swoim rodzimym, azjatyckim obszarze występowania pytony są gatunkiem zagrożonym)?

Czy węże, zwłaszcza w przypadku łagodnej zimy, nie mogłyby znaleźć schronienia np. w piwnicy, jaskini, kanale, w których byłoby na tyle ciepło, by mogły przetrwać do kolejnego sezonu? Pytony tygrysie potrafią zapaść w letarg pomagający przeżyć ochłodzenie. Mogą się też obyć bez pożywienia kilka miesięcy. Jeżeli ochładza się podczas rozwoju jaj, samica oplata je ciałem, a jej mięśnie zaczynają drgać. Temperatura ciała węża podnosi się o kilka stopni, ogrzewając jaja.

Biorąc jednak pod uwagę, że już przy temperaturze 23 °C zarodki zamierają, musiałoby zajść wiele korzystnych dla węży zbiegów okoliczności, aby młode pytony mogły się wykluć w stanie dzikim w Polsce. Powstanie samodzielnej populacji to tym bardziej zoologiczne science fiction. Ponieważ przyroda często pozostawia sobie ostatnie słowo, złagodźmy wydźwięk zwrotu „science fiction" wyrazem „niemal".

eprasa.pl db0df14551

TOMASZ JAKUBIAK | KUCHARZ

Tata da radę

Mieliśmy wielkie szczęście wychować się w domu, w którym i mama, i tata świetnie gotują. Do dziś opowiadamy wszystkim o tym, jak dochodziło u nas do codziennych kłótni, kto robi kolację. Czasami wyglądało to jak zawody – kto pierwszy wbiegł do kuchni, ten wygrywał. Najczęściej jednak przyrządzane były dwa osobne dania. Ponieważ mieszkaliśmy z babcią, ona robiła trzecie, po swojemu, jeszcze w ciągu dnia, kiedy rodzice byli w pracy. W ten oto sposób codziennie stawaliśmy przed trudnym wyzwaniem – musieliśmy wybierać, którą kolację zjeść, aby wszyscy byli zadowoleni" – piszą w książce „Ugotuj mi tato" (Edipresse) popularny kucharz Tomasz Jakubiak i jego siostra Joanna.

Przywołując zdanie powtarzane zgodnie przez mamę i tatę, że „rodzina zaczyna się przy stole", pokazują, jak przekonać dzieci do zdrowego jedzenia (a tatusiów, by na dłużej zagościli w kuchni) i co zrobić, by wspólne przygotowanie posiłków stało się fantastyczną familijną przygodą.

Odczarowują stereotyp mężczyzny, który potrafi dzieciom ugotować jedynie makaron, ewentualnie zamówić pizzę. Podpowiadają, jak nawet najbardziej oporny tata, bez kompleksów, kierując się prostymi przepisami, może działać w kuchni. A nawet stać się kulinarnym superbohaterem.

Sprawdzają się klarowne przepisy, podawane bez udziwnień, „zadaniowe", co ułatwia kulinarne działanie ojcom. Panowie dostają do ręki podstawowe narzędzia i wiedzę (np. na temat rodzajów makaronów) oraz przydatną bazę (to m.in. umiejętność przyrządzania rosołu, który można zamrozić w porcjach i mieć pod ręką w ciągu zapracowanego tygodnia, traktując jako podstawę do najróżniejszych zup).

Nie brak też sprytnych pomysłów. Na przykład na chrupiącą panierkę do kurczaka z pokruszonych płatków kukurydzianych lub zielone zabarwienie makaronu (na ostatnie dwie minuty dorzucamy groszek). Są też przepisy na zdrowe fast foody, do których najlepiej pasuje domowy ketchup. Jego wykonanie jest banalne (sparzone wrzątkiem pomidory, obrane ze skórki, dowolnie pokrojone dusi się na małym ogniu przez 40 minut, potem doprawia cebulą, czosnkiem i wydrążoną oraz pokrojoną papryką; z tymi składnikami dusi jeszcze przez 15 minut, a następnie miksuje i jeszcze pół godziny trzyma pod przykrywką na małym ogniu). Do smaku doprawia się miodem (najlepiej wrzosowym lub lipowym), garścią świeżej bazylii, octem winnym i odrobiną soli.

Zainspirowany przez Tomasza Jakubiaka tata może też wyczarować w kuchni coś na słodko i zarazem zdrowo, a bywa, że i ekonomicznie, gdy wykorzysta wyciśniętą z soku marchewkę jako podstawę do ciasta.

Jolanta Gajda-Zadworna

Szybkie ciasto marchewkowe z odpadów po soku

Składniki: 250 g trocin z marchwi, 80 g mąki owsianej, 1,5 łyżki oleju kokosowego, 2 łyżki miodu, łyżeczka proszku do pieczenia, łyżeczka cynamonu, 2 duże jajka, 100 g bakalii (rodzynki, orzeszki ziemne, żurawina), 50 g czekolady gorzkiej (min. 70 proc.) do ozdoby ciasta (można pominąć).

Przygotowanie: Białka jaj ubij na sztywną pianę, następnie powoli dodawaj żółtka. Wymieszaj. Do masy jajecznej dodaj pulpę z marchwi lub startą marchewkę i olej kokosowy. Bakalie drobno posiekaj i dodaj do masy. Następnie dodaj miód, mąkę owsianą, proszek do pieczenia i cynamon. Piecz 50–60 minut w 180°C z funkcją termoobiegu. Udekoruj roztopioną gorzką czekoladą.

Fot. Mat. prasowe, Shutterstock (x3)

eprasa.pl db0df14551

SŁODKO-SŁONY

Wakacyjne wałkowanie

ANNA MONICKA

Co decyduje o jakości pierogów? Dobre nadzienie czy ciasto? Szkoły są dwie, jak zwykle. Dla mnie ciasto to podstawa. W grubej rozgotowanej i ciężkiej skórze nie smakuje mi nawet najlepszy farsz, nic na to nie poradzę.

Sama dotychczas robiłam pierogi niechętnie, no, może poza wczesnym dzieciństwem, kiedy człowiek jeszcze nie wie, co to instynkt samozachowawczy, ma za to wielką wiarę w swoje możliwości i patrzy z optymizmem na górę mąki i wiadro zmielonego mięsa. Później wolałam jednak kupić ruskie od utalentowanej kulinarnie sąsiadki. W te wakacje moje podejście do pierogów się zmieniło.

Najlepsze, bez jajek, robi moja koleżanka, a filmik z przepisem znalazła hen daleko, na japońskiej czy wietnamskiej stronie kulinarnej. Postanowiłyśmy potrenować na wspólnym wyjeździe z dzieciakami – to taka nasza tradycja. Najpierw farsz – w wersji light mielony indyk ugnieciony z masłem (ważne, bo to chude mięso i bez dodatkowego tłuszczu kulki wyszłyby za twarde), majerankiem, solą, pieprzem, chilli i zmielonym czosnkiem. Ale może być mielona szynka wieprzowa albo łopatka lub bób z miętą lub lubczykiem. Świetnie smakuje mieszanka kaszy gryczanej i kapusty kwaszonej; ze skwarkami lub bez.

Na ciasto potrzebna tylko mąka (najlepsza jest pięćsetka poznańska lub szymanowska), woda, odrobina soli i oliwa. Woda koniecznie wrząca, żeby gluten się dobrze rozkleił, dzięki czemu ciasto będzie elastyczne nawet wtedy, gdy je rozwałkujemy cienko, jakby była to kalka techniczna. Sprawdzone proporcje to pół kilo mąki, szklanka wrzątku, łyżeczka soli i oliwy. Do mąki dolewamy wrzątek, mieszamy trzepaczką (uwaga, gorące!), a potem zagniatamy i wyrabiamy ciasto na elastyczną masę, następnie po kawałku wałkujemy na posypanej mąką stolnicy. Ciasto trzymamy w torebce ze struną, żeby nie schło. To tyle – wykrawamy szklanką, nadziewamy, sklejamy i gotujemy w osolonej wodzie z oliwą. Podajemy od razu, najlepiej z sosem – może być jogurtowy z czosnkiem, może być sojowy z oliwą. Niektórzy lubią odsmażane, ale dla mnie najlepsze są świeżo wyjęte z wody.

Ciasto możemy zamrozić, jeśli nam wyszło za dużo, podobnie jak surowe lub gotowane pierogi. Układamy je na tackach, żeby się nie pokleiły.

WILCZYM OKIEM

Siatka na borówki

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jakiś czas temu na koniec wizyty w szacownej instytucji zostałem obdarowany solidną porcją broszur i materiałów reklamowych. Nie mając do czego ich zapakować, poprosiłem o siateczkę.

Wyjaśnię od razu, że działo się to w Warszawie, natomiast ja pochodzę z Krakowa, w którym to mieście nie tylko używa się często innych słów niż w pozostałych regionach Polski, lecz również z lubością zdrabnia się wyrazy.

Konsternacja moich rozmówców poproszonych o siateczkę uświadomiła mi zaistnienie trudności komunikacyjnych. Poprawiłem się więc: „To znaczy siatkę poproszę". Bezskutecznie. Dopiero język gestów przyniósł nić porozumienia. „Hm, możemy dać panu torbę" – usłyszałem w końcu i poczułem się jak przedstawiciel plemienia zbieraczy z plecioną torbą zawieszoną na czole dla zapewnienia swobody rękom, stojący przed przedstawicielami światłej cywilizacji. „Siatka" to w Krakowie synonim torby na zakupy, reklamówki itp. (na straganie: „Zapakować borówki? Dziękuję, mam swoją siateczkę").

Podobnie sprawa ma się właśnie z „borówką". To wyraz w różnych rejonach Polski używany błędnie. Jagoda to w rozumieniu nauk botanicznych typ owocu wyróżniony ze względu na swoją budowę. Jagodą jest winogrono, arbuz, a także borówka.

W Polsce przedstawicielami borówek są borówka brusznica, borówka bagienna oraz przedmiot moich wywodów – borówka czarna *Vaccinium myrtillus*. Jeżeli prosimy więc o lody jagodowe, popełniamy może nie błąd, ile wyrażamy się nieprecyzyjnie – teoretycznie moglibyśmy otrzymać lody pomidorowe, gdyż pomidory ze względu na budowę owocu również zaliczają się do jagód.

W Krakowie i w przyległych obfitujących w te arcyzdrowe owoce górach określenie „borówki" jest w powszechnym użyciu. Zupełnie zrozumiały jest także ten quasi-związek frazeologiczny „siatka na borówki". Jeżeli ktoś chciałby pozostać przy jagodach, łatwiej zostanie zrozumiany, jeżeli posłuży się zdrobnieniem „jagódki" – taki infantylizm poczytany zostanie jako wyraz grzeczności i chęć nawiązania przyjaznych stosunków z krakowiakami tubylcami.

Mimo pewnej znajomości jagodowo-borówkowych meandrów sam dałem się zaskoczyć, kiedy w innym regionie Polski zostałem poinformowany przez sprzedawcę, że jagodzianki, owszem, są, ale tylko z serem.

eprasa.pl db0df14551

Koniec taryfy ulgowej

PIOTR SKWIECIŃSKI

Niedawno pisałem w tym miejscu, że jedną z przyczyn tego, iż nawet ci Polacy, którzy nie zgadzają się z wieloma elementami polityki PiS, nie są skłonni przyłączyć się do opozycji, jest to, że widzą ogromną potęgę wrogów tegoż PiS, czyli elit III RP. „Potęgi tych środowisk – pisałem – doznawali ci Polacy przez dekady, a po 2015 r. została ona w ich oczach naruszona w niewielkim jedynie stopniu. I codziennie, gdy otwierają telewizor, odpalają internet czy rozmawiają z kimś, kto ma coś do czynienia z najbliższą im władzą lokalną, potwierdza im się wizja trwania tej potęgi. Nie obawiają się więc efektów naruszenia zasady »check and balance«; intuicyjnie uważają raczej, że dopiero teraz ów balans staje się realny".

Z braku miejsca nie napisałem wówczas, że taka sytuacja nie jest wieczna. A obecnie postępują procesy korzystne dla rządzących w każdym sensie oprócz właśnie tego, o którym mowa, bo zmieniające ów pod względem piarowskim – paradoksalnie – korzystny dla władzy stan. Po prostu ta potęga III RP, o której pisałem, jest realna, lecz słabnie. I jeśli tak dalej pójdzie, trudno będzie utrzymywać narrację o władzy będącej wprawdzie emanacją większości, ale zarazem zaszczutej i niemal partyzanckiej w swoim statusie.

Myślę m.in. o dwóch procesach. Pierwszym z nich jest ewidentne wygrywanie przez rządzących starcia o sądownictwo. Nie wchodząc tu w dyskusję, czy decyzja o frontalnym starciu ze środowiskiem prawniczym była słuszna i czy inna strategia nie dałaby długofalowo lepszych owoców, trzeba stwierdzić oczywistość: większość sędziowskiej elity nastrojona jest politycznie przeciw formacji IV RP, a także uzurpuje sobie prawo do de facto sprawowania w kraju realnej władzy. Wielu to dostrzega, i ci dostrzegający właśnie dlatego są nastrojeni sceptycznie wobec tez o zagrożeniu demokracji przez PiS.

Drugi proces zaś to ewidentna zmiana sytuacji medialnej. Już od dawna nie można mówić o jego zmonopolizowaniu przez ośrodki antyprawicowe; w ciągu ostatnich dziesięciu lat trwało stopniowe przemodelowywanie tych realiów. Przejęcie przez PiS mediów publicznych stanowiło przełom, wciąż jednak istniała nierównowaga. Na niekorzyść formacji IV RP, oczywiście.

Ale dziś następuje coś, co ową nierównowagę radykalnie niweluje. Myślę tu o zmianach w Polsacie, największej telewizji prywatnej. Dotąd była ona wprawdzie od TVN spokojniejsza, niemniej dawało się w niej wyczuć antyprawicowe nastawienie. Od krótkiego czasu postępuje jednak proces reorientacji stacji w stronę nie tyle jej upisowienia, ile zrównoważenia czy ucentrowienia.

A to stwarza sytuację nową. Kiedy nowy układ medialny, jeśli idzie o wciąż dominujące informacyjnie i perswazyjnie telewizje, zaczyna wyglądać tak: agresywnie propisowska TVP, wściekle antypisowski TVN, a między nimi zrównoważony Polsat, to doprawdy trudno, nawet usilnie naginając rzeczywistość, mówić o prześladowanej władzy heroicznie walczącej z przeważającymi siłami zła. Oczywiście będą i kontynuatorzy tej narracji; niektórym po prostu trudno się rozstać z kliszami, które nie dość, że długo były prawdziwe, to jeszcze ich ukształtowały. Niemniej jednak będzie ona coraz mniej wiarygodna. I przykra okoliczność, że nowa sytuacja jest pozbawiona gwarancji trwałości, bo kiedy tylko PiS wybory przegra, to TVP zostanie natychmiast odwrócona, a Zygmunt Solorz zawrze układ z nową władzą, wiarygodności owej narracji nie przywróci.

Coraz trudniej utrzymywać narrację o władzy zaszczutej i niemal partyzanckiej

To, co się dzieje w sądownictwie i w mediach, oczywiście działa na korzyść rządzących. Będą po prostu silniejsi. Inna rzecz, że polska prawica ma tak silną tendencję do egzaltowania się własną martyrologią, że nawet tego nie zauważy i dalej będzie myśleć o sobie jako o powstańczej partii z 1863 r. ściganej przez Kozaków po bagnach. Ale ludzie spoza rdzenia prawicy zmianę dostrzegą. Co w pierwszym wymiarze będzie dla władzy korzystne, bo ludzie oczywiście lubią trzymać z silnymi; zasadnicza redukcja antypisowskiego przekazu medialnego też rzecz jasna będzie dla rządzących dobra.

Ale istnieje również drugi wymiar sprawy. Idzie oczywiście o opisane na wstępie zjawisko uznawania przez niektórych, że sytuacja, w której pisowska władza boksuje się z potężnym przeciwnikiem, oznacza równowagę, której dotąd nie było. Kiedy ci ludzie dostrzegą, że przeciwnik władzy opadł z sił, mogą zacząć się obawiać nowego kształtu nierównowagi. Na korzyść prawicy.

I szerzej – władza, która musiała się boksować, mogła w oczach niektórych liczyć na swego rodzaju taryfę ulgową. Władza triumfująca, a w każdym razie bezpieczna, niebędąca przedmiotem polowania potężnych myśliwych, już na żadną ulgową taryfę liczyć nie będzie mogła.

Takie bywają uboczne skutki zwycięstwa.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl db0df14551

Liberalna demokracja pieni się jak... café latte

Kawa tak się różni od café latte jak demokracja od demokracji liberalnej. Ta latte jest rozpuszczona w gorącym mleku i można ją pomylić z kaszką dla niemowlaków. Ta demokracja to ideologia, a nie żadna forma rządzenia państwem.

Taka zwykła, czyli normalna, demokracja oznacza, że źródło władzy stanowi wola większości obywateli. Czyli aromatycznej czarnej kawy, podczas gdy demokracja liberalna oznacza wyższość mlecznej mniejszości nad kwintesencją tego szlachetnego napoju. I latte musi się mocno pienić.

I się pieni, co widać na przykładzie naszej totalnej opozycji, która zamiennie nazywa siebie „opozycją obywatelską" albo czymś w tym rodzaju. I jak ta café latte nie oferuje ani smaku, ani nie pobudza do działania. To takie ciepłe mleko w kranie.

Trudno się dziwić, że pobudzaniem energii w łonie przywódców i zwolenników opozycji, tak liberalnej jak jej demokracja, zajmują się lewacko-liberalne media przekraczające swą nienawiścią wszelkie granice kultury i przyzwoitości. Różne TVN-y, „GW", finansowane przez zagraniczne koncerny gazety, tygodniki i portale internetowe. One dopiero teraz obudziły się z ręką w nocniku i podnoszą alarm: „Populizm u bram!". Na dodatek młodzież niechętnie demonstruje w obronie konstytucji, sędziów i wszystkiego, co było, ale już nie będzie.

Na początku tego roku lewicowy tygodnik niemiecki „Der Spiegel" zauważył, że „opozycja w Polsce sama się rozmontowuje", gdyż Platforma Obywatelska i Nowoczesna nie oferują wyborcom idei ani wartości. Pytanie, co dla tej opcji politycznej jest wartością i ideą? Ona dysponuje ideologią, czyli systemem poglądów, których zadaniem jest zdobycie i utrzymanie władzy. Przegrywając, walczy z oponentami za pomocą piany, jaka toczy się z ust jej przywódców i ich medialnych popleczników. Można też zawalczyć zbrojnie, ale to ryzykowne, bo grozi samobójstwem. Na razie szczuje się pojedynczych straceńców lub ich małe grupy na wrogów, jakimi są partie prawicowe, a w przypadku Polski na konserwatywny rząd, który cieszy się poparciem większości. Ci napuszczeni z KOD, Obywateli RP czy tzw. organizacji non profit, inaczej pozarządowych, awanturują się na spotkaniach przedstawicieli rządu ze społeczeństwem, popychają staruszków i obrzucają obelgami prezesa PiS, premiera oraz prezydenta, na ulicy i na mainstreamowych portalach.

Czy oni wierzą w to, co wypisują i wykrzykują? Bardzo wątpię. Oni mają w tym interes, liczą na to, że awanturami i chamstwem obalą rząd i powrócą dawne czasy, kiedy byli uprzywilejowani i zaliczali się do establishmentu, bo establishment brzmi dumnie i zagranicznie.

Prostactwo moralne i intelektualne zakłóca spotkania polityków z obywatelami, a jego intelektualne elity popadły we frustrację, więc biją na alarm. „Demokracja na krawędzi" – ostrzega wpływowy amerykańsko-japoński politolog, filozof i ekonomista Francis Fukuyama. Niegdyś neokonserwatysta, dziś neoliberał. Jego obawy zaprezentował „Newsweek Polska". Demokracja znalazła się na krawędzi przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych, ale również na Węgrzech i w innych krajach, w których rządzi populizm. Czyli lud, z czym neoliberałowie nie mogą się pogodzić.

Fukuyama upatruje przyczyn tej zmiany w świadomości społeczeństwa, przede wszystkim w niemożności podejmowania przez zachodnie demokracje trafnych decyzji w imię wspólnego dobra. Stąd tęsknota za silnym liderem, takim jak Orbán czy Trump. Innym powodem odwrotu od liberalnej demokracji jest ekonomia. Otóż jego zdaniem „globalizacja była korzystna prawie dla wszystkich narodów, ale nie była korzystna dla wszystkich jednostek. Sporo straciła na globalizacji klasa średnia i dawna klasa robotnicza". Czyli większość – czego Fukuyama nie mówi, bo musiałby przyznać, że ta demokracja, jakiej broni, jest wrogiem suwerena.

Jest jeszcze trzecia przyczyna, dla której liberalna demokracja ponosi porażki, a nawet klęski. Jest nią „niedoceniony kulturowo wymiar rewolty populistycznej. Ludzie coraz częściej mają poczucie, że stracili kontrolę nad własnym kulturowym przeznaczeniem, że nie mają nic do powiedzenia w kwestii przyszłości własnego narodu".

Nie sposób nie zgodzić się z Fukuyamą, który w nieco pokrętnej formie nakreślił przyczyny dogorywania ideologii lewacko-liberalnej. A także brak pomysłu jej elit na reformy, które przywróciłyby zaufanie narodów do demokracji smakującej jak café latte, spienionej, nieprawdziwej i mdłej jak cały ten kabotyński światek politycznych celebrytów.

Krystyna Grzybowska

eprasa.pl db0df14551

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Gersdorf w Karlsruhe

Nie jest tajemnicą, że polską opozycję wspierają niemieckie organizacje pozarządowe, a także „niezależne" fundacje ulokowane w Polsce, finansowane przez niemiecki rząd

Trzeba będzie z uwagą wczytać się w treść wykładu, jaki postanowiła wygłosić prof. Małgorzata Gersdorf w niemieckim Karlsruhe. Na razie znany jest tylko temat prelekcji: „Polskie państwo prawne – stracone szanse". Jak poinformował rzecznik Sądu Najwyższego Michał Laskowski, wykład będzie poświęcony pamięci Reinholda Franka, ofiary narodowego socjalizmu, straconego w 1945 r. wyrokiem Trybunału Ludowego. Był prawnikiem i ponoć ważnym uczestnikiem niemieckiego ruchu oporu. Organizatorzy zamachu na Hitlera z 20 lipca 1944 r. widzieli go w przyszłych władzach Badenii, a – jak wiadomo – chcieli oni jedynie odsunąć od władzy Hitlera, niekoniecznie zakończyć wojnę na Wschodzie i okupację Polski.

Przy okazji. Od zakończenia II wojny światowej liczba Niemców uczestników ruchu oporu wymierzonego w Hitlera systematycznie wzrasta. Urosła nawet do takich rozmiarów, że w czasie uroczystości w Moskwie w 2015 r., w 70. rocznicę zwycięstwa nad faszyzmem, „niemiecki ruch oporu" docenił sam Władimir Putin. To zaś przypomnienie jest ważne, gdyż Putin nawet jednym słowem nie wspomniał o polskim ruchu oporu i roli polskich sił zbrojnych w rozgromieniu III Rzeszy.

Jak poinformował rzecznik SN, wykłady tego typu odbywają się od 2000 r. i „służą zwróceniu uwagi na walkę o wolność, zarówno w wymiarze historycznym, jak i w odniesieniu do bieżących wydarzeń o zasięgu światowym".

Nietrudno więc, zestawiając tytuł prelekcji z osobą bohaterskiego Reinholda Franka, dośpiewać sobie główną tezę wykładu pani profesor. Będzie to krytyka obecnych władz w Polsce, które niszczą demokrację. Myśl tę prof. Gersdorf wyraziła już wcześniej na spotkaniu z młodzieżą akademicką Uniwersytetu Warszawskiego. Państwo prawa skończyło się dla pani profesor wraz ze zmianą przez Sejm ustawy o Sądzie Najwyższym. Ustawy, którą kontestuje, upierając się, że nadal pełni funkcję I prezesa Sądu Najwyższego. A przecież ustawie tej, jak każdej, przysługuje domniemanie konstytucyjności, dlaczego więc nie zaskarżyła jej do Trybunału Konstytucyjnego... Znając stanowisko pani profesor, trudno się dziwić, że otrzymała zaproszenie do Karlsruhe. Nie jest bowiem żadną tajemnicą, że polską opozycję wspierają w różny sposób niemieckie organizacje pozarządowe, ale także „niezależne" liczne fundacje ulokowane w Polsce, finansowane przez niemiecki rząd.

A więc dobiega końca „polskie państwo prawne", trzeba o tym zakomunikować w Niemczech i pożalić się na Polskę podczas zapowiedzianej już konferencji prasowej. Skandal to łagodne słowo.

Na szczęcie w Polsce pamięta się, że w Niemczech ideałem „państwa prawa" była III Rzesza, a jej najwyższym prawem był Adolf Hitler. I pewnie tak by było nadal, gdyby nie przegrał wojny, a RFN nie dostała się w strefę amerykańskich wpływów. Dzięki czemu można było od początku uczyć Niemców, czym są demokracja i wolne sądy.

Czekając na treść wykładu, warto przy okazji wspomnieć o leżącym w Badenii-Wirtembergii 300-tysięcznym mieście Karlsruhe. To tu znajduje się siedziba Federalnego Trybunału Konstytucyjnego. Zapewne wśród słuchaczy wykładu znajdą się strażnicy niemieckiej konstytucji powoływani przez Bundestag i Bundesrat. Byłaby to doskonała okazja, aby pani profesor zapytała któregoś z nich, jak to jest, że Federalny Trybunał Konstytucyjny w wydanych przez siebie kilku orzeczeniach stwierdził, iż „Niemiecka Rzesza egzystuje nadal w granicach z 1937 r.". Ten kuriozalny wyrok funkcjonuje w niemieckim prawie obok traktatu potwierdzającego istnienie granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, zawartego w 1990 r. między Polską a RFN, oraz obok zawartego w 1991 r. układu o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy między Polską a RFN. Nic dziwnego, że w Niemczech mówi się coraz głośniej, że powojenne granice państwa wytyczyli okupanci. Powtórzył to dobitnie jeden z przywódców NPD Michael Gielnik, dodając, że z obecnymi granicami „naród niemiecki się nie utożsamia".

Ideowy ojciec Eriki Steinbach Herbert Hupka, niezwykle aktywny w walce o prawa Niemców do terytorium sprzed 1937 r., powiedział kiedyś Adamowi Ciołkoszowi, liderowi polskiej socjaldemokracji na emigracji, a było to w roku 1960, że Polacy powinni wiedzieć, iż dzisiejsza Polska zawdzięcza tereny Niemiec wschodnich wyłącznie sowieckim bagnetom, a nie polskiemu tytułowi prawnemu.

Pani prof. Małgorzata Gersdorf mogłaby zapytać niemieckiego strażnika konstytucji: „A co na to Unia Europejska?", i wygłosić na ten temat specjalny wykład. No ale nie takie zadanie powierzono byłej I prezes polskiego Sądu Najwyższego podczas wizyty w niemieckim Karlsruhe.

eprasa.pl db0df14551

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Wiwisekcja chama

Witold Gadowski

Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że wszystko jest w porządku, tylko kot jest gałgan i zeżarł kanarka" – Jarosław Haszek był człekiem na tyle przenikliwym (choć karanym za włóczęgostwo), że przewidział sytuację, do jakiej dojdzie w Polsce, i to w wieku XXI. Przewidział także, że w przestrzeni publicznej pojawi się cham rozparty, cham prosty i cham bezwstydny. Takie indywiduum nawet złapane za rękę będzie się darło nie tylko, że to nie jego kończyna, lecz że ten, kto go łapie, to człek zasługujący na ukaranie, gdyż zbyt mocno go ściska i ogranicza mu swobodę działania.

Co jednak można sądzić, gdy kot – z kanarkowym puchem nieotartym jeszcze z ust – przychodzi przed komisję śledczą i miast opowiadać o tym, jak kanarek zginął, poucza wszystkich o zasadach ochrony kanarków i deklaruje się jako najgorętszy zwolennik ptasiego bezpieczeństwa?!

Przyszedł oto były minister Rostowski na przesłuchanie przed sejmową komisją śledczą i najwyraźniej pomylił sobie miejsca. Mimo obecności prawnika Chmaja doszedł chyba do wniosku, że znalazł się w podrzędnym lupanarze, gdzie może w końcu być sobą. Wygląda także na to, że Rostowski ciągle jeszcze nie zrozumiał, iż Polska jest dziś już inna niż w czasie, gdy bezkarnie mógł uprawiać swoje księgowe sztuczki.

Za chama i człeka pozbawionego honorowych zdolności zwykle uznawało się kłamcę, defraudanta, kogoś, kto puszcza bąki przy damach. Odkąd przed komisją śledczą ds. Amber Gold stanął Rostowski, można uznać, że każdy z przejawów chamstwa, który znaliśmy dotąd, powinien się pokryć wstydem wobec występów tego osobnika. Czasem dzieje się tak, że do prostackiego charakteru domiesza się buta i przeświadczenie o własnej wielkości – często można to nazwać manią wielkości bez żadnych podstaw.

Rostowskiego nie interesuje fakt, że pod jego bokiem działa się afera finansowa, on daje do zrozumienia, iż sprawiedliwość i uczciwość nie jest dla zwykłych ludzi – jest jedynie dla podobnych jemu bezczelnych uzurpatorów. Jego nie interesuje zeżarty kanarek, straty ponoszą przecież zwykle frajerzy. On musi pokazać, jak wysoko się znajduje, jak bardzo maluczcy nie są w stanie go dosięgnąć.

Rostowski chciał wykazać swoją wyższość i arystokratyczną nietykalność, takie sztuki jednak wychodzą jedynie prawdziwym arystokratom. Chamidło zawsze pokaże dziurę w skarpetce, nawet gdy nosi skarpetkę wspólną z Chmajem.

Standardy

Lech Makowiecki

W świecie polityki nieodmiennie wkurzają mnie zakłamania, do których większość już przywykła. To niby drobiazgi – np. poseł Jerzy Wenderlich (niegdyś PZPR, dziś SLD) nagminnie używa w debatach telewizyjnych określeń „Na miłość boską" czy „Na Boga". Aż dziw, że nikt z wierzących dyskutantów nie zwrócił mu do tej pory uwagi na niestosowność takich wtrętów. W ustach aparatczyka partii negującej i zwalczającej aktywnie religię chrześcijańską brzmi to jak szyderstwo z wiary. O śmieszność ociera się także szef PO Grzegorz Schetyna, wygłaszający przy każdej okazji swą mantrę o łamaniu demokracji w Polsce. I chyba rzeczywiście coś jest na rzeczy: gdyby wreszcie zaczęto przestrzegać u nas litery prawa, wielu platformerskich „kręcicieli lodów" oglądałoby świat przez kratki, a próby siłowego obalenia legalnie wybranego rządu spacyfikowałaby policja. Elity Unii Europejskiej – mówiąc kolokwialnie – też walą suwerena w rogi, aż dudni! A suweren (czyli naród) – dzięki medialnej cenzurze – nawet o tym nie wie. A może nie chce wiedzieć?

W każdym normalnym społeczeństwie połowę elektoratu stanowią kobiety, więc pierwsze wybory parlamentarne powinny zmieść rząd, który prowadzi kraj prosto w objęcia szariatu. Zakładając, że Angela Merkel jest również niewiastą, masowe spraszanie do Niemiec jurnych, agresywnych, roszczeniowych i niekwapiących się do żadnej roboty kolorowych młodzieńców jest absolutnie niepojęte! Uderzenie w dobrobyt i bezpieczeństwo własnych obywateli (płatników podatków, z których utrzymuje się elita rządząca) nie mieściło się dotąd w etyce sprawowania cywilizowanej władzy.

PS Robiący w internecie furorę filmik ukazujący kompletnie pijanego Junckera na szczycie NATO jest wisienką na torcie standardów. UE ma już swego Jelcyna; naocznie przekonali się o tym zaskoczeni prezydenci z Donaldem Trumpem na czele. Zdziwienia nie okazał tylko Petro Poroszenko, troskliwie podtrzymujący Jeana-Claude'a. Wsio normalno?

eprasa.pl db0df14551

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Rozwiązanie

Aleksander Nalaskowski

Mam wrażenie, że niepotrzebnie się męczymy z tym, co można by zmienić znacznie wcześniej, a niemal od ręki.

Nie wątpię, że prezes Jarosław Kaczyński jest wytrawnym politykiem, nie wątpię, że ma najszczersze zamiary i nieprawdopodobną odporność na zatrute strzały oraz zatrute pióra dolatujące doń zewsząd, ale chyba zbyt długo zwleka. Uważam bowiem, ale to ogląd człowieka spoza polityki, że jest bardzo dobry moment, aby polskie życie polityczne, a zwłaszcza parlamentarne, ostatecznie wyczyścić ze złogów tuskowszczyzny. Wysłać do diabła te wszystkie Budki, Pihowicze, Wielgusy, Petru, Kamysze, Niesiołowskich, Neumanów, Nitrasów i jeszcze kogo tam. A niedobitki „peło" w parlamencie sprowadzić do właściwych rozmiarów. Czyli do gabarytów nieznaczących totalnie. I w ten sposób ostatecznie uwolnić Polskę od przekleństwa głupoty, nieuctwa i zwykłego karierowiczostwa. A tym samym uczynić ją nieco bardziej podobną do tej, którą sobie wymarzył onegdaj Wyspiański.

Wyrzucenie szkodników poza burtę wpływów politycznych miałoby jeszcze jedną korzyść – odcięłoby ich w dużej mierze od ustawicznej obecności w mediach, od możliwości nagminnego łgania i oszukiwania, a to byłoby i z pożytkiem dla polszczyzny. Ile bowiem lat i cierpliwości trzeba, by tę hucpę tolerować, by poważnie traktować tych, którzy nie zasługują nawet na kiepski żart?

Zatem co trzeba zrobić? Otóż wydaje mi się, że należałoby rozpędzić na cztery wiatry ten parlament. Tak normalnie – skrócić kadencję Sejmu (a tym samym Senatu) i w najkrótszym możliwym terminie, bodaj 45 dni, przeprowadzić nowe wybory. Jestem przekonany, że byłaby to skuteczna i dobra dezynfekcja naszego życia politycznego. W ten sposób pozbylibyśmy się dużej grupy pospolitych głupców, ale i otworzyłaby się możliwość zweryfikowania tych, którzy wprawdzie zajmują ławy po słusznej stronie, ale są słabi, zawiedli, kumali się z opozycją, a tym samym niczego wartościowego nie wnieśli i pasożytują na publicznej kasie. O wyborcze zwycięstwo prawej strony bym się nie martwił. Lepszej sytuacji mieć nie będziemy. Działania Morawieckiego, a także jego ministrów (brawo Ardanowski!) przekonują do dobrej zmiany. Są daleko trwalsze i smaczniejsze niż najlepsza kiełbasa wyborcza.

Wydaje mi się, że należałoby rozpędzić na cztery wiatry ten parlament. Tak normalnie – skrócić kadencję Sejmu (a tym samym Senatu) i w najkrótszym możliwym terminie przeprowadzić nowe wybory

Jedynym problemem jest tu uzyskanie wymaganych 306 głosów do aktu samorozwiązania. Ale i to drogą dyplomacji oraz wyważonych kompromisów można byłoby osiągnąć. To, że czystka w naszym życiu politycznym jest potrzebna, widać gołym okiem. Także czystka po prawej stronie. Ale jest jeszcze jedno – powtórne zwycięstwo prawicy, w które trudno dzisiaj wątpić, pokazałoby, że Polacy świadomie dokonują wyborów, że „uzurpacyjna i faszystowsko-bolszewicka" władza cieszy się uznaniem i poparciem społecznym, że donosy na Polskę, tak ochoczo czynione przez „polorenegatów", to tak naprawdę wierzganie tych, którzy się już nie liczą, których wyborcy odrzucili albo pozostawili na absolutnym marginesie. I to jest również niebagatelny argument.

Tak, wiem. To chyba political fiction i mrzonki felietonisty. Ale ile można słuchać tych samym bredni, oglądać i słuchać Kierwińskiego czy Szczerbę, Scheuring-Wielgus czy Kopacz. Za jaką karę?! Weźmy przykład z Węgrów, zróbmy kolejny krok w dobrą stronę. Już najwyższa pora.

AUTOPROMOCJA

PRZEZ ŚWIETLIK

Maliny po pierwsze

Nic tak nie sprowadza ludzi na ziemię jak matka natura, której w końcu częścią jesteśmy, choć nie za bardzo chcą o tym pamiętać zarówno fanatyczni ekolodzy, jak i najbardziej nawiedzeni zwolennicy technicyzacji.

Ostatnio zresztą byłem świadkiem ciekawej rozmowy, podczas której jedna z moich rozmówczyń obruszyła się na stwierdzenie, że leki uzyskiwane syntetycznie też są pochodzenia naturalnego. Nie znam się na tym oczywiście wcale, ale wiem, że pojazd napędzany niczym nigdy nie będzie istniał. I tak samo każda pastylka, nawet ta najbardziej niepotrzebna, kolorowa i niezdrowa, gdzieś tam musi być produktem syntezy związków chemicznych występujących w naturze ożywionej lub nieożywionej. Z niczego żadna fabryka nic nie wymyśli ani nie wynajdzie. Samą myślą mogli się nażerać francuscy racjonaliści, wierzący w jej wszechpotęgę (ale tylko we własnym przypadku), lecz normalny człowiek kierujący się zdrowym rozsądkiem wie, że żeby zjeść, musi mieć co do garnka włożyć.

Chyba na moment wszyscy o tym zapomnieliśmy. Przez dłuższy czas ciesząc się zasłużonym za sprawą ciężkiej harówy wzrostem, błogosławionymi efektami ścigania mafii VAT-owskich, uznaliśmy, że od tej pory będziemy się skupiać wyłącznie na projektowaniu samochodów elektrycznych, oglądaniu w wiadomościach polskich łazików marsjańskich. W ostateczności na zdrowej diecie, i to takiej, przy której żadnego zwierzaka nie skrzywdzono, bo przecież wiadomo, że poziom rozwoju osiągnęliśmy taki, iż w ramach miłosierdzia międzygatunkowego hodowców futrzaków, a potem drobiu, trzody i bydła możemy przekwalifikować na kosmonautów. Żeby było jasne, bardzo polskim samochodom elektrycznym kibicuję i polskim szybkim pociągom zamiast Pendolino, i polskim autobusom oraz własnym okrętom, a także osławionym start-upom, mimo że 90 proc. z nich ma umiarkowany sens.

Tyle że ostatnio było trochę sucho, a potem trochę wiało, więc prostsze produkty przypomniały o sobie. Czarne porzeczki, maliny, monopolistyczny system skupu tych owoców i przekazywanie za granicę, w ramach międzynarodowego miłosierdzia, know-how na ten temat. Dobrze zresztą, że te sprawy zakłopotały premiera bardziej nawet niż epopeja sędzi Gersdorf, i to mimo że w obronie naszych sadowników raczej żaden europejski trybunał ani komisja nie wystąpi. Ta ostatnia co najwyżej dokopie im na raty, tak jak to drzewiej uczyniono z polskim przemysłem cukrowniczym, najpierw wprowadzając limity, a potem – kiedy już dzieło zniszczenia i przejęcia nad Wisłą zostało dokonane – owe limity z korzyścią dla Niemców znosząc. Nikt, naprawdę nikt nam nie pomoże, jeśli sami o sprawę nie zadbamy.

Jonasz Kofta radził, by pamiętać o ogrodach, ale przede wszystkim zadbajmy o sady, dopóki jeszcze nas wszystkich z nich nie wyprowadzono

Jonasz Kofta radził, by pamiętać o ogrodach, ale przede wszystkim zadbajmy o sady, dopóki jeszcze nas wszystkich z nich nie wyprowadzono, a jedyną dostępną porzeczką będzie ta podobna do truskawki zimą. Z napisem „made in Spain" albo nawet „made in China", bo w końcu wiadomo, że Chińczycy wbrew opisywanej na początku regule rzeczywiście potrafią wyprodukować wszystko z niczego, a przede wszystkim to sprzedać.

Wiktor Świetlik

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

eprasa.pl db0df14551

Humanae Vitae – odrzucone proroctwo

Nie trzeba wielkiej przenikliwości, aby dostrzec, że dzisiejszy zamęt w Kościele ma swoje źródła w odrzuceniu nauki Pawła VI

JAN POSPIESZALSKI

W filmie „Transformacja" Grzegorza Brauna Wiktor Suworow wspomina, jak po II wojnie światowej Sowieci zdali sobie sprawę, że nie są w stanie dogonić osiągnięć kapitalizmu ani się z nim skonfrontować. W odpowiedzi w 1954 r. powstaje w GRU tzw. Raport lokomotywy. Porównano w nim świat kapitalistyczny do rozpędzonej lokomotywy, której nie można zatrzymać, ale wystarczy znaleźć wrażliwy element mechanizmu, którego uszkodzenie rozsadzi całą konstrukcję.

Sowieccy eksperci odkryli, że ten element, ta mała śrubka to ropa naftowa.

Wystarczy więc położyć łapę na roponośnych terenach, żeby mieć Zachód w garści.

Gdyby próbować znaleźć analogiczne, wrażliwe miejsce dla cywilizacji chrześcijańskiej, byłyby nią normy regulujące ludzką seksualność, a śrubka to pigułka antykoncepcyjna.

Rewolucja seksualna utożsamiana z ruchem hipisów i studencką rewoltą '68 tak naprawdę zaczęła się długo wcześniej. Psychoanaliza, terapie grupowe, szarlatani terapeuci szukający klucza w seksualności, a w końcu „badacze ideolodzy" – Margaret Mead, a przede wszystkim twórca fake-raportu Alfred Kinsey – rozmontowali tabu. W ciągu jednego pokolenia następują głębokie zmiany obyczajowe. Elity uniwersyteckie i wielki ruch młodzieżowej kontestacji zyskują potężnego sojusznika, jakim jest kultura masowa. Zaoranie tradycyjnej moralności jest ułatwione, ponieważ od 1957 r. w amerykańskich aptekach powszechnie dostępna jest pigułka antykoncepcyjna.

Kościół też przeżywa zmianę. Trwa posoborowa odnowa, a jej najgorliwsi entuzjaści nie poprzestają na reformie liturgii, nowym duszpasterstwie, ekumenicznym otwarciu. Postulują zmiany w nauczaniu moralnym, chcą demokratyzacji struktur, wyjścia naprzeciw oczekiwaniom tych wiernych, których porywa „duch czasu" z jego nową obyczajowością. Pojawia się znany katalog oczekiwań – zgoda na sztuczną kontrolę urodzeń, zniesienie celibatu, a najchętniej pozostawienie kwestii moralnych w sferze prywatnej, wyłączonej z nauczania Kościoła. W odpowiedzi na to dwa lata po zakończeniu Vaticanum Secundum papież Paweł VI przygotowuje (przy znaczącym zaangażowaniu młodego polskiego biskupa Karola Wojtyły) encyklikę „Humanae Vitae", dokument, który wywołał burzę.

Ogłoszona dokładnie 50 lat temu – 25 lipca – encyklika podkreśla świętość życia i aktu jego przekazywania. Stanowczo wyklucza antykoncepcję, zachęca małżonków do współpracy z naturalnym rytmem płodności, z wielką troską o godność kobiety zrównuje odpowiedzialność męża i żony. „Papież wchodzi małżonkom do łóżka", „Nie pozwolimy, by Kościół nasze intymne życie sprowadzał tylko do reprodukcji" – pisze prasa (również katolicka) na całym świecie. Ale nie tylko. Papieski dokument zostaje praktycznie odrzucony przez wielu biskupów i teologów. Biskupi austriaccy, holenderscy, niemieccy oraz w wielu diecezjach w Stanach Zjednoczonych przygotowują swoją interpretację dokumentu, kwestionując wiele z jego istotnych punktów. Tymczasem patrząc na istotę argumentacji papieża, widzimy, że to dokument profetyczny. Papież pisze, że „mężczyźni, przyzwyczaiwszy się do stosowania praktyk antykoncepcyjnych, zatracą szacunek dla kobiet i lekceważąc ich psychofizyczną równowagę, sprowadzą je do roli narzędzia, służącego zaspokajaniu swojej egoistycznej żądzy". W trosce o kobiety papież podkreśla, że „współżycie płciowe narzucone współmałżonkowi bez liczenia się z jego stanem oraz z jego uzasadnionymi życzeniami, nie jest prawdziwym aktem miłości".

Encyklika ostrzega też przed zagrożeniem ze strony państwa: „Ludzie pragnący uniknąć trudności związanych z przestrzeganiem prawa Bożego w życiu indywidualnym, rodzinnym czy społecznym pozwoliłoby władzy państwowej ingerować w najbardziej osobiste i intymne sprawy małżonków".

Nie trzeba wielkiej przenikliwości, aby dostrzec, że dzisiejszy zamęt w Kościele ma swoje źródła w odrzuceniu nauki Pawła VI. Ale nie tylko. Czy obyczajowe tsunami, jakie dewastuje kraje Zachodu, miałoby taki przebieg, gdyby 50 lat temu biskupi odważnie stanęli przy swoim pasterzu? To temat do osobnych rozważań, za tydzień.

eprasa.pl db0df14551

Laudacja Wałęsy

Jerzy Jachowicz

To ja mu wtedy mówię: »Józek, ty weź się trzymaj Małgośki, daleko zajdziesz«" – to fragment laudacji, jaką Lech Wałęsa wygłosił na cześć sędziego Józefa Iwulskiego z okazji przyznania mu przez Komitet Obrony Demokracji nagrody Człowiek Roku 2018.

Uroczystość odbyła się w westybulu siedziby stacji TVN. A oto ta laudacja w całości:

„Kieruję swój wzrok i myśli w kierunku fotela na podwyższeniu, na którym siedzi człowiek znany ze skromności. Zarówno w pracy, jak i w miejscu zamieszkania. Podobnie jak ja lubiany przez sąsiadów. Zasłużony dla wymiaru sprawiedliwości dzięki wieloletniej pracy w aparacie sądownictwa. Dbał o jego umocnienie i rozwój. To nie wszystkie zasługi. Równie ważne jest to, że ma cechy najbardziej dziś potrzebne dla ratowania Polski. Z wielką odwagą przeciwstawia się złu. Niezłomnie trwa przy demokracji i czystym sumieniu. A pieski ujadają. Szarpią naszego laureata za nogawki. On jednak robi swoje. Nie są w stanie zniechęcić go obsesyjne oskarżenia pismaków gazetowych i polityków z Nowogrodzkiej. To oni chcą zniszczyć praworządność, a z nią naszą wolność, z taką ofiarnością wywalczoną przeze mnie.

Kiedy teraz przyjechałem do Warszawy pociągiem wprost z Gdańska, tym o 15.00, zobaczyłem naszego obecnego tu bohatera broniącego dostępu zdradliwym łajdakom do Sądu Najwyższego. Nie dał się nabrać na obrzydliwy podstęp władzy. Odrzucił łakomy, ale trujący kąsek, podrzucony mu przez władzę – zastąpienie na fotelu prezesa Małgorzaty Gersdorf. Przyjął moją propozycję, że musimy zatrzymać szaleńców. Tak jak kiedyś posłuchał mojej rady. I dobrze na tym wyszedł. Dziś są inne cele. Musimy wspólnymi siłami powyciągać ludzi, którzy są przestępcami, dewastują konstytucję. Ja już jestem starszym człowiekiem i sam nie jestem w stanie wszystkiego zrobić. A ta zaraza rozłazi się po całym kraju. Po co chcą przejąć wymiar sprawiedliwości? Bo się boją. Chcą w sposób nieograniczony siać terror. A wtedy może nawet dojść do wojny domowej. Więc wzywam ich: »Przestańcie, bo nie ręczę za siebie!«".

CO MNIE DZIWI

Trzepak

Katarzyna Łaniewska

Nikt już dywanów nie trzepie. Ten archaiczny przyrząd na moim podwórku służy teraz do zupełnie innych celów.

Na mojej przydomowej parceli jest stary trzepak. Nie taki w sumie stary – bo metalowy, a kiedyś trzepaki były drewniane. Ten przy „nowym" powojennym domu jest do tego budynku adekwatny. Trzepano na nim chodniki, dywaniki, pledy i kapy, a przed świętami nawet dywany. Teraz służy do parkowania i przypięcia do niego kilkunastu rowerów. Naliczyłam 15–16. Bardzo eleganckie i nowoczesne, niektóre nawet wypasione. I tylko jeden cyklista indywidualista parkuje swój rower przy równie żelaznym pałąku – ogrodzeniu. Zastanawiam się, czy mój dom opanowali cykliści, bo Chińczyków jakoś jeszcze nie spotkałam, chociaż wszystko przede mną.

Wysiadałam ostatnio z windy. Otworzyły się drzwi, a tu stoi wielki... Murzyn. Trochę się zdziwiłam. I nie wiem, dlaczego powiedziałam: „Merci". Pewnie nie zrozumiał. Ręką dałam do zrozumienia, by się trochę przesunął. Udało się mi (i mojemu psu) wyjść. No i usiadłam na swoim murku. Jak kiedyś pisałam, stoję pod swoim blokiem i czekam na mojego psa, który biega. To niegryzący jamnik. Ostatnio jakaś pani przeszła koło mnie i pyta: „Przepraszam, czy pani to jest ta aktorka K.Ł.?". Przytaknęłam, że ja to ja. „A co pani tu robi?" – pyta dalej. „A jak pani widzi, siedzę" – odpowiadam. „A dlaczego?" – pyta zdziwiona. „Bo ja tu mieszkam". „Przecież tu jest hotel, w hotelu pani mieszka?". „Nie – odpowiadam – mieszkam tu 60 lat". I okazuje się, że pani wynajmuje pokój na mojej klatce na moim piętrze – drzwi obok. Pani w hotelu, a ja w moim mieszkaniu – jesteśmy sąsiadkami.

Zaczęłam się zastanawiać, że tam, gdzie mieszkali moi znajomi, których mi brakuje, przebywają teraz różni ludzie. Witam się z nimi – nie zawsze odpowiadają. Czasem, jak mawiał mój mąż, z mieszkania wychodzą „rozhulantyny", uprawiające najstarszy zawód świata, które śmieją się i chichoczą. Moje sąsiedztwo to w tej chwili pokoje hotelowe.

No cóż, świat idzie do przodu. Trzepak służy do parkowania rowerów. Rower w moim dzieciństwie to był szczyt marzeń, chowany do piwnicy i z tej piwnicy kradziony. Przychodził dzielnicowy i spisywał...

A ja dziś siedzę na murku.

eprasa.pl db0df14551

TRENDY I OWĘDY

Reminiscencje sopockie

Sopot jest perłą Bałtyku, ale źle mu służy lemingizm stosowany

Ryszard Makowski

Przed wejściem na sopockie molo zainstalowano metalowe „przechodniki" podobne do znanych ze stacji metra. No niby nic takiego, władze miasta chcą nabić miejską kasę, ćwicząc turystów w przeciskaniu się przez metalowe pręty. Oczywiście po uprzednim okazaniu biletu. Co bardziej awanturni klienci bez krawata głośno utyskują, że trzeba uiszczać, by wejść na nasze wspólne molo.

Szukając zalet sytuacji, po wydaniu 8 zł od dorosłego spacerowicza można mieć na niezbyt zatłoczonym molo poczucie przynależności do elity. Bilet jest jednorazowy. Istnieje kombinacja nabycia 15 wejść hurtem, co obniża koszty, ale nie warto z niej korzystać. Po pierwszej wizycie, kiedy człowiek czuje się odarty z tej odrobiny romantyzmu, jaką przywykł chłonąć w tym miejscu, traci się sentymentalną chętkę do ponownego pójścia w głąb Bałtyku.

Można ten wywód uznać za formę marudną sknerstwem podszytą. Obserwując jednak od dziesięcioleci przemianę Sopotu w centrum biznesowe liberałów, łatwo antycypować, że wreszcie kogoś oświeci, by zrobić bramki na deptak Monte Cassino. Co się będą ludzie darmowo szwendać. Te nowe sopockie inwestycje emanują aurą przewału, które im – jak wieść gminna niesie – towarzyszyły. Dystans między klasą dawnego Sopotu a współczesnością jest dosadny, porównując (od strony plaży) bryłę Grand Hotelu i postawionego obok, stylizowanego „nowocześniaka".

Oj, tęskno za bezlemingowym wdziękiem kurortu.

eprasa.pl db0df14551

Zawistowski prezentuje: ***Helsinki***

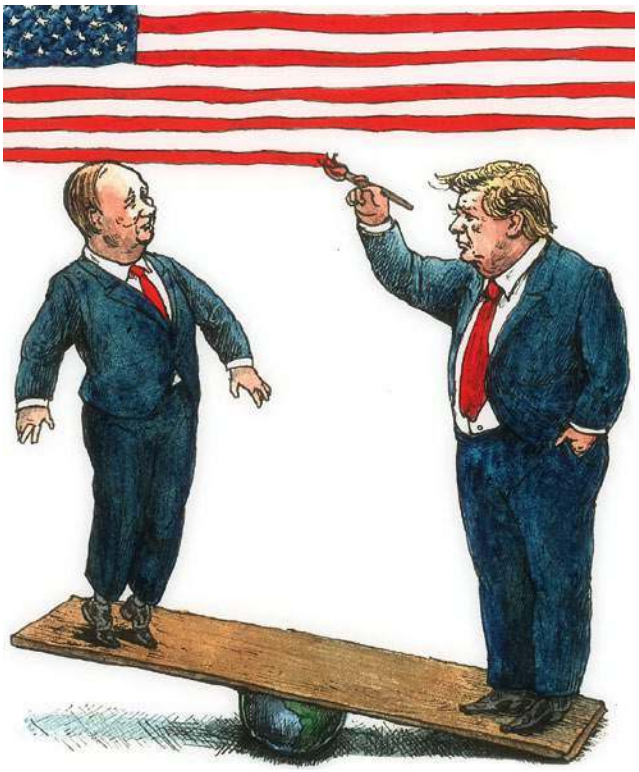

Wycinki z przeszłości

Płomyk" z 1928 r., w 10. rocznicę odzyskania niepodległości przez Polskę, analizował stan przemysłu motoryzacyjnego w kraju. Redakcja podkreślała, że widać wyraźny wzrost liczby samochodów w poprzednich latach, ale wciąż pozostaje ona niewielka ze względu na „zły stan dróg oraz względnie małą zamożność".

Czytamy: „W dniu 31 grudnia 1927 r. ilość pojazdów wzrosła do 25 656 (8,5 na 10 tys. mieszkańców), w tem 21 810 samochodów i autobusów oraz 3 734 motocykli. Sam Londyn posiadał w 1927 r. 800 tysięcy wozów motorowych. W Anglji jeden samochód przypada na 26 osób".

Ale widać zmiany na lepsze: „Mamy już w kraju dużą fabrykę samochodów »Ursus« pod Warszawą, która, choć powstała bardzo niedawno, zdołała już wykonać pierwsze samochody własnego typu, i drugą, mniejszą fabrykę samochodów, marki »As« też w Warszawie; mamy również wojskowe »Centralne Warsztaty Samochodowe«, które zbudowały parę maszyn własnej konstrukcji, oraz dużą fabrykę »General Motors Corporation«, która z przywiezionych ze Szwecji gotowych części buduje w kraju samochody marki »Chevrolet«. To jeszcze bardzo mało, ale przed paru laty i tych fabryk nie było, a o polskim samochodzie nikt wtedy nawet nie słyszał".

Ciekawe, czy rzeczywiście doczekamy się i my polskiego auta, choćby elektrycznego...

(mk)

SAMOCHÓD WYKONANY W POLSKIEJ FABRYCE „URSUS".

O poranku, u werandy... (rozmowa ze światem)

Boże, wszak inaczej to wyrazić się nie może
– To westchnienie zachwycenie
Tylko takim odniesieniem, powtórzeniem:
– Boże...
Tyle światła, blasku i zieleni i błękitu
I świat w takie rano cichy

Dawnośmy się tak ze sobą nie spotkali, o mój świecie
Prawdę rzekłszy to i wcześniej, nie za wiele nam
Tej schadzki się zdarzało...
Ot pospiesznie, ot tam chwilka
I odjazdy i odloty
Ale żeby tak do syta
Tak naprzeciw, w cztery oczy
Ramię w ramię, jedno bicie, przy drugiego
Serca biciu?
Mój, w błękicie i w zieleni
Pod drzewami, w wodzie, w piasku, w liściach
I my tacy
Dogadani, rozczuleni?

A wiesz, ja już nie tak
– Czujesz?
Przecież odgadujesz
Nie tak już jak przedtem...
I przędziwa i paliwa sercu nie za wiele
– Tyka, cicho podpowiada
Że już pewnie mu do ziemi?
– Dramat?
Dramat, lecz nie taki że to wszystko
Z rąk poleci
Z oczu zniknie
Ten jest smutek większy
Że nie mniej wciąż miłowane
Wszystko czas zostawić
– Śmigło, błysło niedościgłe
I już my tak nie dla siebie
Gdyś mnie wołał świecie, wabił
Spojrzeniami i ustami zielonymi
Dawno... kiedyś
– Czyja wina, co się stało?
Wystarczyło, ileś tam tysięcy razy
Ziemia wokół słońca zbiegła
I mnie wliczył wraz, ów
rachmistrz
Do kosmicznej buchalterii
I wychodzi, że już rychło?
A to ci historia, a to ci dopiero
– O mój piękny
Nie-do-miło-wany
U werandy, w czwartek rano
Na arendę ledwo dany...

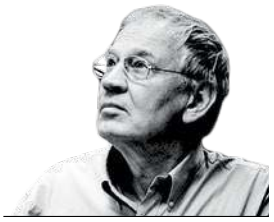

Leszek Długosz

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl db0df14551

OD A DO ZYBERTOWICZA

„Zaszyte” w temacie migracji

Niedawno, bo jeszcze w lipcu 2018 r., byłem w Berlinie na inspirującej, dwudniowej konferencji niemiecko-polskiej. Może napiszę kiedyś o niej coś więcej – dziś tylko jeden motyw.

Wprowadzając do dyskusji, znany niemiecki socjolog powiedział, że w temacie migracji – tak przecież drażliwym, a dla uchodźców boleśnie palącym – ukrytych jest wiele innych tematów. Podczas konferencji zabrakło czasu, by się temu bliżej przyjrzeć, zatem zrobię to teraz.

KRASTEW

Iwan Krastew, wybitny, lewicowy bułgarski politolog, swą opublikowaną niedawno, także po polsku, książkę „Co po Europie” (wyd. Krytyka Polityczna) w znacznej mierze poświęcił problemowi migracji, a dokładniej sile, z jaką ten problem potrafił potrząsnąć Unią Europejską.

Dlaczego właśnie kwestia migracji, w sytuacji gdy UE w ostatnich latach zmaga się z całym pasmem kłopotów – kryzys grecki, problemy z europejską konstytucją, kryzys euro, agresja Rosji, Brexit, terroryzm – okazała się tak brzemienna?

WIDZIALNOŚĆ

W projekcie Unii zawarte jest m.in. założenie, że racjonalny Zachód – budujący swój rozwój na projekcie oświecenia – jest w stanie pokojowo przebudowywać resztę świata.

Tymczasem kryzys migracyjny ostatnich lat – zaskakujące sceny pokazujące liczne grupy migrantów „wkraczających” do krajów UE – dowodzić może wszystkiego, ale nie sprawowania racjonalnej kontroli nad procesami społecznego postępu. Sceny te, w powiązaniu z obrazami panicznych reakcji na zamachy terrorystyczne, które (tak się złożyło) nasiliły się w tym samym czasie,

wizualnie „komunikowały” zachodniej opinii publicznej groźbę chaosu. Sygnalizowały, że sprawy wyrywają się spod kontroli tym, którzy za taką kontrolę są profesjonalnie odpowiedzialni, czyli organom państw.

Stawiam zatem prostą hipotezę, że siła ogniskowania naszej wyobraźni, jaką ma kryzys migracyjny, bierze się nie z samego faktu migracji, ale z tego, że fale migracyjne lat ostatnich miały charakter niekontrolowany, jawiły się jako nieprzewidywalne (choć eksperci przestrzegali zawczasu) ziarna chaosu, wizje żywiołów, nad którymi władze nie potrafią zapanować.

ŚLEPOTA NA SŁABOŚCI

Przecież kilka lat przed 2015, rokiem niefortunnej decyzji kanclerz Angeli Merkel otwierającej wbrew zasadom prawa europejskiego granice Niemiec dla imigrantów, to ona sama – w tonie podobnym, jak czynili to premier brytyjski David Cameron oraz prezydent Francji Nicolas Sarkozy – publicznie mówiła o klęsce europejskiej polityki wielokulturowości.

Najwyraźniej procesy kontaktu między- czy raczej wielokulturowego nie zostały przez Światły Zachód, przez brukselskich mędrców należycie głęboko rozkodowane.

WSCHÓD UNII

A jakże odmienna od krajów „starej” Unii okazała się postawa krajów naszego regionu, zwłaszcza Grupy Wyszehradzkiej – zdystansowana lub nawet otwarcie niechętna wobec relokacji uchodźców (i „uchodźców”). Czyż odmienność ta nie ma głębiej w historii „zaszytych” powodów?

Czy w obawach przed nagłymi, niekontrolowanymi migracjami nie kryje się też lęk przed jeszcze dalej posuniętymi ograniczeniami suwerenności niż te wynikające z praw Wspólnoty? W Budapeszcie, Pradze, Bratysławie i Warszawie żywa jest jeszcze pamięć dominacji Moskwy, a tu okazuje się, że wcielane mają być w życie chaotyczne, nieprzemyślane decyzje nowej centrali – Brukseli (czytaj: Berlina–Paryża).

POPULIZM

Populizm jest zazwyczaj odbierany jako ruch antydemokratyczny. Ale być może w ostatnich latach w Europie reakcja zwana populistyczną to właśnie wyraz wiary w możliwość przebudowy polityki drogą wyborczą. Bez wątpienia tak myśli spora (dominująca?) część elektoratu Prawa i Sprawiedliwości.

Czy za populistyczną reakcją na kwestie migracji nie kryje się także niepewność przyniesiona przez nadmiernie szybkie efekty rozwoju technologii, nieoczekiwanie rozległe efekty globalizacji oraz przemiany kulturowe, jak walec próbujące rozjeżdżać tradycję, szacunek dla dobrych obyczajów i autorytetów?

Może wstrząs migracyjny trzeba spokojnie odczytywać jako przestrogę przed naiwną wiarą w racjonalność polityki elit oświeconego Zachodu?

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja | 25/0718/F, 26/0718/F, 31/0718/F, 3/0718/F, 39/0718/F

eprasa.pl db0df14551

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

150 książek w prezencie

Zamów roczną prenumeratę pakietu: tygodnik SIECI i miesięcznik wSIECI HISTORII za 280 zł, a książkę „Historia USA" o wartości 99,90 zł otrzymasz gratis!

Sprawdź dostępność książek na www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 15 70 prenumerata@fratria.pl www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: Prenumerata pakiet i pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl db0df14551

JUŻ 30 LIPCA W TYGODNIKU SIECI

DODATEK Z OKAZJI 74. ROCZNICY POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

- Program uroczystości rocznicowych
- Sylwetki powstańców: Jan Rodowicz „Anoda" i Helena Jamonttówna
- Powstanie Warszawskie w meldunkach wywiadu polskiego, niemieckiego i sowieckiego
- Warszawa po Powstaniu – ogrom zniszczeń

PARTNER MERYTORYCZNY

Muzeum Powstania Warszawskiego

PARTNERZY DODATKU

Energa

ORLEN

PKO Bank Polski

Poczta Polska

PZU

eprasa.pl db0di10551